

Anne Holt

ŚMIERĆ DEMONA

Hanne Wilhelmsen 03

Przełożyła: Iwona Zimnicka

Tytuł oryginału DEMONENS DØD



Erikowi Langbråtenowi, który tak wiele mnie nauczył o Rzeczach Ważnych

W samotności

Od lat dziecinnych zawsze byłem

Inny niż wszyscy – i patrzyłem

Nie tam, gdzie wszyscy – miałem swoje,

Nieznane innym smutków zdroje –

I nie czerpałem z ich krynicy

Uczuć – nie tak, jak śmiertelnicy

Radością tchnąłem i zapalem –

A co kochałem – sam kochałem –

To wtedy – nim w burzliwe życie

Zdążyłem wejść – powstała skrycie

Z dna wszelkich złych i dobrych dążeń

Ta tajemnica, co mnie wiąże –

Ze strumienia lub potoku –

Z urwistego góry stoku –

Z kręgu słońca, gdy w jesieni

Blednie złoty blask promieni –

Z błyskawicy ostrym końcem

Drzewo obok mnie rażącej –

Z burzy, grzmotów, ziemi drżenia –

Z chmury – która u sklepienia

Niebieskiego zawieszona –

Miała dla mnie kształt demona.

Edgar Allan Poe

tłum. Wojciech Usakiewicz

1.

– To ja jestem ten nowy!

Ciężko tupiąc, przeszedł zdecydowanym krokiem na środek pokoju. Tam się zatrzymał, a woda ze śniegu topniejącego na olbrzymich adidasach od razu zaczęła tworzyć kałuże. Stał na szeroko rozstawionych nogach, jakby chciał ukryć wyraźnego iksa. Rozłożył ręce i powtórzył:

– To ja jestem ten nowy!

Głowę z jednej strony miał ogoloną na łyso. Kruczoczarne sztywne włosy zaczesane do góry od prawego ucha obiegały okrągłą czaszkę i równo przycięte kończyły się kilka milimetrów nad lewym barkiem. Pojedynczy gruby kosmyk zwisał nad okiem, splątany z kawałkiem rzemyka. Chłopiec raz po raz dmuchnięciem usiłował go odsunąć, wydymając wtedy usta jakby ze złością. Nosił puchówkę w rozmiarze pięćdziesiąt sześć, dobrą w pasie, ale o pół metra za długą, z trzydziestoma zbędnymi centymetrami rękawów zawiniętymi w wielkie mankiety. Spodnie fałdowały się na łydkach, ale kiedy z pewnym trudem rozpiął kurtkę, jasne się stało, że od kolan nogawki oblepiają uda jak flak kielbasę.

Pokój był duży. Zdaniem chłopca nie mógł to być salon, bo brakowało w nim prawdziwego kompletu wypoczynkowego i telewizora. Wzdłuż jednej ściany biegł długi kuchenny blat ze zlewem i kuchenką, ale nie pachniało tu jedzeniem. Chłopiec zadarł nos i kilka razy wciągnąwszy powietrze, stwierdził, że w budynku musi być inna kuchnia. Prawdziwa. A to była bawialnia. Ściany pokrywały rysunki, a z sufitu, znajdującego się wyżej niż w zwykłych domach, zwisały nieduże karuzelki i figurki z wełny, najpewniej wykonane przez dzieci. Tuż nad jego głową unosiła się szarobiała mewa z jaskrawoczerwonym dziobem zrobiona z tektury i włóczki. Trzymała się tylko z jednej strony i przypominała teraz wyrwany ząb wiszący na cienkiej nitce. Wyciągnął do niej rękę, ale nie dosięgnął. W zamian zerwał wielkanocnego kurczaka z kawałka wytłoczki na jajka i żółtych piórek. Podniósł go z podłogi, oskubał wszystkie piórka, a karton odrzucił.

Pod dwoma dużymi oknami z markowanymi szprosami stał ogromny roboczy stół. Czwórka siedzących przy nim dzieci przerwała swoje zajęcia. Wszystkie patrzyły na nowo przybyłego. Najstarsza, jedenastoletnia dziewczynka z nieufnością zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Dwaj chłopcy, chyba bliźniacy, w identycznych swetrach, z bielusińkami czuprynymi, chichotali, coś do siebie szeptali i cały czas się poszturchiwali. Rudziutka cztero – czy pięcioletka na kilka sekund znieruchomiała przerażona, po czym ześlizgnęła się z

krzesła i pobiegła do jedynej obecnej w pokoju dorosłej osoby: pulchnej kobiety, która natychmiast wzięła ją na ręce i uspokajająco pogładziła po włosach.

– To jest ten nowy chłopiec – oznajmiła. – Ma na imię Olav.

– Przecież już mówiłem! – oświadczył Olav ze złością. – To ja jestem ten nowy. Ma pani męża?

– Mam – odparta kobieta.

– Tylko te dzieciaki tu mieszkają?

Rozczarowanie chłopca widać było aż nadto wyraźnie.

– Nie, przecież wiesz – uśmiechnęła się kobieta. – Tu mieszka siedmioro dzieci. Ta trójka... – Ruchem głowy wskazała na malców przy stole, jednocześnie posyłając chłopcu surowe spojrzenie.

Raczej nie wywarło to na nim wrażenia.

– A ona? Ona tu nie mieszka?

– Nie, to moja córeczka. Akurat dzisiaj ją tu przyprowadziłam.

Uśmiechnęła się, kiedy dziewczynka wcisnęła buzię w zagłębienie jej szyi i mocniej się przytuliła.

– Aha. Dużo masz dzieci?

– Troje. To jest najmłodsza. Ma na imię Amanda.

– Głupie imię. A poza tym wiem, że musi być najmłodsza, bo ty już jesteś za stara na rodzenie dzieci.

– Masz rację – roześmiała się kobieta. – Jestem już na to za stara. Moja pozostała dwójka prawie już dorosła. Ale może przywitasz się z Jeanette? Jest mniej więcej w tym samym wieku co ty. I z Royem-Morganem. On ma osiem lat.

Roy-Morgan nie był ani trochę zainteresowany witaniem się z nowym kolegą. Wiercił się na krześle i demonstracyjnie przysunął głowę do siedzącego obok chłopca. Jeanette zmarszczyła brwi i cofnęła się na krześle, kiedy Olav zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką ociekającą brudną wodą z topniejącego śniegu. Jeszcze zanim do niej dotarł i na długo, nim zdążyła zdradzić, czy w ogóle dotknie rozczapierzonych palców, które się do niej przybliżyły, chłopiec głęboko się skłonił i oświadczył uroczyście:

– Olav Håkonsen. Bardzo mi przyjemnie.

Jeanette wcisnęła się w oparcie krzesła, obiema rękami wczepiła w siedzenie, a kolana podciągnęła pod samą brodę. Nowy chłopiec próbował opuścić ręce, ale figura i ubranie mu na to nie pozwoliły. Ręce sterczały na boki jak u ludzika Michelin. Ofensywna postawa gdzieś zniknęła, zapomniał też o rozstawieniu nóg. Kolana pod grubymi udami wyraźnie się

całowały, a palce stóp w ogromnych adidasach wskazywały na siebie.

Mniejsi chłopcy ucichli.

– Wiem, dlaczego nie chcesz się ze mną przywitać – stwierdził Olav.

Kobiecie udało się wyprowadzić najmniejsze dziecko do innego pokoju. Kiedy wróciła, zobaczyła w drzwiach matkę Olava. Podobieństwo między nią a synem było uderzające. Takie same czarne włosy, takie same szerokie usta z dolną wargą natychmiast przykuwającą uwagę, z wyglądu niezwykle miękka, a poza tym wilgotną i czerwoną, nie zaś suchą i spuchniętą, za czym raczej przemawiałaby pora roku. U chłopca wyglądało to dziecinnie. U dorosłej kobiety – odrażająco, zwłaszcza że z ust nieprzerwanie wysuwał się równie czerwony język, by ją zwilżyć. Oprócz warg zdziwienie budziły barki, a raczej ich kompletny brak. Od głowy ciągnął się obły kształt niczym w kręglu albo w gruszce, miękka linia kończąca się niewiarygodnie szerokimi biodrami, z których wyrastały grube uda i cienkie łydki zmuszone utrzymać całe to ciało. Dziwaczna figura jeszcze bardziej rzucała się w oczy u matki niż u syna, prawdopodobnie z powodu dopasowanego płaszcza. Kobieta usiłowała pochwycić jej spojrzenie, ale bez powodzenia.

– Dobrze wiem, dlaczego nie chcesz się ze mną przywitać – powtórzył Olav. – Bo jestem brzydki i gruby.

Powiedział to bez cienia urazy, z lekkim uśmiechem zadowolenia, niemal jakby konstatował wreszcie dostrzeżony fakt, jakby rozwiązał skomplikowany problem, na który poświęcił swoich dwanaście małych lat. Odwrócił się i nie patrząc na biuściastą ciocię z domu dziecka, spytał, gdzie będzie mieszkał.

– Czy byłabyś tak miła i pokazała mi mój pokój?

Kobieta wyciągnęła do niego rękę, lecz on, zamiast ją ująć, zrobił dłonią elegancki płynny gest i lekko się uklonił.

– Panie przodem!

Poczłapał za nią na piętro.

Był taki duży. Wiedziałałam, że coś jest nie tak. Położyli mi go w ramionach, a ja nie poczułam ani radości, ani smutku. Poczulałam bezsilność. Wielką przytłaczającą bezsilność, jakby nałożono na mnie brzemię, a wszyscy wiedzieli, że nigdy nie zdołam go udźwignąć. Pocieszali mnie, mówili, że to zupełnie normalne. Był po prostu taki duży.

Taki duży? Normalne? Czy ktoś z nich próbował wycisnąć z siebie grudę ważącą 5340 gramów? Przenosiłam go trzy tygodnie, wiedziałam o tym, ale lekarka upierała się, że się mylę. Jakby to ona mogła mieć pewność! Przecież wiedziałam dokładnie, kiedy został poczęty. We wtorek wieczorem. W jeden z tych wieczorów, kiedy uległam, żeby uniknąć awantury, bo strach przed jego wybuchem wściekłości był tak ogromny, że nie miałam siły protestować. Akurat wtedy po prostu nie mogłam, nie przy takiej ilości alkoholu w domu. Następnego dnia zabił się, jadąc samochodem. To była środa. Od tamtej pory nie współżyłam z żadnym mężczyzną, dopóki ten tłusty dzieciak nie przyszedł na świat uśmiechnięty. Naprawdę! On się uśmiechał! Lekarka twierdziła, że to tylko taki grymas, ale ja wiem, że to był uśmiech. Nadal się tak uśmiecha, zawsze. To jego najlepsza broń. Nie zapłakał ani razu, od kiedy skończył półtora roku.

Położyli mi go na brzuchu. Trudna do ogarnięcia masa nowego ludzkiego ciała, które już wtedy otworzyło oczy i zaczęło przesuwając wielkie usta po mojej skórze w poszukiwaniu piersi. Ubrane na biało kobiety roześmiały się i jeszcze raz uderzyły go w pupę. To dopiero zuch!

Wiedziałam, że coś jest nie tak. One powtarzały, że wszystko w porządku.

Ośmioro dzieci i dwoje dorosłych siedziało wokół owalnego stołu. Siedmioro odmawiało modlitwę przed posiłkiem razem z dorosłymi. Nowy chłopiec miał rację: pomieszczenie, do którego trafił wcześniej, nie było kuchnią.

Kuchnia znajdowała się bardziej w głębi dużej przebudowanej willi z przełomu wieków i prawdopodobnie pierwotnie pełniła funkcję pokoju kredensowego. Była po domowemu przytulna, urządzona na niebiesko, z gałgankowymi chodnikami na podłodze. Oprócz niezwykle dużej gromadki dzieci od prywatnego domu odróżniały ją jedynie listy dyżurów wiszące na dużej tablicy przy drzwiach do jednego z pokoi – do pokoju dziennego, jak zdążył się już zorientować chłopiec. Oprócz nazwisk były na niej również malutkie zdjęcia wychowawców, ponieważ – jak chłopiec się dowiedział – nie wszystkie dzieci umiały czytać.

– Ha! Nie potrafią czytać – skomentował drwiąco. – Przecież tutaj wszyscy mają co najmniej siedem lat!

Jedyną odpowiedzią był życzliwy uśmiech kobiety o wydatnym biuście, kierowniczkii.

– Nie mówi się „kierowniczką” – oświadczył. – Mówi się „kierownik”. Tak samo nie mówi się „profesorka”, tylko „profesor”, nawet jeśli to kobieta.

– Uważam, że „kierowniczką” brzmi o wiele przyjemniej – upierała się kobieta. – Poza tym możesz mnie nazywać Agnes. Tak mi na imię.

Agnes tu teraz nie siedziała. Dorośli jedzący razem z dziećmi kolację byli od niej o wiele młodszy. Mężczyzna miał jeszcze mnóstwo przyszczy, a kobieta długie jasne włosy, które splotła w niezwykle elegancki warkocz, zaczynający się na samym czubku głowy, a kończący czerwoną jedwabną kokardą. Była bardzo ładna. Miała na imię Maren, a mężczyzna Christian. Razem z dziećmi zaśpiewali krótką piosenkę, trzymając się za ręce. Olav nie chciał się przyłączyć.

– Nie musisz, jeśli nie chcesz – powiedziała Maren naprawdę miłym tonem.

Zaczęli jeść. Obok Olava siedziała Jeanette, która przed południem nie chciała się z nim przywitać. Ona też była grubiotka, miała brązowe sztywne włosy związane gumką, która cały czas się zsuwała. Za nic nie chciała usiąść obok niego. Głośno protestowała, ale Maren zdecydowanie ucięła wszelkie dyskusje. W końcu Jeanette przycupnęła na przeciwległym brzeжку krzesła, jak najdalej od niego, przez co Roy-Morgan bez przerwy szturchał ją łokciem i wrzeszczał, że obleżą go dziewczynskie wszy. Z drugiej strony Olava siedział Kenneth, siedmiolatek, najmłodszy w całym domu. Nie mógł sobie poradzić z masłem i zniszczył kromkę chleba.

– Jesteś jeszcze bardziej niezdarny niż ja – stwierdził Olav zadowolony, sięgnął po nową kromkę, posmarował ją starannie i położył na talerzyku Kennetha. – Co chcesz na kanapkę?

– Dżem – szepnął Kenneth i obie ręce wsunął pod uda.

– Dżem, głupku? To nie potrzebujesz masła! – Olav sięgnął po kolejną kromkę, na jej środku umieścił solidną porcję dżemu jagodowego i rozsmarował go gwałtownymi ruchami. – Masz. – Rzucił kanapkę na talerzyk Kennetha, a sam wziął tę z masłem. Rozejrzał się. – Gdzie cukier?

– Nie potrzebujemy cukru – wyjaśniła Maren.

– Chcę cukier do chleba!

– Cukier jest niezdrowy. Tu go nie używamy.

– A wiesz, ile cukru jest w tym dżemie, który je teraz ten głupek?

Pozostałe dzieci ucichły i bacznie obserwowały sytuację. Kenneth zaczerwienił się jak burak i przestał żuć, chociaż miał pełne usta. Maren wstała. Christian już chciał coś powiedzieć, ale Maren obesła stół i nachyliła się nad Olavem.

– Ty też możesz wziąć sobie dżem – powiedziała spokojnie. – Poza tym to dżem niskosłodzony, zobacz!

Sięgnęła po słoik, ale chłopiec ją uprzedził. Poderwał się gwałtownie, wywracając krzesło, i błyskawicznym ruchem, o jaki nikt by go nie podejrzewał, chwycił dżem i cisnął nim przez cały pokój aż do drzwi lodówki. Rozległ się huk, w drzwiczkach pojawiło się solidne wgniecenie, ale słoik jakimś cudem pozostał cały. Zanim ktoś zdołał Olava powstrzymać, chłopiec już był przy wysokiej szafce po drugiej stronie i wyciągał z niej wielki pojemnik z cukrem.

– Tu jest cukier! – wrzasnął. – Tu jest ten cholerny, pierdolony cukier!

Zerwał pokrywkę, rzucił ją na podłogę i zaczął biegać w chmurze cukru. Jeanette parsknęła śmiechem. Kenneth się rozplakał. Glenn, który miał czternaście lat i ciemny puch nad górną wargą, mruknął, że Olav to wariat. Siedemnastoletni Raymond, stary wyga, do całej tej sytuacji podszedł ze stoickim spokojem – po prostu zabrał swój talerz i wyszedł. Szesnastoletnia Anita ruszyła za nim. Bliźniak Roya-Morgana, Kim-André, złapał brata za rękę, podniecony i szczęśliwy. Popatrzył na Jeanette i niepewnie też zaczął się śmiać.

Pojemnik z cukrem był pusty. Olav już miał go rzucić na podłogę, ale Christian w ostatniej chwili złapał go za rękę i ścisnął mocno jak imadło. Olav z krzykiem próbował się wyrwać, lecz Maren zdążyła już doskoczyć do niego i mocno go objęła. Chłopiec był niewiarygodnie silny jak na dwunastolatka, ale wychowawczynie po kilku minutach poczuła, że zaczął się uspokajać. Nie przestawała cichutko przemawiać mu prosto do ucha:

– Już dobrze, dobrze. Uspokój się. Wszystko w porządku.

Przekonawszy się, że Maren panuje nad chłopcem, Christian zabrał pozostałych wychowanków do pokoju dziennego. Kenneth zwymiotował. Nieapetyczna kupka przeżutego chleba, mleka i czarnych jagód leżała u niego na talerzyku, po który niepewnie sięgnął, chcąc go zabrać ze sobą, tak jak zrobiły inne dzieci.

– Zostaw to! – nakazał Christian. – Oddam ci swoją kanapkę.

Gdy tylko wyszli, Olav już całkiem się uspokoił. Maren na próbę go puściła i chłopiec osunął się na podłogę bezwładnie jak worek.

– Ja jem tylko chleb z cukrem – mruknął. – Mama mi po-

– W takim razie coś ci proponuję. – Maren usiadła przy nim, opierając się plecami o zniszczoną lodówkę. – U mamy będziesz jadł cukier, tak jak jesteś przyzwyczajony. Ale tutaj będziesz jadł tylko to, co myjemy. Nie uważasz, że to dobra umowa?

– Nie.

– Ale niestety musi tak być. U nas obowiązują pewne zasady, do których wszyscy się

stosują. Inaczej byłoby bardzo niesprawiedliwie, prawda?

Chłopiec nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie nieobecnego. Maren na próbę dotknęła dłonią grubego uda. Reakcja była natychmiastowa. Uderzył ją w rękę.

– Nie ruszaj mnie, do jasnej cholery!

Wstała spokojnie i popatrzyła na niego z góry.

– Chcesz coś zjeść, zanim sprzątnę ze stołu?

– Tak. Sześć kromek chleba z cukrem.

Maren uśmiechnęła się lekko, wzruszyła ramionami i zaczęła zawijać produkty w plastikową folię.

– Będę musiał iść spać głodny w tej pieprzonej dziurze?

Patrzył teraz prosto na nią. Pierwszy raz. Oczy miał zupełnie czarne, wyglądały jak dwa głębokie otworki w nabitej twarzy. Maren doszła do wniosku, że mógłby być całkiem ładny, gdyby nie te rozmiary.

– Nie, Olav. Wcale nie musisz kłaść się spać głodny. Sam decydujesz. Cukru do chleba nie dostaniesz. Ani teraz, ani jutro. Nigdy. Umrzesz z głodu, jeśli nie będziesz jadł, czekając, aż ustąpimy. W porządku?

Nie mieściło mu się w głowie, że wychowawczyni może być taka spokojna. Jej nieustępliwość go zdezorientowała. Wciąż nie mógł pojąć, że pójdzie spać bez kolacji. Pomyślał nawet, że przecież salami wcale nie jest najgorsze, ale prędko zrezygnował. Z trudem wstał, ciężko sapiąc z wysiłku.

– Cholera, taki jestem gruby, że nawet nie mogę się podnieść – powiedział cicho do siebie, kierując się w stronę pokoju.

– Posłuchaj, Olav! – Maren stała tyłem, oglądając wgniecenie w drzwiczkach lodówki. Chłopiec zatrzymał się, ale się nie odwrócił.

– Bardzo fajnie, że pomogłeś Kennethowi zrobić kanapkę. On jest taki mały i wrażliwy.

Przez chwilę się wahał, w końcu powoli stanął przodem do Maren.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia sześć.

– Aha.

Poszedł spać bez kolacji.

Raymond chrapał. Chrapał naprawdę, jak dorosły mężczyzna. Pokój był duży. W słabym świetle wpadającym przez okno Olav z trudem dostrzegał plakat zespołu Rednex nad łóżkiem współlokatora. W kącie stał zdemontowany rower górski, a na biurku Raymonda panował chaos podręczników, papierów po kanapkach, komiksów i narzędzi. Na biurku Olava nie leżało nic. Czysta i trochę sztywna pościel pachniała obco, ale przyjemnie, jakby kwiatowo. Była o wiele ładniejsza niż ta, którą miał w domu. W kolorowe bolidy Formuły 1. Poszewka na poduszkę i poszwa na kołdrę miały ten sam wzór, a prześcieradło było niebieskie, w kolorze niektórych samochodów. W domu nigdy nie spał w pościeli, która stanowiłaby komplet.

Zasłonki lekko drgały, poruszane powietrzem wpadającym przez uchylone okno. Raymond zdecydował, że tak ma być. Olav, przyzwyczajony do ciepłej sypialni, trochę zmarzł mimo nowej piżamy i ciepłej kołdry. Poza tym był głodny.

– Olav!

To była kierowniczką. A raczej Agnes. Szeptęła do niego od drzwi.

– Śpisz?

Odwrócił się twarzą do ściany i nie odpowiedział. Idź sobie, idź sobie, powtarzał w myślach, ale nic mu z tego nie przyszło. Agnes już przysiadła na brzegu łóżka.

– Nie dotykaj mnie!

– Nie będę cię dotykać, Olav. Chciałam tylko chwilę porozmawiać. Słyszałam, że w czasie kolacji się rozzłoście.

Żadnej odpowiedzi.

– Zrozum, nie możemy pozwolić, żeby którekolwiek z dzieci tak się zachowywało. Pomyśl tylko, co by było, gdyby cała ósemka obrzucała się cukrem i dżemem. – Roześmiała się cicho, ale dźwięcznie. – To by dopiero wyglądało!

Olav wciąż się nie odzywał.

– Przyniosłam ci coś do jedzenia. Trzy kanapki. Z serem i kielbasą. I szklankę mleka. Stawiam to wszystko przy łóżku. Jeśli zechcesz zjeść, to dobrze, jeśli nie, możemy się umówić, że wyrzucisz to jutro rano do śmieci, tak żeby nikt tego nie widział. I nikt nie będzie wiedział, czy zjadłeś, czy nie. Zgadzasz się?

Chłopiec poruszył się lekko, a potem nagle się obrócił.

– To ty zdecydowałaś, że mam tu mieszkać? – spytał głośno ze złością.

– Pst! – uciszyła go. – Obudzisz Raymonda! Nie, dobrze wiesz, że ja nie decyduję o takich sprawach. Moim obowiązkiem jest dobrze się tobą zajmować. Razem z innymi dorosłymi. Wszystko się ułoży. Chociaż z całą pewnością będziesz tęsknił za mamą. Ale

możesz się z nią często widywać, nie zapominaj o tym.

Olav prawie już usiadł na łóżku. W słabym świetle wyglądał jak pękaty demon. Kruczoczarne włosy, nietwarzowa fryzura, szerokie usta, które nawet po ciemku jaśniały czerwienią. Agnes mimowolnie spuściła wzrok. Ręce na kółdrze były rękami dziecka, wielkie, ale pokryte skórą cienką jak u niemowlęcia. Bezradnie zaciskały się na samochodach Formuły 1. Boże, pomyślała. Ten potwór ma dopiero dwanaście lat. Dwanaście lat!

– Tak naprawdę – powiedział, patrząc prosto na nią – ja jestem więźniem, a ty moim strażnikiem. To jakieś cholerne więzienie.

Kierowniczka domu dziecka Promyk Słońca, jedynej w Oslo tego rodzaju placówki, zobaczyła coś, czego w ciągu dwudziestu trzech lat pracy w służbie ochrony praw dziecka nigdy wcześniej nie widziała. Pod czarnymi wąskimi brwiami chłopca rozpoznała to, co nosi w sobie wielu zrozpaczonych dorosłych, którym odebrano dzieci i którzy wrzucali ją do jednego worka z całą prześladowającą ich machiną biurokratyczną. Ale Agnes Vestavik nigdy nie widziała tego u dziecka.

To była nienawiść.

Z kliniki odesłali mnie do domu z nowymi zapewnieniami, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, a on jest trochę żarłoczny jedynie dlatego, że taki z niego duży ładny chłopiec. Odesłali mnie po trzech dniach do pustego mieszkania. Z opieki społecznej dostałam pieniądze na łóżeczko, leżaczek i trochę ubranek. Dwa czy trzy razy odwiedziła mnie jakaś pani. Zauważyłam, że ukradkiem rozgląda się po kątach, i skłamała, że musi skorzystać z toalety. Tylko po to, żeby się przekonać, czy u mnie jest czysto. Tak jakby to kiedykolwiek stanowiło problem. Przecież ja cały czas sprzątam. Stałe pachnie ajaxem.

Od razu wypełnił sobą mieszkanie. Nie bardzo wiem, jak to możliwe, ale miałam wrażenie, że już pierwszego wieczoru uznał, że to jest jego miejsce, jego dom, jego mama. Jego noce. Nie płakał. Po prostu się awanturował. Inni może nazwaliby to płaczem, ale tak nie było. Rzadko pojawiały się łzy. Te kilka razy, kiedy płakał naprawdę, łatwo go pocieszyłam. Był wtedy głodny. Wsuwałam mu pierś do ust i milkł. Poza tym po prostu się awanturował. Wydawał z siebie jękliwy krzyk, rzucał się w łóżeczku, skopywał kółdrę i ściągał ubranka. Wypełniał mieszkanie do tego stopnia, że czasami musiałam po prostu wychodzić. Zostawiałam go w łazience, żeby nikt go nie usłyszał, zapiętego pasami w leżaczku. Na

wszelki wypadek okładałam ze wszystkich stron poduszkami. Wychodziłam. Do centrum handlowego, gdzie wypijałam kawę, czytałam jakiś tygodnik, oglądałam sklepy. Od czasu do czasu wypalałam papierosa. W ciąży rzuciłam i wiedziałam, że nie powinnam palić, dopóki karmię piersią. Ale jeden papieros na kilka dni nie mógł mu zaszkodzić. Mimo to miałam później wyrzuty sumienia.

Te moje wyjścia gwałtownie się skończyły, kiedy miał pięć miesięcy. Wyszłam wcale nie na długo, może na dwie godziny. Maksymalnie. Kiedy wróciłam, w domu panowała straszna cisza. Rzuciłam się do łazienki i zobaczyłam, że leży bez życia, do połowy zsunięty z leżaczka, z pasem zaciśniętym na szyi. Musiało minąć kilka sekund, zanim zebrałam się w sobie na tyle, żeby go uwolnić. Charczał i kasłał, siny na buzi, a ja potrząsałam nim, szlochając. W końcu zaczął odzyskiwać normalny kolor. Tylko był taki cichy.

Przytuliłam go i po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że go kocham. Moje dziecko miało już pięć miesięcy, a ja do tej pory nic do niego nie czułam. Wszystko było nienormalne od samego początku.

Było późno. Nowy chłopiec okazał się gorszy, niż przypuszczała. Przeglądała raport psychologa, trochę zbyt zmęczona, żeby wszystko właściwie zrozumieć. Słowa dobrze znała. Takie same pojawiały się w opisach wszystkich dzieci, jedynie w nieco innej kolejności, w trochę innych kontekstach: „Długotrwałe zaniedbanie”, „Matka nie jest w stanie ochronić chłopca przed mobbingiem”, „Chłopiec podatny na wpływy”, „Nie radzi sobie w szkole”, „Poważne problemy z wyznaczaniem granic”, „Zachowanie na przemian agresywne i świadczące o parentyfikacji; przesadne, wręcz eleganckie gesty w stosunku do matki i innych dorosłych, co w wyraźny sposób potwierdza hipotezę poważnych zaburzeń rozwojowych w wyniku zaniedbań wychowawczych”, „Brak kontroli nad zachowaniami impulsywnymi może wkrótce zmienić się w bezpośrednie zagrożenie dla otoczenia, jeśli chłopiec nie znajdzie się pod odpowiednią opieką. Potrzebuje stanowczości, poczucia bezpieczeństwa, przewidywalności, których bardzo mu brakuje”, „Do innych dzieci odnosi się jak dorosły, co budzi w nich lęk, więc odrzucają go, a to z kolei wywołuje u niego zachowania agresywne i aspołeczne”.

Do Promyka Słońca trafiali wyłącznie najtrudniejsi wychowankowie. W Norwegii dzieci, które z jakiegoś powodu nie mogły dorastać z biologicznymi rodzicami, umieszczano

w rodzinach zastępczych. Tak po prostu było. Znalezienie nowych domów dla niemowląt nie sprawiało żadnych trudności, podobnie jak dla kilkulatków. Ale gdy dzieci osiągały wiek szkolny, problemy nagle narastały, choć z reguły i im udawało się zaradzić. Wyjątek stanowiły dzieci najtrudniejsze, najbardziej wymagające, zniszczone przez życie i patologicznych rodziców. Właśnie one trafiały do Agnes.

Stłumiła ziewnięcie i zaczęła rozmasowywać krzyż. Olav na pewno w końcu ustąpi. Agnes jeszcze nigdy nie zrezygnowała z żadnego dziecka. Poza tym w tej chwili wcale nie on stanowił jej najpoważniejszy problem. Spróbowała znaleźć wygodniejszą pozycję, ale bez powodzenia. Schowała papiery chłopca do szuflady, kluczem otworzyła inną. Wyjęła kartonową teczkę zawierającą pięć kartek. Długo się w nie wpatrywała, w końcu je złożyła, ciężko westchnęła i starannie zamknęła szufladę. Klucz trochę się opierał, ale dał się jakoś wyjąć. Wstała sztywno, podniosła doniczkę z roślinką stojącą na regale przy oknie i odłożyła kluczyk na miejsce. Przez chwilę wyglądała przez szybę.

Ogród nocą zawsze wydawał się większy. Światło księżyca rzucało zimne niebieskie cienie na cienką warstwę śniegu. Na samym końcu przy drodze, tuż przy niskim ogrodzeniu z siatki stał rower Glenna. Znów westchnęła, postanawiając, że tym razem będzie wobec niego twarda. Nie ma jazdy na rowerze po oblodzonych drogach. Dwa dni temu kazała Christianowi zamknąć rower w piwnicy. Albo Christian tego nie zrobił, albo Glenn wyłamał zamek i go stamtąd zabrał. Nie bardzo wiedziała, co jest gorsze: niesumienny pracownik czy kompletnie nieposłuszne dziecko.

Od okna, starego i nieszczęelnego, ciągnęło chłodem. Musieli wybierać i najpierw wymienili okna na parterze, gdzie dzieci głównie przebywały w ciągu dnia. Bóg jeden wie, kiedy jej gabinet trafi na listę priorytetów. Westchnęła cicho i ruszyła w stronę drzwi. Chociaż teraz, gdy z mężem nie układało jej się najlepiej, powrót do domu wcale nie kusił, to jednak organizm dopominał się o sen. Jeśli będzie miała szczęście, okaże się, że mąż już się położył.

Przed wyjściem zajrzała jeszcze raz do Olava. Dwadzieścia pięć lat doświadczenia w pracy z dziećmi powiedziało jej natychmiast, że chłopiec śpi, mimo że dostrzegła zaledwie zarys jego ciężkiej postaci w łóżku. Oddychał równo i spokojnie, podeszła więc i starannie okryła go kołdrą. Kiedy ostrożnie zamykała za sobą drzwi, uśmiechnęła się, bo zobaczyła, że kanapki i mleko zniknęły. Postanowiła jednak nie łamać umowy i naczynia zostawiła na miejscu.

W pokoju dziennym Christian drzemał z nogami na stole, a Maren, zwinięta w fotelu, czytała kryminał. Na widok kierowniczkę Christian odruchowo zdjął nogi z blatu. Mógł już

dawno iść do domu, bo jego dyżur skończył się przed godziną, ale był na to zbyt leniwy.

– Szczerze mówiąc, trudno nauczyć dzieci dobrych manier, skoro ty jesteś od nich chemicznie czysty – zwróciła się do młodego studenta, który brał wieczorne i nocne dyżury na pół etatu. – Poza tym chyba uzgodniliśmy, że rower Glenna trzeba zamknąć!

– O cholera, zapomniałem. – Zawstydzony dotknął olbrzymiego pryszcza na lewym skrzydełku nosa.

– Posłuchaj, Christian! – Usiadła przy nim wyprostowana jak struna. – To jest placówka prowadzona przez Armię Zbawienia. Robimy wszystko, żeby oduczyć dzieci brzydkich nawyków językowych. Dlaczego tak ci trudno zrozumieć moją niechęć do przekleństw? Tak naprawdę obrażasz mnie za każdym razem, kiedy wypowiadasz takie słowo. Dzieci to dzieci, ale ty jesteś dorosły i powinieneś mieć szacunek dla innych ludzi.

– Przepraszam, przepraszam – mruknął niepewnie, a pryszcz nagle pękł. Wypłynęła z niego żółta ropa i Christian zafascynowany zapałzył się na swój palec.

– Rany boskie! – jęknęła Agnes i wstała. Wkładając płaszcz, odwróciła się do Maren, która nie zważając na to drobne starcie, dalej przerzucała kartki. – Muszę wkrótce porozmawiać z tobą na osobności – oznajmiła, a potem, patrząc znów na Christiana, wciąż zdumionego ilością ropy, jaką może zawierać jeden pryszcz, dodała: – Musimy omówić plany dyżurów na luty i marzec. Mogłabyś przygotować jakąś propozycję?

– Mhm – mruknęła Maren, na moment odrywając oczy od książki. – W porządku.

– Dobrze by było, gdybyś się tym zajęła jeszcze dziś. Mogłybyśmy przedyskutować to jutro po południu.

Maren znów podniosła wzrok, uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– W porządku, Agnes. Plan będzie gotowy na popołudnie. W porządku. Dobranoc.

– I ja wam życzę dobrej nocy.

2.

Willa była przepiękna. Wprawdzie środki przeznaczone na remont w żaden sposób nie mogły starczyć na przyzwoitszą renowację niż wymiana pierwotnych okien z ośmioma szybkami na zespolone, z aluminiowymi szprosami na parterze, ale budynek i tak dumnie prężył wieżyczki na blisko półhektarowej działce. Elewację pomalowano na beżowo, lecz ozdobiono zielonymi drewnianymi elementami przywodzącymi na myśl styl szwajcarski. Przed pięcioma laty zmieniono rozkład pomieszczeń i na parterze znajdowały się teraz dwa przestronne pokoje, salka konferencyjna, kuchnia, łazienka, pralnia i biblioteka, w zasadzie służąca za archiwum. Na piętrze urządzono sześć sypialni dla dzieci, w części dwuosobowych, i dzięki temu wygospodarowano dwa wspólne pokoje do odrabiania lekcji. Była tu jeszcze osobna sypialnia dla wychowawców. W głębi korytarza, na prawo od schodów mieścił się gabinet kierowniczkii, a naprzeciwko niego – duża łazienka z wanną i mniejsza z prysznicem i toaletą. Budynek miał jeszcze piwnicę i duży wysoki strych. Po kontroli straży pożarnej przed kilkoma laty przy oknach w obu końcach korytarza zainstalowano drabinki, a w każdej sypialni liny ewakuacyjne.

Dzieciaki uwielbiały ćwiczenia przeciwpożarowe. Wszystkie z wyjątkiem Kennetha. I teraz Olava. Ten pierwszy szlochał na środku korytarza, wczepiony w wiszącą na ścianie gaśnicę. Olav natomiast stał na szeroko rozstawionych nogach i gniewnie wysuwał dolną wargę bardziej niż kiedykolwiek.

– Za cholerę! – powtarzał ze złością. – Za jasną cholerę nie zjadę po tej linie!

– Może wobec tego drabina, Olav? – zaproponowała Maren. – Drabina nie jest taka straszna. Poza tym musisz się oduczyć tego przeklinania. Jesteś tu już trzy tygodnie i jeśli nadal będziesz używał brzydkich wyrazów, przypadnie ci całe kieszonkowe!

– No dalej, Olav! – szturchnął go w plecy Terje, który miał trzydzieści kilka lat i formalnie był zastępcą kierowniczkii. – J a zejść pierwszy. Będę tuż pod tobą, więc gdybyś spadał, to cię złapię, dobrze?

– Za cholerę! – Olav cofnął się o krok.

– Stawiam dziesięć koron, że ten dureń się nie odważy! – zawołał spod okna Glenn, który zdążył już cztery razy zejść po drabinie.

– A co z tobą będzie, jeśli się zacznie palić? – spytał Terje. – Chcesz spłonąć żywcem?

Olav popatrzył na niego z nienawiścią.

– A co cię to obchodzi? Mama mieszka w bloku z betonu, mogę się przenieść do niej.

Terje się poddał i zostawił opornego dzieciaka Maren.

– Czego się boisz? – spytała cicho i dała mu znak, żeby poszedł z nią do swojego pokoju.

Niechętnie poczłapał za wychowawczynią.

– Ja się wcale nie boję.

Ciężko opadł na łóżko, aż zatrzeszczało. Maren przyłapała się na tym, że zanim usiadła obok, oceniła solidność mebla.

– Jeśli się nie boisz, to co cię powstrzymuje?

– Po prostu mi się nie chce. Wcale się nie boję.

Z korytarza przez pełne zachwyty śmiechy i okrzyki dzieci udających na linach Tarzana przebił się przeraźliwy płacz Kennetha.

Maren nie była świętą. Nie znosiła oświadczeń w rodzaju: „Bardzo lubię dzieci”. Jej zdaniem dzieci były tak samo różne jak dorośli – jedne czarujące, inne pełne wdzięku, a jeszcze inne po prostu nieznośne. Jako pedagog uważała, że nikt nie powinien po niej poznać, że któregoś nie lubi. Nie traktowała wszystkich jednakowo, bo przecież się nie dało, ale była sprawiedliwa i nikogo nie wyróżniała. Utrzymywała niezwykle delikatną równowagę w relacjach z podopiecznymi i była z tego powodu dumna. Olav jednak miał na nią dziwny wpływ.

Nikommu nie pozwalał się dotknąć, ale coś w jego postawie – kiedy tak siedział jak przebrany Budda, który próbuje udawać rozgniewanego, a jest po prostu smutny – coś w całej tej jego okropnej postaci ją pociągało. Dlatego złamała zakaz dotyku i pogładziła go po włosach. Nie odepchnął jej.

– Co się z tobą dzieje, mały? – spytała cicho i jeszcze raz go pogłaskała.

– Ja nie jestem mały – zaprotestował, ale wyczuła w jego głosie cień uśmiechu.

– Trochę jednak jesteś – roześmiała się. – A przynajmniej od czasu do czasu.

– Lubisz tu pracować? – spytał nagle, odpychając jej rękę.

– Owszem, bardzo, bardzo lubię. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym pracować w jakimkolwiek innym miejscu na świecie.

– A od jak dawna tu jesteś?

– Mniej więcej trzy lata... – zawahała się i dodała: – Od momentu, gdy skończyłam studia, Wyższą Szkołę Pracy Socjalnej. Prawie cztery lata temu. I będę tu jeszcze przez wiele, wiele lat.

– Dlaczego nie masz własnych dzieci?

– Może kiedyś będę miała. Ale przecież nie dlatego tu pracuję. Nie dlatego że ich nie

mam. Większość tutejszych opiekunów ma dzieci.

– Ile stron ma Biblia? – spytał nagle.

– Biblia?

– Tak. Ile ma stron? Chyba cholernie dużo. Zobacz, jaka gruba!

Sięgnął po egzemplarz leżący na nocnej szafce, taki sam jak pozostałych dzieci, i kilka razy uderzył się nim w udo, zanim wreszcie podał go Maren.

Zaczęła przerzucać kartki.

– Możesz zajrzeć na ostatnią stronę – podpowiedział. – Nie musisz liczyć.

– Tysiąc dwieście siedemdziesiąt jeden – stwierdziła. – I jeszcze kilka stron z mapami.

Wiesz co... Mówiłam prawdę o tym przeklinaniu. Spróbujemy teraz zejść po tej drabince?

Chłopiec wstał, a łóżko odetchnęło z ulgą.

– Idę na dół – odparł. – Schodami.

Nie było żadnej dyskusji.

Skontaktowałam się z Urzędem Ochrony Praw Dziecka. Tak, zrobiłam to, kiedy miał dwa lata. Byłam przerażona, musiałam poszukać pomocy. Ktoś musiał się nim trochę zająć. Chociaż przez kilka godzin w ciągu dnia. Myślałam o tym od dawna, ale cały czas to odkładałam ze strachu przed ich decyzją. Bałam się, że mi go odbiorą. A mieliśmy tylko siebie. Wciąż karmiłam go piersią, chociaż ważył już dziewiętnaście kilo i jadł pięć innych posiłków w ciągu dnia. Pożerał wszystko. Nie wiem, dlaczego tak długo mu na to pozwalałam. Ale przez te dziesięć minut przy piersi był przynajmniej spokojny. Miałam nad nim kontrolę. To były takie maleńkie kieszonki spokoju. Kiedy zaczynał tracić zainteresowanie jedzeniem, to ja przegrywałam, nie on.

W urzędzie okazali mi życzliwość. Dwa albo trzy razy odwiedzili mnie w domu. Potem znaleźli miejsce w przedszkolu. Od piętnaście po ósmej do piątej. Choć uprzedzali, że nie powinnam go tam zostawiać na tak długo. Skoro nie pracuję, nie musiał tyle tam siedzieć. Mówili, że to go męczy.

Odprowadzałam go więc codziennie rano piętnaście po ósmej. I nigdy nie odbierałam przed piątą. Ale też nigdy się nie spóźniałam.

Tylko dzięki temu przeżyłam.

Olav tęsknił za domem. Jakby go ssało w środku, wcześniej niczego takiego nie odczuwał, ale też i nigdy tak długo nie przebywał z dala od domu. Próbował pozbyć się tej dziury w brzuchu, oddychając szybko i płytko, ale od tego zaczynało mu się tylko kręcić w głowie i pojawiał się ból. Całe ciało go bolało. Starał się więc znowu oddychać głęboko, lecz wtedy to ssanie powracało. Był na granicy płaczu.

Nie wiedział jednak, czy tęskni za mamą, za mieszkaniem, za łóżkiem, czy za swoimi rzeczami. W ogóle się nad tym nie zastanawiał. Czuł po prostu jedną wielką tęsknotę.

Chciał do domu. Ale nie pozwolono mu tam pojechać. Zapowiedziano, że musi spędzić tutaj dwa miesiące, zanim odwiedzi mamę. Ale za to mama wpadała do niego dwa razy w tygodniu. Jakby miała tu coś do roboty. Widział, że inne dzieci gapią się na nią, a bliźniacy śmiali się za każdym razem, kiedy się pojawiała. Tylko Kenneth z nią rozmawiał. Ale on w ogóle nie miał mamy biedak, więc pewnie był trochę zazdrosny. Brzydka i paskudna mama jest pewnie i tak lepsza niż żadna.

Za każdym razem mogła zostać dwie godziny. Pierwsza jakoś mijała – trochę rozmawiali, czasami wychodzili na spacer po okolicy. Dwa razy wyprawili się do kawiarni na ciastka. Ale to było dość daleko i sama droga zajmowała prawie cały ich czas. Gdy za pierwszym razem spóźnili się pół godziny, Agnes nakrzyczała na mamę. Widział, że mamie jest przykro, chociaż nic nie mówiła. Zniszczył wtedy wieszak w szatni, a wówczas Agnes zezłościła się i na niego.

W drugiej godzinie było trudniej. Agnes proponowała, żeby mama pomagała mu w odrabianiu lekcji, ale przecież nigdy wcześniej tego nie robiła, więc pomysł mu się nie podobał. Głównie więc przesiadywali u niego w pokoju, niewiele się do siebie odzywając.

Tak strasznie tęsknił za domem.

Był głodny.

Głód towarzyszył mu nieustannie. Odkąd trafił do domu dziecka, było jeszcze gorzej. Wczoraj chciał trzecią dokładkę klopsików i dużo sosu. Ale Agnes nie pozwoliła, chociaż w garnku zostało ich jeszcze mnóstwo. Kenneth powiedział, że Olav może zjeść jego porcję, lecz w chwili, gdy miał ją zgarnąć na swój talerz, Agnes mu go zabrała i zamiast tego dała mu jabłko. A przecież on nie chciał jabłka, tylko klopsiki.

Był cholernie głodny.

Akurat teraz wszystkie dzieci przebywały poza domem. W każdym razie w wielkim

budynku panowała zupełna cisza. W szkole był dzień organizacyjny, więc pewnie dlatego właśnie dzisiaj urządzili te ćwiczenia przeciwpożarowe. Olav wstał z łóżka i potrząsnął zdętwiałą nogą. Poczul, jak zaczynają po niej chodzić mrówki. Trochę to bolało, ale też i łaskotało.

Noga się ugięła, kiedy na niej stanął, więc lekko kulał, idąc do schodów. Z dołu dochodziły jakieś głosy, ale to musieli być dorośli. Poczłapał do okna w krótszej ścianie korytarza i zobaczył, że Kenneth z bliźniakami zjeżdżają na sankach ze zbocza opadającego w stronę ulicy. Górka dla tchórzy. Krótka, a poza tym trzeba hamować, żeby nie wpaść na płot. Nie wiedział, gdzie są starsze dzieci, ale im pozwalano prawie na wszystko. Wczoraj Raymond był nawet w McDonalddie. Ze swoją dziewczyną. Przyniósł stamtąd małą figurkę i podarował ją Olavowi. Była jednak cholernie dziecinna, więc Olav oddał ją Kennethowi.

Na schodach próbował się skradać, ale stopnie lekko skrzypiały. W końcu zorientował się, że uniknie hałasu, stawiając stopy na samym skraju każdego schodka. Zszedł na parter prawie bezszelestnie.

– Cześć, Olav!

Ależ się przestraszył. To była Maren.

– Nie wyszedłeś na dwór? Wszystkie dzieci się bawią!

– Nie chce mi się. Idę oglądać telewizję.

– Nie ma oglądania telewizji tak wcześnie. Musisz wymyślić sobie inne zajęcie. –

Uśmiechnęła się.

Była jedyną dorosłą osobą w domu dziecka, którą Olav jako tako mógł znieść. Była racjonalna. Prawie nikt inny taki nie był. Nawet mama. A już na pewno nie Agnes.

– Głodny jestem – poskarżył się cicho.

– Przecież drugie śniadanie jedliśmy zaledwie pół godziny temu!

– Dostałem tylko dwie kromki.

Maren rozejrzała się i stwierdziła, że w polu widzenia nie ma nikogo. Potem z palcem na rozciągniętych w uśmiechu ustach zaczęła dużymi krokami skradać się w stronę kuchni, mruczając przy tym piosenkę rozbójników z Kardamonu. Uśmiechnięty Olav skradał się za nią, chociaż właściwie uważał to za bardzo głupie.

W kuchni Maren leciutko uchyliła drzwi lodówki. Oboje przysunęli twarze do szpary. Światelko zapalało się i gasło, bo drzwiczki nie były całkiem otwarte, więc musieli otworzyć je trochę szerzej.

– Co byś chciał? – szepnęła Maren.

– Klopsiki – odszepnął Olav, wskazując na resztki z wczorajszego obiadu.

– Klopsików nie mogę ci dać, ale możesz dostać jogurt.

Nie był zbyt zadowolony, lecz to i tak było lepsze niż nic.

– Mogę sobie wsypać płatków?

– Dobrze.

Maren wyjęła duże opakowanie jogurtu i naląła z niego trochę do niewielkiej miseczki. Olav wyciągnął z szafki karton płatków i właśnie sypał trzecią łyżkę, kiedy w drzwiach stała Agnes.

– Co wy tu robicie?

Oboje na moment zdrętwieli. W końcu Maren sięgnęła po miskę i częściowo zasłoniła chłopca.

– Olav jest bardzo głodny. Trochę jogurtu nie zaszkodzi.

Agnes bez słowa obeszła duży stół i wyjęła naczynie z rąk Maren. Wciąż nic nie mówiąc, wyciągnęła z szuflady folię spożywczą, owinęła nią jedzenie i odsunęła dwójkę grzeszników od lodówki. Wstawiła do niej miskę i zamknęła drzwi.

– No i tyle. W tym domu nie jadamy między posiłkami. Oboje świetnie o tym wiecie.

Mówiąc to, nawet nie spojrzała na Olava, tylko ostro wpatrywała się w podwładną. Maren, zażenowana, wzruszyła ramionami i położyła rękę na barku Olava. Chłopiec, początkowo zaskoczony, zdołał się już pozbierać.

– Przeklęta krowa!

Agnes wychodziła już z kuchni, ale usłyszawszy te słowa, znieruchomiła w pół kroku, a potem powoli się odwróciła.

– Co ty powiedziałeś?

Maren ostrzegawczo ścisnęła chłopca za ramię.

– Cholerne przeklęte krówsko! – Teraz Olav już krzyczał.

Agnes Vestavik przyskoczyła do niego szybciej, niż ktokolwiek by się spodziewał, ujęła go pod brodę i zmusiła, by na nią spojrzał. Zaprotestował, zaciskając oczy.

– Takich słów tutaj nie używamy – syknęła, a Maren gotowa była przysiąc, że kierowniczką uniosła lewą rękę, jakby chciała wymierzyć chłopcu policzek.

Po raz pierwszy w historii Agnes Vestavik była bliska uderzenia dziecka. Po sekundzie wahania jednak opuściła dłoń, ale wciąż przytrzymywała głowę Olava.

– Spójrz na mnie!

Jeszcze mocniej zacisnął oczy.

– Olav! Otwórz oczy i popatrz na mnie!

Na czerwonej twarzy chłopca pojawiły się białe ślady odcisnięte przez palce

kierowniczką.

– Ja się nim zajmę – zaproponowała Maren cicho. – Porozmawiam z nim.

– Porozmawiasz! Tu nie rozmowa jest potrzebna, tylko...

– Śmierdząca pipa! – syknął Olav przez zaciśnięte zęby.

Kierowniczką pobladła jak trup. Znow uniosła lewą rękę i znow po kilku sekundach ją opuściła. Jeszcze mocniej zacisnęła palce na twarzy chłopca. W końcu dwa razy przełknęła ślinę i wolno rozluźniła dłoń. Chłopiec jednak i tak nie otworzył oczu. Dalej stał z uniesioną twarzą.

– Zadzwoń do twojej matki i powiem, że ma tu nie przychodzić przez dwa tygodnie, rozumiesz? To będzie dla ciebie odpowiednia kara.

Maren otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale widząc spojrzenie Agnes, zaraz je zamknęła. Zamiast tego próbowała stanąć między nimi, co było trudne, gdyż Olav, usłyszawszy wyrok, otworzył i oczy, i usta, szykując się do ataku. Maren udało się go powstrzymać w pół skoku. Złapała go za ręce i wykręciła je na plecy. Olav zaczął wrzeszczeć:

– Nienawidzę cię! Nienawidzę tej cholерnej pizdy!

Agnes zatrzasnęła za sobą drzwi i zniknęła.

– Mamo! – krzyczał chłopiec, próbując się wyrwać. – Mamo!

W końcu celowo ugryzł się w język – tak mocno, że aż popłynęła krew. Ale nie płakał. Stojąca za nim Maren nagle poczuła, że przestał się wrywać. Powoli go puściła i podprowadziła do krzesła. Dopiero wtedy zobaczyła krew.

– Na miłość boską, Olav! – jęknęła przerażona i sięgnęła po papierowy ręcznik.

Bibuła prędko nasiąkała czerwienią. Maren zużyła prawie całą rolkę, zanim rana przestała krwawić na tyle, by mogła się jej przyjrzeć. Spory kawałek języka był prawie oderwany.

– Doprawdy, Olav... – westchnęła z rezygnacją, znow przyciskając papier do rany. W końcu zrozumiała, że niewiele może powiedzieć. Ale jedno musiała: – Zapamiętaj, że kiedy będzie się działo coś trudnego, strasznego i wszyscy będą dla ciebie niedobrzy, to musisz przyjść z tym do mnie. Ja ci zawsze pomogę. Gdybyś tak bardzo się teraz nie rozzłościł, razem coś byśmy wymyślili. Spróbujesz to zapamiętać na następny raz? Będiesz wiedział, że ja ci zawsze pomogę?

Nie była pewna, ale wydawało jej się, że chłopiec kiwnął głową, wstała i zadzwoniła po lekarza. Okazało się, że na język trzeba założyć trzy szwy.

Z czternastu zatrudnionych w domu dziecka osób nie przyszła tylko jedna. Zebranie prowadziła Agnes. Listy dyżurów były gotowe na dwa miesiące naprzód, chociaż musieli poświęcić trochę czasu na poprawki do propozycji przedstawionej przez Maren. Potem rozmawiali o dzieciach, po kolei o każdym.

– Przyjęli Raymonda na ten kurs – poinformował Terje. – Zaczyna po niedzieli. Trzy dni w tygodniu będzie chodził do szkoły, a dwa grzebał się w motocyklach. Bardzo się z tego cieszy.

Z Raymondem wszystko szło w dobrym kierunku. Mieszkał w Promyku Słońca od dziewiątego roku życia i przez kilka miesięcy był twardym orzechem do zgryzienia. Potem spuścił z tonu, odetchnął i zaakceptował fakt, że mama może go zabierać do siebie tylko na weekendy. Matka była fantastyczna – troskliwa, stymulująca, opiekuńcza i czuła. Ale tylko na trzeźwo. Przez pierwszych pięć lat życia chłopca jakoś się trzymała, potem znów wpadła w ciąg. Siedmioletni Raymond trafił do rodziny zastępczej, lecz nic z tego nie wyszło. Okazał się zbyt przywiązany do matki, by ktokolwiek mógł przejąć jej rolę. Prawie zamęczył trzy pary przybranych rodziców, a matka wciąż nie potrafiła odstawić kieliszka, więc w końcu oddano go do Promyka Słońca. Teraz sprawy jakoś się ułożyły – matka od piątkowego przedpołudnia nie brała do ust ani kropli, a pierwszą butelkę otwierała, gdy tylko Raymond zamykał za sobą drzwi w niedzielę wieczorem. Piła przez pięć dni, przygotowując się do kolejnych czterdziestu ośmiu godzin bez odurzenia. Była jednak niezaprzeczalnie mamą Raymonda. Tak, z Raymondem powinno być dobrze.

O pozostałych mieszkańcach domu dziecka niewiele było do powiedzenia. Z wyjątkiem Olava.

– Na nim rzeczywiście połamiemy sobie zęby – westchnęła Cathrine, trzydziestoletnia anorektyczka zatrudniona na godziny. – Szczerze mówiąc, ja się go boję. Nie będę miała żadnych szans, kiedy się wścieknie.

– To spróbuj trochę więcej jeść – mruknął Terje, lecz nikt tego nie podchwycił.

– Kiedy matka Olava miała wyjść we wtorek, było naprawdę dramatycznie – powiedział Eirik, który miał wtedy dyżur. – Uczeplił się jej nogi, a ona stała jak słup soli i tylko się na mnie gapiała, nawet nie próbując przemówić chłopcu do rozumu. Kiedy się nachyliłem, żeby coś zrobić, zaliczyłem to! – Wystawił głowę.

Wszyscy mogli zobaczyć sinożółty ślad wokół lewego oka.

– Ten chłopiec jest po prostu niebezpieczny, a matka upiorna. To pewne!

– Ale nigdy nie rzuca się na inne dzieci – zaprotestowała Maren. – Przeciwnie, bywa bardzo pomocny. Kiedy chce, umie się zachować. Nie powinniśmy przesadzać. A jeśli chodzi o matkę, to jest po prostu zrozpaczona.

– Przesadzać? A czy to nie dramatyczne, że on mnie kopie w oko, grozi, że mnie zabije, a potem drze na strzępy wszystkie rysunki innych dzieci?

– Dopóki agresja jest skierowana przeciwko tobie i rysunkom, musimy ją przyjmować ze spokojem – stwierdziła Agnes, ani słowem nie wspominając wstrząsającego incydentu przed południem, i zaczęła pakować swoje papiery, dając tym samym znak, że zebranie dobiegło końca. Kiedy jednak zaszurały krzesła, powstrzymała podwładnych gestem i dodała:

– Chciałabym porozmawiać z każdym z was z osobna. Oficjalnie.

– Rozmowa pracownicza?

Cathrine zwróciła uwagę, że przeprowadzanie takich spotkań bez uprzedzenia i dwa miesiące przed wyznaczonym według procedur terminem jest wbrew regulaminowi.

– Załatwimy to szybko. Nie zajmę wam dużo czasu. Terje, ty pierwszy. Idziemy na górę do gabinetu.

Maren Kalsvik, która nieformalnie pełniła funkcję zastępcy kierowniczką, uważnie przyjrzała się szefowej. Agnes wyglądała na zmęczoną. Włosy miała jakby martwe, a na okrągłej, zwykle gładkiej twarzy wyraźnie zaznaczały się bruzdy. Pod oczami widniały nieładne sińce i chwilami sprawiała wrażenie kompletnie niezainteresowanej dziećmi. Pewnie nie układa jej się w małżeństwie. Maren i Agnes nie były przyjaciółkami, ale blisko współpracowały i od czasu do czasu rozmawiały o mniej lub bardziej istotnych sprawach. Maren wiedziała, że w ostatnich miesiącach Agnes nie dogadywała się z mężem. Może sytuacja była poważniejsza, niż przyznawała? Ta niesłychana kara za wybuch Olava stanowiła dostateczny dowód na to, że dzieje się coś naprawdę złego. Maren postanowiła ostrożnie wypytać Agnes podczas tej rozmowy w cztery oczy. Poza tym musi jakoś zmienić jej decyzję w sprawie Olava. To nie powinno być trudne. Karanie dzieci zakazem spotkań z rodzicami było nie tylko niepedagogiczne, lecz również niedozwolone.

– Czy ja mogę przyjść druga? – spytała. – Jestem na dzisiaj umówiona u dentysty.

Rozmowy Agnes z pracownikami zakończyły się dopiero po czterech godzinach. Mimo że dwie ostatnie nie trwały dłużej niż dziesięć minut.

Wydawało się, że dom oddycha. Ciężko i regularnie. Bezpieczny, przytulny azyl ośmiorga śpiących dzieci.

Przynajmniej są spokojne, pomyślał Eirik z zadowoleniem i wyłączył telewizor.

Było już pół godziny po północy, ale nie chciało mu się spać. To dość niezwykle. Czyżby się zdrzemnął, nawet tego nie czując? Sięgnął po talię kart i zaczął układać pasjansa. To idealny środek na sen. Kilka razy sam się oszukał w kartach i znużenie rzeczywiście się pojawiło. Postanowił skorzystać z pościelonego łóżka na piętrze.

Na schodach uświadomił sobie, że Agnes jeszcze nie poszła do domu. On w każdym razie tego nie zarejestrował, a nieprawdopodobne wydawało się, by nie zajrzała do pokoju telewizyjnego i wyszła bez pożegnania. Prawdę mówiąc, nie rozumiał, dlaczego w ogóle pojawiła się w Promyku wieczorem, około dziesiątej. Wszystkie raporty były uzupełnione, omówili je dokładnie podczas zebrania. A ona tak długo siedzi. Znów spojrzął na zegarek. Dochodziła pierwsza. Cicho stawiając kroki, na piętrze skręcił w lewo i delikatnie nacisnął klamkę drzwi do pokoju bliźniaków. Obaj leżeli w łóżku Kima-André, jak zwykle przy zapalonym świetle. Wyglądali jak aniołki, objęci, z otwartymi buziami. Oddychali lekko i regularnie. Eirik delikatnie wziął Roya-Morgana na ręce i zaniósł do drugiego łóżka. Chłopiec zaprotestował przez sen, ale w końcu ułożył się na brzuchu, westchnął i dalej spał. Eirik wyszedł kontynuować obchód, ale nie zgasił światła.

Wszyscy spali. Raymond chrapał z otwartymi ustami i odchyłoną głową. Leżał na plecach i tak rozrzucił ręce i nogi, że prawie zsuwał się z wąskiego łóżka. Kołdra spadła na podłogę. Eirik ją podniósł, ułożył długie członki chłopca na łóżku, a brzeg kołdry upchnął między materacem a ramą w nadziei, że drugi raz nie spadnie.

Spojrzał na łóżko Olava i złodowaciał. Było puste. To nie mogła być prawda. Oglądał telewizję, ale zauważyłby, gdyby chłopiec wychodził. Drzwi do pokoju dziennego były przecież otwarte. A może nie? Poczuł, że oblewa go gorąco.

Zdarzało się, że dzieci uciekały. Nie wracały do domu ze szkoły albo z wyprawy do miasta. Ale teraz to była jego wina. Był przecież środek nocy, a Olav miał dopiero dwanaście lat. Okno było uchylone. Lina ewakuacyjna umocowana na haku pod parapetem kołysała się delikatnie. Eirik wyjrzał na zewnątrz. Do ziemi było pięć metrów. A przecież Olav bał się nawet zbliżyć do liny!

Nie myśląc o tym, że pobudzi dzieci, wybiegł na korytarz, minął sypialnię wychowawców i już dwa metry przed gabinetem kierowniczką zaczął krzyczeć:

– Agnes! Agnes! Olav uciekł!

Wbiegł do środka i skamieniał.

Za mahoniowym biurkiem kupionym na pchlim targu za trzysta koron – z soleirolią w doniczce, telefonem, tanią plastikową podkładką do pisania i czerwonym kubkiem z czterema długopisami i ołówkiem – Agnes Vestavik siedziała całkiem nieruchomo i patrzyła na Eirika ze zdumieniem. Usta miała rozchylone, a z ich kącika ciągnęła się strużka zakrzepłej już krwi.

Eirik skamieniał na pół minuty, ale w końcu obszedł biurko, powoli i z namaszczeniem, jakby chciał okazać szacunek zmarłej.

Bo Agnes była martwa. Tak martwa, że bardziej być nie mogła. Z jej pleców sterczała trzynastocentymetrowa rękojeść noża. Mniej więcej na wysokości serca.

Eirik zasłonił twarz rękami i wybuchnął płaczem.

3.

– Na honor i sumienie przyrzekam mówić prawdę.

Opuściła prawą rękę. Niewielu rzeczy komisarz Hanne Wilhelmsen tak nie lubiła jak zeznawania przed sądem, chociaż policjantów – w przeciwieństwie do innych świadków – wzywano przeważnie w ostatniej chwili, żeby nie przesiadywali w oczekiwaniu na swoją kolej. Oskarżyciel dzwonił zazwyczaj pół godziny przed planowanym przesłuchaniem, ale i tak zawsze coś się przeciągało. Poza tym przypomnienie sobie zajścia sprzed roku czy dwóch wymagało czasu. Niekiedy już samo dotarcie do akt sprawy sprawiało spory kłopot. Najprościej byłoby oczywiście, gdyby to prokurator kilka dni przed rozprawą podesłał zestaw odpowiednich dokumentów, ale Hanne Wilhelmsen, podobnie jak pozostałych tysiąc pięciuset funkcjonariuszy z Komendy Okręgowej Policji w Oslo, wiedziała, że można na to liczyć zaledwie w jednym na dziesięć przypadków. Policyjni prawnicy obiecywali i zapewniali, a akta i tak nie docierały, z reguły więc trzeba było grzebać we własnych, sporządzonych mniej lub bardziej domowym sposobem archiwach.

Tym razem chodziło o drobnostkę. Spowici w togi główni uczestnicy rozprawy siedzieli z ponurymi minami, poświęcając godziny pracy na stwierdzenie, czy dwudziestoletnia dziewczyna podczas demonstracji ugryzła policjanta w nogę i napluła mu do ucha. Oskarżona żuła gumę, a kiedy Hanne w pełnym mundurze stanęła za barierką dla świadków, dziewczyna pociągnęła się za fioletowe włosy i posłała jej śmiercionośne spojrzenie. Hanne nie słyszała słów, ale sądząc po ruchach jej warg, gotowa była przysiąc, że oskarżona powiedziała „arystokratyczna świnią”, po czym, demonstracyjnie wzdychając, odchyliła się do tyłu i zaczęła patrzeć w sufit. Obrońca nawet nie próbował przywołać jej do porządku.

Tym razem przesłuchanie poszło gładko. Hanne Wilhelmsen naprawdę widziała zdarzenie. Była już po służbie i przypadkiem przechodziła przez plac Stortorget akurat w chwili, gdy niewielka grupka osób, określana mniej lub bardziej precyzyjnie jako anarchizująca młodzież z Blitz, wściekle krzycząc, oznajmiła, że pub, przed którym stoi, to gniazdo faszystów. Było to poniekąd zgodne z prawdą. Policja od dawna wiedziała, że stałymi bywalcami klubu są prawicowi ekstremiści. W chwili jednak, gdy Hanne Wilhelmsen mijiała demonstrację, dwaj umundurowani funkcjonariusze odciągali niespecjalnie się opierającą dziewczynę o fioletowych włosach i zakuwali ją w kajdanki. Komisarz zatrzymała się w odległości zaledwie trzech czy czterech metrów od nich, kiedy dziewczyna spytała

policjanta, czy chciałby poznać pewną tajemnicę. Nim ten zdążył odpowiedzieć, nachyliła się i plunęła mu do ucha solidną porcją śliny i gumy do żucia. Rozwścieczony funkcjonariusz obezwładnił ją i powalił na ziemię, a wtedy dziewczyna wgrzyła mu się w but tuż nad kostką. Musiało to być o wiele większą traumą dla zębów i szczęk oskarżonej niż dla policjanta, zwłaszcza że ten z wściekłością usiłował ją strząsnąć. W końcu go puściła i wybuchnęła śmiechem. Siłą postawiono ją na nogi i wepchnięto do oczekującej suki.

– Widziała pani wyraźnie, że oskarżona ugryzła policjanta w nogę?

Pytanie zadał oskarżyciel, niewysoki smarkaty młodszy prokurator policji z rumieńcami na pozbawionych zarostu policzkach. Hanne wiedziała, że to jego pierwsza sprawa.

– No cóż, do takiego stopnia, do jakiego but jest częścią nogi – odpowiedziała, patrząc na sędziego, który wyglądał tak, jakby zaraz miał umrzeć z nudów.

– Czy nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że oskarżona ugryzła? – nie ustępował oskarżyciel.

– Ugryzła posterunkowego w but. To sąd musi rozstrzygnąć, czy to oznacza ugryzienie w nogę.

– Widziała pani, że najpierw go opluła?

Hanne Wilhelmsen starała się nie uśmiechać.

– Tak. Plunęła mu do ucha wielką porcją gumy do żucia. Wyglądało to nieprzyjemnie.

Rumiany prokurator był zadowolony. obrońca też nie miał więcej pytań. Świadek Wilhelmsen została zwolniona.

Dziewczyna z pewnością spędzi za kratkami trzydzieści dni – napaść na funkcjonariusza na służbie. Ale kiedy Hanne wyszła z nowego budynku sądu na C.J. Hambros plass, przez chwilę stała, lekko kręcąc głową, a potem mruknęła do siebie:

– Tracimy czas i pieniądze na dziwne rzeczy. – I zamachała na przejeżdżający akurat radiowóz, żeby podrzucił ją z powrotem do komendy na Grønlandsleiret 44.

Nowy pokój był dwa razy większy od poprzedniego. I wiązał się z funkcją komisarza. Hanne pracowała na tym stanowisku już prawie pół roku, ale wciąż nie umiała powiedzieć, czy jej to odpowiada. Papierkowa robota nie była ani trochę zabawna, a niekiedy okazywała się wręcz śmiertelnie nudna. Z drugiej jednak strony Hanne lubiła wyzwania, a z pewnością

należało do nich kierowanie innymi w prowadzeniu śledztw, na czym znała się najlepiej. Poza tym znacznie aktywniej uczestniczyła w pracy policyjnej niż inni komisarze i wiedziała, że o tym się mówi. Nie tylko w superlatywach. W ogóle coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że wieloletnia pozycja bohaterki wolnej od krytyki i konfliktów należy już do przeszłości. Kiedyś mogła niezobowiązująco proponować racjonalizatorskie rozwiązania, które wdrażali potem inni, biorąc zarazem na siebie niechęć opornych. Teraz natomiast miała prawo i obowiązek robić to wszystko sama. Jako szeregową śledczą unikała wszelkich konfliktów osobistych, nie angażowała się w żadne intrygi – zajmowała się swoją robotą, którą wykonywała świetnie, i wracała do domu, czując na plecach pełne podziwu spojrzenia. Teraz znalazła się na świeczniku, bez naszkicowanych tras możliwej ucieczki, a do jej obowiązków należało ingerowanie w konflikty, podejmowanie decyzji i wpływanie na poczynania innych, chociaż było to wbrew jej najgłębszym instynktom. Przecież tyle lat poświęciła na budowanie muru odgradzającego ją od innych, ścian, za którymi w każdej chwili mogła się ukryć. Dlatego wcale nie była pewna, czy dobrze się czuje w nowej roli.

– Hanne, gołąbeczko! Żrenico mego oka!

Całe drzwi wypełnił opalony gigant. Ze szlufki noszonych bez paska džinsów zwisał mu gruby złoty łańcuch, który chował się w kieszonce na zegarek na prawym biodrze, a na jaskrawoczerwonym T-shircie przez szeroką pierś biegł czarny rozkaz „FUCK OFF!”. Na nogach miał czarne kowbojki z prawdziwymi wielkimi ostrogami. Głowę pokrywał półcentymetrowy jasny jeż, za to wąsy były o wiele dłuższe, a poza tym miedzianorude.

– Billy T.! Zapuściłeś włosy!

Komisarz Hanne Wilhelmsen poderwała się z krzesła i natychmiast stała się obiektem gwałtownej czułości wielkoluda. Podniósł ją i okręcił, wywracając przy tym filizankę, a kosz na śmieci przesuwał o ładnych kilka metrów. W końcu postawił Hanne z powrotem, z głośnym cmoknięciem pocałował w usta i usiadł na krześle, które wydawało się dla niego o cztery numery za małe.

Znali się od szkoły policyjnej. W przeciwieństwie do większości kolegów z tego samego rocznika nigdy nie próbował jej podrywać, przeciwnie, wielokrotnie pomagał w trudnych sytuacjach, odgrywając rolę księcia na białym koniu. Hanne wiedziała, że przez pewien czas krążyły o nich plotki. Od momentu jednak, gdy okazało się, że Billy T. dorobił się kilkorga dzieci z różnymi matkami, przy czym żadnego z nich z Hanne, pojawiły się inne plotki – już tylko o niej. Od nich nie mógł jej wyratować. Ale nigdy, nawet na sekundę jej nie opuścił. Przeciwnie, pewnej nocy tegorocznej legendarnie upalnej wiosny, kiedy tonęli w niezwyklej fali przestępczości, zmusił ją do konfrontacji z samą sobą i doprowadził do tego,

że w głębi ducha zaczęła się zastanawiać nad zmianą sposobu życia. Ale tylko w głębi ducha.

– Było super – oświadczył Billy T., uprzedzając pytanie Hanne. – Mnie było super, chłopcom było super, a na dokładkę poznałem bardzo fajną dziewczynę.

Dwa tygodnie na Kanarach. Szkoda, że to nie ona.

– A teraz jesteś wypoczęty i gotowy do służby. U mnie. Dla mnie – powiedziała jedwabście miękkim głosem, nachylając się ku niemu przez biurko. – Nie mogę uwierzyć, że dane mi będzie to przeżyć. Będę szefową Billy’ego T., postrachu wszystkich szefów. Już się na to cieszę!

Billy T. wyprężył swoje ponaddwumetrowe ciało i splótł dłonie na karku.

– Gdybym kiedykolwiek miał się podporządkować jakiemuś szefowi, musiałyby to być piękna kobieta. A gdybym miał się kiedykolwiek podporządkować pięknej kobiecie, musiałybyś być nią ty. Będzie dobrze.

Billy T. znów został śledczym. Po latach pracy w Patrolu Zamętu, oddziale w dzinsach, dał się namówić Hanne Wilhelmsen. Kosztowało ją to kilka butelek czerwonego wina i wystawną kolację, zanim wreszcie około drugiej w pewną sobotnią noc zgodził się podpisać podanie o przeniesienie, które za niego napisała. Nazajutrz o dziewiątej zdesperowany zadzwonił, chcąc wszystko odwołać, później próbował podrzeć podanie, ale Hanne tylko się śmiała. Sprawa była już przesądzona. A teraz Billy T. siedział u niej w pokoju i właściwie trochę też się z tego cieszył.

– To są pierwsze sprawy, którymi się zajmiesz.

Podawała mu trzy niezbyt grube zielone teczki: bójka z użyciem noża z ostatniej soboty, podejrzany zgon niemowlęcia, prawdopodobnie w wyniku nagłej śmierci łóżeczkowej, i jeszcze jeden zgon z drugiej strony skali życia, który z całą pewnością okaże się zatruciem alkoholowym.

– To jest robota, którą będziesz robił lewą ręką. – Sięgnęła po jeszcze jedną teczkę. – A to jest prawdziwa. Zabójstwo. Staroświeckie zabójstwo nożem. Jak z taniej powieści. W domu dziecka! To się stało dziś w nocy. Pogadaj z technikami i powodzenia! Chętnie przydzieliłabym do tej sprawy całą gromadę ludzi, ale w związku z tym podwójnym zabójstwem w Smestad z zeszłego tygodnia musi być, jak jest. Maksymalnie czterech ludzi. Ty w każdym razie będziesz głównym śledczym.

– Cholera, to już postanowione?

– Owszem – uśmiechnęła się przymilnie. – Na razie będziesz pracował razem z Erikiem i Tone-Marit.

Billy T. wstał i z demonstracyjnym westchnieniem zebrał teczki.

- Powinienem być zostać u siebie na dole – oświadczył.
- Cieszę się, że nie zostałeś – powiedziała Hanne słodko i dodała: – Nie możesz przychodzić do pracy w takich koszulkach. Natychmiast idź się przebrać. A już na pewno zmień tę, zanim pojedziesz do tego domu dziecka!
- Na pewno – burknął, zdecydowany nosić ten sam T-shirt już do końca tygodnia, i wyszedł, dzwoniąc ostrogami.

Zmienił jednak T-shirt. Po namyśle doszedł do wniosku, że nadrukowane na nim przesłanie niezbyt się nadaje do eksponowania w domu dziecka. Włożył więc neutralną białą koszulę z kołnierzykiem typu button-down, a na to znoszony luźny kożuch. Wsiadając z małego nieoznakowanego służbowego samochodu, uderzył głową w dach i idąc ścieżką przez ogród, na próżno usiłował rozetrzeć bolące miejsce. Po okresie odwilży znów chwycił mróz i zlodowaciały żwir chrzęścił sucho pod podeszwami jego szpiczastych butów.

Hanne Wilhelmsen przyjechała razem z nim, ale stawiał tak ogromne kroki, że musiała podbiegać.

– Powinienem mieć dodatek za ryzyko jazdy tymi samochodami – stwierdził Billy T. z ponurą miną. – Leci mi krew? – Nachylił się, podsuwając głowę koleżance.

Spod króciutkich włosów prześwitywała skóra. Widać było na niej szramy i zgrubienia po wielu wcześniejszych kolizjach, ale nie krwawił.

– Maruda! – Hanne podmuchała mu na głowę i otworzyła niebieskie drzwi wejściowe z podzielonym na trzy części okienkiem w kształcie półksiężyca na wysokości twarzy. Zasłonka w kwiatki uniemożliwiała zajrzenie do środka.

Znaleźli się w wiatrołapie. Na jednej ścianie wisiały haczyki na płaszcze, a przy drugiej stała drewniana trzypiętrowa półka na obuwie. Buty w rozmiarach od trzydziści dwa do czterdziści cztery leżały na niej i wokół niej w radosnym chaosie. Zanim Hanne podjęła decyzję, czy nie powinna zdjąć swoich, Billy T. w kowbojkach już przeszedł przez następne drzwi, ruszyła więc za nim. Z prawej strony zobaczyła schody na piętro, a przed sobą pomieszczenie wyglądające na pokój dzienny. W budynku panowały cisza i wrażenie pustki.

– Właściwie dość przytulnie – mruknął Billy T. pod nosem i uchylił się, by nie zahaczyć głową o karuzelkę z kolorowymi czarownicami z kartonu, krepiny i bezlistnych brzoźowych gałązek. – Nie tak to sobie wyobrażałem.

– Myślałeś, że to będzie raczej coś z Dickensa? – spytała Hanne, nasłuchując. – Strasznie tu cicho.

Jakby w odpowiedzi po schodach zbiegła dwudziestokilkulatka z długimi jasnymi włosami splecionymi w warkocz francuski. Miała na sobie oryginalny kaftan projektu Sigrun Berg – tak stary, na jaki wyglądał – i džinsy z rozszerzanymi nogawkami. Albo był to ultramodny strój, albo spadek z lat siedemdziesiątych.

– Przepraszam – powiedziała zdyszana. – Rozmawiałam przez telefon. Maren Kalsvik – przedstawiła się.

Uścisk dłoni miała mocny, ale oczy zaczerwienione. Mimo że się nie umalowała, niezwykle długie rzęsy były ciemne. To raczej włosy musiała rozjaśniać, chociaż wcale na to nie wyglądało.

– Wszystkie dzieci zostały rozesłane w różne miejsca. Tylko na jedną dobę. To policja... – urwała zdezorientowana – ...to znaczy wasi koledzy, którzy byli tu w nocy i rano, zasugerowali, żeby tak zrobić. Że dzieci nie powinny być tutaj, kiedy będą badać miejsce. Miejsce zdarzenia, jak się wyrazili. – Wąską dłonią z krótko obciętej paznokciami odgarnęła grzywkę. Teraz wyglądała na jeszcze bardziej zmęczoną. – Wy pewnie też chcecie je zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i ruszyła na górę po schodach. Policjanci poszli za nią. Mniej więcej dwumetrowej szerokości korytarz, w którym się znaleźli, miał okna na obu końcach. Skręcili w prawo, wyraźnie zmierzając do ostatniego pokoju po lewej stronie. Maren Kalsvik zatrzymała się w drzwiach i od razu cofnęła. Na rzesach wisały jej łzy.

– Zakazano nam wchodzić do środka.

Ale zakaz nie dotyczył Hanne Wilhelmsen. Nachyliła się, by przejść pod czerwono-białą taśmą. Billy T. natomiast tylko lekko ją przygiął i swobodnie przeszedł górą.

– Siedziała tam. – Hanne, przerzucając papiery w teczce wyjętej z dużej torby na ramię, wskazała na stojące przy biurku krzesło obite czerwoną wełnianą tkaniną. – Plecami do okna, twarzą w stronę drzwi.

Przez chwilę wpatrywała się w biurko, Billy T. natomiast podszedł do okna.

– Właściwie to dziwne miejsce – dodała Hanne, zwracając się do Maren Kalsvik, która wciąż stała w bezpiecznej odległości od drzwi. – Biurka zwykle stoją pod ścianą.

– Agnes chciała w ten sposób oznajmić, że wszyscy są tu mile widziani. Nie zamierzała do nikogo odwracać się plecami.

Billy T. otworzył okno i do pokoju wpadł świeży chłodny powiew. Maren Kalsvik

zbliżyła się do plastikowej taśmy, ale przestraszona cofnęła się, widząc, że zabezpieczenie z jednej strony się poluzowało.

– Okno było zamknięte od środka – powiedziała. – Tak przynajmniej stwierdziła dziś rano policja. Haczyki były założone.

Billy T. pociągnął za solidny spiralny hak wbity w ścianę tuż przy parapecie.

– Mocowanie liny ewakuacyjnej?

Nie czekając na odpowiedź, wychylił się i spojrzał w dół. Ziemię pod oknem pokrywała cienka warstwa starego śniegu. Nie było na niej śladów. Powiódł wzrokiem wzdłuż ściany budynku i zauważył wydeptaną ścieżkę pod czterema innymi dużymi oknami na piętrze. Miejscami śnieg całkiem zniknął, a tuziny odcisków butów się krzyżowały. Wsunął głowę z powrotem do pokoju i potarł ucho.

– Dokąd prowadzą te drzwi? – spytał, wskazując na wąskie drzwiczki w dłuższej ścianie.

– Do sypialni wychowawców. Czasami używamy jej też jako biura. Właśnie stamtąd rozmawiałam przez telefon, kiedy przyszliście.

– Mieszka tu ośmioro dzieci?

– Tak. W zasadzie mamy miejsca dla dziewięciorga, ale akurat w tej chwili jedno łóżko jest puste.

– Wszystkie sypialnie są tu, na piętrze?

Maren potwierdziła skinieniem głowy.

– Tak, w tym korytarzu, po obu stronach. Mogę wam pokazać.

– Dobrze, za chwilę – powiedziała Hanne Wilhelmsen. – Czy coś skradziono?

– Nie, nic takiego nie zauważyliśmy. Oczywiście nie wiemy, co Agnes mogła mieć w szufladach, ale... są zamknięte na klucz. Nie zostały wyłamane.

– A gdzie jest ten klucz?

Zadając to pytanie, Hanne Wilhelmsen stała bokiem do Maren Kalsvik, ale i tak zauważyła zaniepokojenie na jej twarzy. Ledwie jego cień. A może po prostu jej się wydawało.

– Leży pod doniczką – wyjaśniła Maren. – Na tamtym regale z książkami.

– Aha.

Billy T. już unosił osłonkę na doniczkę. Ale klucza tam nie było. Maren Kalsvik wyglądała na szczerze zdziwioną.

– Zawsze tam leży. Może policja go zabrała.

– Może.

Policjanci popatrzyli na siebie. Hanne zapisała coś w kołonoatniku, po czym schowała dokumenty z powrotem do torby i dała znak, że chcą obejrzeć sypialnie.

Olav i Raymond mieszkali w jednym pokoju, podobnie jak Glenn i Kenneth. Natomiast Anita i Jeanette miały pokój w głębi korytarza. Naprzeciwko sypiali bliźniacy. Dwa pomieszczenia stały puste.

– Dlaczego dzieci muszą mieszkać razem, skoro macie dwa puste pokoje?

– Ze względów wychowawczych. Kenneth boi się być sam. A bliźniaki chcą być razem. Olav... – urwała i znów odgarnęła grzywkę. – Olav to ten, który zniknął. Agnes... – Teraz Maren była już w oczywisty sposób bliska płaczu. Kilka razy odetchnęła i z trudem się opanowała. – Agnes uważała, że Raymond może mieć dobry wpływ na Olava. Jest starszy i twardy, ale tak naprawdę dobrze sobie radzi z młodszymi. Chociaż protestował przeciwko nowemu współlokatorowi. A więc z powodów czysto społecznych, czy pedagogicznych, jak pani woli. Puste pokoje wykorzystujemy między innymi do odrabiania lekcji.

– Nie mieliście jeszcze żadnych wiadomości o tym chłopcu, który uciekł?

– Nie, i bardzo się martwimy. Nie wrócił do domu, ale w tym akurat nie ma nic dziwnego. Z tego, co wiem, nie miał pieniędzy, a na piechotę to bardzo daleko.

Billy T. mierzyl krokami korytarz, mrużąc coś do siebie cicho. Przy gabinecie kierowniczkii musiał podnieść głos, żeby kobiety mogły go usłyszeć.

– A to okno tutaj chyba zwykle nie jest otwarte?

Na futrynie dostrzegł ślady fioletowego proszku. Technicy szukali tu śladów.

– Nie! – odkrzyknęła Maren. – O tej porze roku zawsze jest zamknięte. Ale wczoraj mieliśmy ćwiczenia przeciwpożarowe. Dzieciaki przez godzinę fruwały po linach i drabinach.

Okno się zakleszczyło i nie dawało się otworzyć, ale w końcu Billy T. zdołał je pchnąć. W dole dostrzegł tę samą plataninę śladów, co pod oknami w dłuższej ścianie. Drabinkę przeciwpożarową dawało się rozciągnąć do samej ziemi. Była szeroka i stabilna, z mocnymi rowkowanymi stopniami. Na próbę odblokował zamki po obu stronach i dolna część opadła po nasmarowanych łożyskach. Solidna rzecz. Pociągnął za stalową linkę biegnącą przez nieduży krążek linowy z boku przy oknie i dolna część drabinki posłusznie wjechała na górę. Kiedy rozległo się ciche kliknięcie, Billy T. unieruchomił mechanizm. Potem zamknął okno i nic nie mówiąc, podszedł do kobiet.

– Musimy was wszystkich przesłuchać – usłyszał niemal przeprasający ton Hanne. – Będziecie wzywani po kolei. Bardzo by nam pomogło, gdyby zechciała pani sporządzić listę wszystkich dzieci, które tu mieszkają, a co ważniejsze – wszystkich pracowników. Oczywiście nazwiska i daty urodzenia, ale też pochodzenie, miejsce zamieszkania, stosunki

rodzinne, od jak dawna tu pracują i tak dalej. I to jak najszybciej.

Maren kiwnęła głową.

Policjanci zeszli na parter, wychowawczynie za nimi. W milczeniu obejrzeliby resztę domu, od czasu do czasu coś notując. Maren zamknęła za nimi drzwi mniej więcej godzinę po ich przyjeździe.

Billy T. bez słowa przeskoczył przez wąski, niski żywopłot, oddzielający żwirową alejkę od trawnika. Ściągnął poły kożucha, zapiał go na dwa ostatnie guziki i schował ręce do kieszeni. Lekkim truchtem ruszył za róg budynku i zatrzymał się pod jedynym oknem na piętrze w krótszej ścianie domu, znajdującym się mniej więcej sześć metrów nad ziemią. Hanne Wilhelmsen wiedziała, o co mu chodzi. Poszła za nim.

Tygodniowa odwilż rozmiękczyła ziemię na tyle, że odcisnęło się na niej niezliczenie wiele śladów mniejszych i większych stóp. Mróz nadciągnął dziś rano. Teraz ziemia przypominała księżycowy krajobraz w miniaturze, z płaskimi dolinami, niewysokimi ostrymi łańcuchami górskimi ciągnącymi się w poprzek i wzdłuż. Dla policji ślady nie miały jednak żadnej wartości.

– Te ćwiczenia przeciwpożarowe nadarzyły się cholernie w porę – stwierdził Billy T. z ponurą miną. – Nawet najlepszy technik kryminalistyczny nic z tego nie wycisnie.

– Chłopcy przynajmniej próbowali. – Hanne wskazała na maleńkie cząsteczki gipsu, ledwie dające się odróżnić od szronu, i czerwony sprej kontrastowy w kilku śladach. – Jeśli ktoś przeszedł tędy po zakończeniu ćwiczeń, a tak najwyraźniej musiało być, to jego ślady muszą być na wierzchu. Wiemy, kiedy chwycił mróz?

– Dopiero nad ranem. Policja przyjechała o wpół do drugiej, wtedy było jeszcze miękko.

Hanne ostrożnie obeszła zdeptany obszar z nadzieją, że uda jej się coś tu wypatrzeć. Potem stanęła pod samą ścianą i wyciągnęła ręce do złożonej drabinki przeciwpożarowej. Od czubków palców najniższy stopień dzieliło ponad pół metra.

– Ty dasz radę?

Ostrożnie zamienili się na miejsca, ale również Billy'emu T, wzrostu dwa zero dwa w skarpetkach, pozostał jeszcze kawałek do najniższego stopnia.

– Wystarczyłby parasol albo inny przedmiot z haczykiem – stwierdziła Hanne, chuchając w prawą dłoń.

– Nie, zamek nie pozwala na ściągnięcie drabinki od dołu. Sprawdziłem w środku. Solidny mechanizm. Można ją uruchomić jedynie od góry, tak jak powinno być. I tylko stojąc tam, da się ją z powrotem złożyć. Gdybyś chciała ją pchnąć od dołu, musiałabyś być bardzo

silna, żeby się zahaczyła na górze. A na zablokowanie mechanizmu i tak nie miałybyś szans.

– Wobec tego mamy następujący wybór – powiedziała Hanne. – Albo zabójca dostał się do środka w inny sposób, albo mamy bardzo ograniczoną listę podejrzanych.

Mimo że spojrzenie Billy’ego T. świadczyło o tym, że doskonale ją zrozumiał, dodała spokojnie:

– Bo jeśli ta drabinka została wykorzystana, to tylko przez kogoś, kto miał możliwość opuszczenia jej wieczorem, by była gotowa do użycia, wciągnięcia z powrotem i zablokowania. Od środka. To w zasadzie oznacza jedno. Kogoś z pracowników.

– Albo któreś z dzieci – mruknął Billy T. i aż się wstrząsnął.

Robiło się coraz zimniej.

Głód był najgorszy, chociaż dokuczało mu również zimno. Właściwie powinien był się cieplej ubrać. Przydałyby się na przykład kalessony. Na szczęście miał w pokoju kurtkę, ale kozuch, który wisiał w wiatrolapie na haczyku z jego imieniem wypisanym literami w kwiatki, byłby o wiele lepszy. Jednak o tym nie pomyślał. Albo nie miał szansy pomyśleć. W każdym razie adidas nie bardzo się nadawały na tę porę roku. A język bolał jak cholera.

Zjazd na linie ewakuacyjnej okazał się dziecinnie prosty. Glenn i Terje mówili, że się boi. A jemu po prostu się nie chciało. Wtedy. Nic mu się nie chciało, kiedy ktoś mu wydawał polecenia. Ale kiedy to miało sens, poszło gładko. Nawet z tornistrem.

Nie potrafił określić, jak daleko już zaszedł. Miał wrażenie, że przebył kilkadziesiąt kilometrów.

– Na pewno ciągle jestem w Oslo – powiedział do siebie cicho, lecz przekonująco, wyglądając z garażu i patrząc na miliony światełek migoczących u stóp wzgórza i spowitych w różową miejską mgłę.

Głupio, że nie miał pieniędzy. O tym też nie pomyślał. W skarpecie, głęboko na trzeciej półce od góry w szafie w pokoju, który dzielił z Raymondem, leżało sto pięćdziesiąt koron. Mama po cichu wsunęła mu je do ręki. Sto pięćdziesiąt koron to mnóstwo pieniędzy. Może wystarczyłoby nawet na taksówkę do samego domu? W głębi serca wierzył, że właśnie dlatego dostał akurat taką kwotę. Przecież sto koron albo dwieście byłoby o wiele bardziej logiczne.

– Logiczne oznacza łatwe do zrozumienia.

Zaszczekał zębami i złapał się za brzuch, kiedy żołądek przeciągle upomniął się o jedzenie.

– Umrę z głodu – mówił cicho, kompletnie już nie panując nad szcękaniem. – Albo zamarzną, albo umrę z głodu.

Dom z garażem, w którym się ukrył, był pogrążony w wieczornej ciemności, mimo że swatch wskazywał dziesięć po dziewiątej. Olav spodziewał się, że około piątej po południu ktoś tu wróci. Ale nikt nie przyszedł. Nie było też samochodu, chociaż garaż był taki duży. Może mieszkańcy wyjechali? To na pewno jakaś rodzina. Przy schodach prowadzących do domu stały ładne sanki, takie z płozami i kierownicą. Był pewien, że na Gwiazdkę dostanie właśnie takie, ale zamiast nich znalazł pod choinką farby. Mama miała smutną minę, on jednak wiedział, że jej nie stać. Poza tym dostał figurkę Power Rangera. To w każdym razie bardzo chciał mieć. Tylko mama nie pamiętała, że chciał czerwonego. Czerwony był szefem. A ona kupiła zielonego. Tak jak dwa lata temu dała mu zółwia Michelangela, a chciał wyłącznie Rafaela.

Możliwe, że się trochę zdrzemnął, bo ze zdziwieniem stwierdził, że jest po północy. O tej porze raczej zawsze leżał już w łóżku. W domu wciąż było pusto, a głód tak się nasilił, że Olav, wstając, prawie zemdlał. Właściwie odruchowo ruszył w stronę wejściowych drzwi. Oczywiście były zamknięte. Na zwykły zamek i na zamek bezpieczeństwa.

Stanął na betonowych schodkach i bezradnie położył rękę na balustradzie z kutego żelaza. Długo tak stał, w końcu przeniósł wzrok na stosunkowo duże okienko piwniczne znajdujące się tuż nad ziemią. Zeskoczył z czterech stopni i zanim zdążył się zastanowić, już użył sanek jako tarana i zbił szybę. Przyszło mu do głowy, że może się nie zmieścić w okienku, ale poszło gładko. Najpierw wrzucił tornister, a wtedy okazało się, że w środku, zaledwie metr poniżej okna, stał długi stół, więc obyło się bez kłopotów. Bał się ciemności, dlatego odszukał kontakt i dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że zapalając światło, postąpił niemądrze. Przytrzymał klamkę, zgasił światło i wyszedł na nieduży korytarz. W słabym blasku wpadającym przez wybitą szybę zauważył schody na piętro. Na szczęście prowadzące tam drzwi nie były zamknięte na klucz.

W lodówce było niewiele jedzenia. Nie znalazł na przykład mleka. Chleba też nie mógł znaleźć, chociaż przeszukał wszystko. Ale na półce w drzwiczkach lodówki leżało kilka jajek, a Olav umiał ugotować jajka. Najpierw trzeba zagotować wodę, a potem mierzyć czas. Siedem minut. Wprawdzie wcześniej nie lubił jajek ani klopsików rybnych, ale teraz uznał, że dadzą się zjeść, tak bardzo dokuczał mu głód. Trudno było gryźć, nie urażając się w zraniony język, a szwy przez cały czas zawadzały, ale jakoś poszło. Poza tym odkrył całą szafkę

konserw.

Minęła druga, zanim zasnął w ciemnej kuchni, przykryty jedynie długim damskim płaszczem, który znalazł w przedpokoju. Był kompletnie wycieńczony i nie miał nawet siły pomyśleć o tym, co będzie robił następnego dnia. Ale teraz to było bez znaczenia. Teraz musiał się wyspać.

Miał zaledwie trzy lata, kiedy pierwszy raz zrobił mi krzywdę. Właściwie trudno go o to winić. Był po prostu wielkim trzylatkiem. Wprawdzie mnóstwo rozumiał i w przedszkolu go chwalili, że jest taki bystry (może po prostu mnie pocieszali), ale wciąż posługiwał się zaledwie dziesięcioma słowami. „Mama” do nich nie należało. Musiał być jedynym dzieckiem na świecie, które nie potrafiło powiedzieć „mama”. Wychowawczynie uspokajała mnie, że dzieci są różne, opowiadała, że jej brat profesor nie wypowiedział ani jednego słowa przed ukończeniem czterech lat. Tak jakby mnie to obchodziło.

Przygotowywałam obiad. On siedział w swoim krzeselku tripp trapp, na które dostałam pieniądze z opieki społecznej. Ledwie się mieścił za barierką, ale nie mogłam jej jeszcze zdjąć, bo był za mały. Tamtego dnia wyjątkowo marudził. Zły los sprawił, że przypaliłam paluszki rybne. Żołądek nagle mi się zbuntował i za długo siedziałam w ubikacji. Zwęglone paluszki nie nadawały się do jedzenia, ale na szczęście miałam ich więcej w zamrażalniku. Zaczął się niecierpliwić, a mnie okropnie denerwowały te jego krzyki. Halaśliwe, pełne złości, bez łez. Sąsiedzi slali mi znaczące spojrzenia, kiedy zbyt długo zmagalam się z klapą do zsypu i przypadkiem któregoś z nich spotkałam. Musieli więc go słyszeć.

Nie miałam nic oprócz torebki lukrecjowych łódeczek, żeby go uspokoić. Zniknęła prędko. Kiedy wreszcie mogłam przerzucić pięć paluszków rybnych z patelni na talerzyk z Kariusem i Baktusem, postaciami z książeczki, wyglądał na zadowolonego. Odstawiłam patelnię na kuchenkę, usiadłam naprzeciwko niego i zaczęłam obierać dwa ziemniaki. Buzię miał pełną ryby. Uśmiechnęłam się. Był śliczny jak aniołek. Cichy i spokojny. Wzięłam go za rękę.

Bez najmniejszego ostrzeżenia wbił mi widelec w dłoń. Na szczęście był to dziecięcy widelczyk, taki z trzema ząbkami, prawie jak do ciasta, ale i tak mnie skaleczył, dźgnąwszy z taką siłą, o jaką nikt nie podejrzewałby trzylatka. Trysnęła krew. Byłam jak sparaliżowana,

nic nie mogłam zrobić. On zaś wyrwał widelec i z całej siły zadał kolejny cios. Poczułam przeraźliwy ból. Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że tak się przestraszyłam. Siedziałam naprzeciwko trzylatka i czułam przed nim większy strach niż przed jego ojcem pijakiem.

Boże jedyny! Bałam się rodzzonego trzyletniego syna!

Terje Welby już od trzech godzin nie mógł zasnąć. Adrenalina uderzała mu gwałtownie do głowy za każdym razem, gdy zbliżał się do granicy snu. Prześcieradło już było mokre od potu. Obrócił się z jękiem. Kręgosłup nie dawał mu spokoju. Nakrył głowę poduszką i ze złością mruknął do siebie:

– Muszę zasnąć. Po prostu muszę.

Zadzwoił telefon.

Trafił ręką w lampkę na nocnym stoliku. Szklany abażur spadł i rozbił się na tysiąc kawałków. Terje usiadł na łóżku i zaczął ssać krew ze skaleczonej dłoni, z przerażeniem wpatrując się w aparat. Telefon nie ustępował. Jego dźwięk wydawał się coraz głośniejszy. Terje gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę.

– Halo!

– Cześć, Terje, tu Maren. Przepraszam, że dzwonię w środku nocy.

– Nic nie szkodzi – zapewnił prędko i zerknął na budzik, który powiedział mu, że nowa doba ma zaledwie trzy godziny.

– Terje, ja to muszę wiedzieć.

– Co?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Oparł się o wezglowie i odciągnął od ciała spocony T-shirt.

– Nie, naprawdę nie wiem.

Cisza.

– Czy Agnes to odkryła? – spytała w końcu Maren. – Właśnie dlatego postanowiła tak nagle odbyć z nami te rozmowy?

Terje przełknął ślinę tak głośno, że Maren to usłyszała.

– Nie, nie odkryła.

Cieszył się przynajmniej z tego, że Maren go nie widzi.

– Nie złość się, Terje.

- Ja się nie złościę.
 - No to mi powiedz.
 - Co mam ci powiedzieć?
 - To ty ją zabiłeś?
 - Nie, Maren, to nie ja. Ja jej nie zabiłem.
- Kręgosłup bolał jeszcze bardziej.

4.

– Popatrz na nich! Tylko na nich popatrz!

Billy T. wpadł do skromnie umeblowanego pokoju komisarz Wilhelmsen bez pukania i wymachując rękami, wskazywał na Åkebergveien, gdzie bili się dwaj mężczyźni w płaszczach. Obok stało volvo z nosem bezwstydnie głęboko wbitym w tyłek najnowszego modelu toyoty corolli.

– Stuknęli się. Ten z przodu wyskoczył i wyciągnął z samochodu tamtego drugiego, zanim tamten zdążył powiedzieć choćby dzień dobry. Stawiam stówę, że volvo wygra!

– A który jest od volvo? – spytała Hanne ani trochę niezainteresowana. Przynajmniej jednak wstała i podeszła do okna.

– Ten w jaśniejszym płaszczu. Ten wysoki.

– Nie przyjmuję zakładu – stwierdziła Hanne, bo właśnie ten mężczyzna zadał prawy prosty, idealnie trafiając właściciela toyoty. Tamten zachwiał się, zatoczył do tyłu, stracił równowagę i wylądował na ziemi.

– Obrona konieczna w najczystszej postaci! – wrzasnął Billy T. – To toyota zaczęła!

Powalony na ziemię mężczyzna usiłował się podnieść, ale w jego stronę już biegli dwaj mundurowi. Byli bez czapek i kurtek, musieli więc zauważyć zajście przez jakieś inne okno.

– Typowe dla wuja Torvalda¹ – zirytował się Billy T. – Zawsze wszystko popsuje.

Jeszcze przez minutę obserwował, jak zakończy się cała ta sytuacja, lecz oczywiście na widok policji dzielni wojownicy natychmiast się poddali. Starali się wszystko wygładzić i czym prędzej zabrali się do wypełniania zgłoszeń szkody.

– Życie ofiarowuje większe i mniejsze radości – westchnął Billy T., siadając naprzeciwko szefowej – ale w tej sprawie z domu dziecka zdecydowało, że radości będzie niewiele.

– To znaczy?

– Ślady techniczne: milion. Przydatne: zero. – Jego olbrzymia dłoń nakryła paczkę papierosów leżącą na biurku Hanne. – Mówiłem ci już, że masz z tym skończyć. – Billy T. gwałtownie zmienił temat. – To cię zabija, kotku.

– Takich uwag dość się nasłucham w domu. Nie mam ochoty wysłuchiwać ich i tutaj –

¹ Wuj Torvald – potoczne określenie policjanta (przyp. tłum.).

odparowała Hanne z nieoczekiwaną irytacją w głosie.

Ale Billy T. nie dał się przestraszyć.

– Cecilie jest mądra. Wie, co jest dobre dla jej dziewczyny. Przecież jest lekarką.

Oczy Hanne pociemniały Wstała szybko i zamknęła uchylone do tej pory drzwi. Billy T. wykorzystał okazję i zgniótł paczkę z co najmniej dziesięcioma papierosami, po czym wyrzucił ją do śmieci.

– Już. O jedną paczkę gwoździ do trumny mniej – oznajmił zadowolony.

Hanne rozzłościła się bardziej, niż się tego spodziewał.

– Posłuchaj, Billy T.! Jesteś moim przyjacielem, a od przyjaciół wiele można znieść. Ale żądam od ciebie jednego: szacunku. Zarówno dla tego, że nie chcę rozmawiać o moim życiu prywatnym wtedy, kiedy inni mogą nas usłyszeć, jak i dla rzeczy, które do mnie należą! Możesz sobie marudzić o tym moim paleniu, ile chcesz. Wiem, że intencje masz dobre. Ale, do jasnej cholery, nie ruszaj moich rzeczy!

Wściekła pochyliła się nad koszem i spośród zmiętych kartek i ogryzków wyjęła zniszczone papierosy. Dwa, chociaż wygięte, przeżyły. Natychmiast jednego zapaliła, głęboko się zaciągając.

– No dobrze. Na czym skończyliśmy?

Billy T. opuścił ręce, które uniósł w poddańczym geście podczas wybuchu przyjaciółki.

– Przepraszam, Hanne, przepraszam. Naprawdę nie chciałem...

– W porządku – przerwała mu z uśmiechem. – Dowody techniczne.

– Całe mnóstwo – wymamrotał zawstydzony i wciąż zaskoczony tak gwałtowną reakcją Hanne. – Odciski palców są wszędzie z wyjątkiem miejsca, gdzie chcielibyśmy je znaleźć, czyli na rękojeści noża. Jest całkowicie czysta, a to całkiem zwyczajny nóż. W dodatku kupiony w Ikei. W jedynym miejscu na świecie, w którym kompletnie nie da się stwierdzić, kto go kupił. Sprzedają takich kilka milionów. A jeśli chodzi o ślady stóp – lekko uniósł się na krześle – są tak zdeptane, że mają minimalną wartość. Sama widziałaś, jak to wyglądało. Ale technicy nad tym pracują. Najprawdopodobniej wszystkie pozostawiły mieszkające tam dzieci i wychowawcy. Innymi słowy...

– Innymi słowy – Hanne znów mu przerwała – zostaje nam najciekawszy i najbardziej klasyczny element pracy policyjnej. – Nachyliła się do niego z uśmiechem i oboje wyrecytowali chórem:

– Śledztwo taktyczne!

Wybuchnęli śmiechem. W końcu Hanne podsunęła mu plik zapisanych na maszynie

kartek.

– To jest lista wszystkich dzieci i pracowników Promyka Słońca przygotowana przez Maren Kalsvik.

– Nie przeceniajmy jej – zauważył Billy T. – Przecież ta kobieta jest w równym stopniu podejrzana.

– Jak wszyscy – przyznała Hanne. – Ale spójrz na to!

Lista zawierała krótkie życiorysy wszystkich zatrudnionych. Najmłodszy wśród nich był Christian, niespełna dwudziestoletni, najstarsza – Synnøve Danielsen, pracująca w Promyku od samego początku, czyli 1967 roku. Podobnie jak Christian nie miała odpowiedniego wykształcenia, ale w przeciwieństwie do chłopaka – mnóstwo doświadczenia. Trzy inne osoby posiadały dyplomy pracowników socjalnych, było też dwóch diakonów, troje pedagogów, jeden nauczyciel wychowania przedszkolnego i mechanik samochodowy. Ostatni na liście, Terje Welby, to dyplomowany nauczyciel, którego zawodowy krąg zainteresowań obejmował historię, pedagogikę i literaturoznawstwo. Promyk Słońca prowadziła Armia Zbawienia, ale najważniejsze aspekty jego działalności finansowało państwo. Mieli jedenaście i pół etatu, które pokrywało czternastu pracowników.

– Teraz już trzynastu – pokiwał głową Billy T. – Kto przejął funkcję kierowniczkę?

– Z tego, co rozumiem, to Terje Welby jest formalnie zastępcą. Ale podczas tych ćwiczeń przeciwpożarowych uszkodził sobie kręgosłup i dostał dzisiaj zwolnienie. Wszystkim pewnie zarządza Maren Kalsvik.

– Hm. Nieźle się trafiło.

– Co?

– To zwolnienie.

– Sprawdźmy.

– To będzie bardzo proste. Gorzej znaleźć motyw w tej grupie.

– Motyw istnieje zawsze. Problemem jest tylko odkrycie osoby, u której ten motyw jest dostatecznie silny. W dodatku to mógł być ktoś z zewnątrz albo któreś z dzieci. Brzmi nieprawdopodobnie, ale niczego nie możemy wykluczyć. Dzieci już przesłuchane?

– O tyle, o ile. Mnie się to wydaje kompletnie nieprawdopodobne. Nocny dyżurny tuż przed znalezieniem zwłok akurat zrobił obchód, a powinien umieć odróżnić, czy dziecko tylko śpi, czy jedynie udaje. Przysięga, że wszystkie spały jak kamienie. Trzeba być prawdziwym diabłem, żeby zamordować „ciocię”, a potem zapaść w sen bez snów. – Billy T. potarł twarz. – No tak, jedyną możliwością jest ten dzieciak, który zniknął. To podobno naprawdę twardy orzech do zgryzienia. Nowy, w domu dziecka zaledwie od trzech tygodni.

Cholernie dziwny i trudny.

Hanne Wilhelmsen dalej przerzucała kartki.

– Dwunastolatek? Dwunastolatek! Nie miałby tyle siły, żeby tak mocno wbić nóż prosto w serce dość otyłej kobiety. – Zdecydowanym gestem zgasiła papierosa w brzydkiej popielniczce z brązowego szkła.

– Podobno ten chłopak jest wielki – upierał się Billy T. – Nienormalnie wielki jak na swój wiek.

– W każdym razie to dla nas nie najlepszy początek skupiać się na dwunastoletnim chłopcu. Niech ta ewentualność na razie zostanie otwarta. Chociaż oczywiście trzeba dzieciaka odnaleźć – dodała. – Z wielu powodów. Mógł choćby coś widzieć. Zaczniemy więc od pogrzebania w życiorysach tych osób. Sprawdźmy wszystko: wydatki, kochanków, skłonności seksualne... – pod jej ciemnoniebieskimi oczami rozlał się lekki rumieniec i Hanne zapaliła ostatniego nadającego się do użytku papierosa, żeby odwrócić uwagę od siebie – ...kłótnie w rodzinie. Wszystko. Poza tym musimy prześledzić życie ofiary. No to do roboty!

– W takim razie ja się jeszcze raz wybiorę do tego domu dziecka, żeby sprawdzić, czy istnieją jakieś inne możliwe drogi wejścia i ucieczki zabójcy – powiedział Billy T., wstając.

Było wpół do trzeciej. Hanne Wilhelmsen zastanowiła się i obliczyła, że zdąży do domu na piątą.

– Jadę z tobą – oświadczyła i pobiegła za nim po niebieskim linoleum korytarza w stronę windy.

– Ty się, do cholery, nie nadajesz na komisarza, Hanne – zarechotał Billy T. – Masz za dużo ciekawości w tej swojej główce.

– Zamknij się! – syknęła.

Kiedy ciężkie metalowe drzwi broniące wejścia do budynku policji nieprzyjaźnie się za nimi zamknęły, na moment złapała go za ramię. Billy T. się zatrzymał.

– Musisz wiedzieć jedno: powinieneś się tylko cieszyć, że potrafię się tak na ciebie rozżłościć – oznajmiła i pomaszerowała dalej.

Billy T. nic z tego nie zrozumiał, ale chętnie jej uwierzył.

Wszystkie dzieci były już na miejscu. Drzwi otworzyło im dwóch identycznych ośmio-, może dziewięciolatków. Z przerażeniem spojrzeli na potężnego mężczyznę z wąsami.

– Cześć, chłopcy! Nazywam się Billy T. i jestem policjantem. Jest ktoś dorosły?

Bliźniacy, trochę uspokojeni, wycofali się, coś do siebie szepcząc. Billy T. i Hanne poszli za nimi. Poprzednim razem zdumiała ich cisza panująca w tym domu. Teraz dzieci jakby postanowiły sobie wszystko odbić.

Jedyny w ośrodku prawie dorosły nastolatek siedział na środku podłogi i grzebał przy rowerze. Obok niego kucał maleńki jak ptaszek chłopczyk, który wydawał się szczęśliwy za każdym razem, gdy dostawał do potrzymania narzędzie. Duży przemawiał do niego ściszym życzliwym głosem, który prawie ginął w krzykach czternastolatka, triumfalnie biegającego w kółko z biustonoszem w ręce i uciekającego przed wściekłą dziewczynką.

– Anicie się wydaje, że ma cycki!

– Oddawaj, Glenn! Ale już!

Bliźniaki zaczęły skakać wokół chłopca. W końcu jeden wspiął się na wielki stół i wymachując rękami, zaczął wrzeszczeć:

– Tutaj, Glenn! Rzuć go tutaj!

– Anicie się wydaje, że ma cycki! – nie przerywał Glenn, ale był tak wysoki, że nawet kiedy się zatrzymał, o dwa lata starsza dziewczynka nie miała szansy dosięgnąć wstydlivej części garderoby, którą Glenn wywijał teraz nad głową.

– Pomóż mi, Jeanette! – poskarżyła się Anita.

– Glenn, przestań! – Tylko na tyle mogła liczyć ze strony pulchnej dziewczynki, która kompletnie niewzruszona siedziała spokojnie przy stole i rysowała. – Roy-Morgan, nie depcz po moim rysunku! – Uderzyła go pięścią.

Chłopiec krzyknął z bólu i zaraz wybuchnął płaczem.

– O Boże, dzieci! Glenn, przestań! Oddaj Anicie biustonosz! Natychmiast! A ty złaź!

Ośmiolatek, który stał na stole na jednej nodze, pocierając łydke drugiej, zeskoczył na podłogę, zanim Maren Kalsvik zdążyła powiedzieć coś więcej. Dopiero teraz zauważyła parę przy drzwiach.

– O, przepraszam – powiedziała zaskoczona. – Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

– Że ktoś tu jest? – zaśmiał się Billy T. tak szeroko, że spod wąsów błysnęły mu zęby.

– Przecież w tym domu jest tłum ludzi!

Dwaj chłopcy dalej niewzruszenie naprawiali rower.

– Tyle razy ci mówiłam, Raymond. – Maren z rezygnacją machnęła ręką. – Możesz się tym zajmować w piwnicy. To nie jest warsztat.

– Ale w piwnicy jest zimno – zaprotestował chłopak.

Maren się poddała, a Raymond zdumiony podniósł na nią wzrok.

– Mogę zostać? – spytał.

Wychowawczynie wzruszyła ramionami i odwróciła się do policjantów. Ostatnie półtorej doby zrobiło swoje. Dziewczyna wyglądała wręcz nieporządnie. Włosów nie splotła w warkocz, tylko związała je zwykłą gumką w koński ogon, z którego wysunęło się kilka kosmyków; zwieszona ramiona i zbyt luźny strój dopełniały widoku. Oczy wciąż miała zaczerwienione.

– Nie dostaliście tej listy?

– Dostaliśmy – odparła Hanne. – Bardzo dziękuję. Na pewno nam pomoże.

Lekkim skinieniem głowy w stronę dzieci powiedziała Maren Kalsvik, że chcą porozmawiać na osobności.

– Możemy przejść tutaj – zaproponowała dziewczyna, otwierając drzwi do jasnego przytulnego pokoju z czterema siedziskami Sacco, kanapą i dwoma fotelami ustawionymi przed dwudziestoosmiocalowym telewizorem. Kobiety usiadły w fotelach, natomiast Billy T. rozwalił się na sacco. Prawie leżał na podłodze, ale Maren Kalsvik nawet się nie skrzywiła.

– Czy opiekun, który miał dyżur w nocy, jest tu teraz? – zapytała Hanne.

– Nie, jest na zwolnieniu.

– On też? To jakaś epidemia? – burknął Billy T. z podłogi.

– Terje uszkodził sobie kręgosłup podczas ćwiczeń przeciwpożarowych. Wypadnięcie dysku czy coś w tym rodzaju. Dobrze się czuł, kiedy skończyliśmy, ale podobno ból pojawił się wieczorem. A jeśli chodzi o Eirika, to jest w szoku. Znalezienie martwej kierowniczkii musiało być straszne. Był kompletnie załamany, kiedy dzwonił. W pierwszej chwili pomyślałam, że sobie ze mnie żartuje, i chciałam odłożyć słuchawkę, ale w końcu zrozumiałam, że to poważna sprawa. Eirik wpadł w histerię.

– Wie pani, gdzie siedział?

– Gdzie siedział?

– No tak. Czy to nie w tym pokoju spędził prawie cały wieczór?

– Aha, o to chodzi. Tak.

Odgarnianie grzywki najwyraźniej stało się brzydkim nawykiem.

– Zresztą nie wiem. Ale wszyscy dorośli zwykle siadają w fotelach. – Popatrzyła na Billy'ego T. i zamruwała. – Prawdopodobnie siedział tutaj. Ten fotel stoi najbliżej telewizora. Zazwyczaj odbiornik jest przyciszony.

Billy T. z trudem dźwignął się z podłogi. Podeszedł do drzwi i lekko je uchylił.

– Zostawiacie drzwi otwarte, kiedy tu siedzicie?

– Nie ma reguły. Ja w każdym razie nie zamykam – na wypadek, gdyby któreś z dzieci

wołało albo zeszło na parter. Poza tym Kenneth od czasu do czasu wędruje we śnie.

– Ale przecież z tej pozycji nie widać, co się dzieje z tyłu...

Maren Kalsvik obróciła się w stronę policjanta.

– To wcale nie jest konieczne. Najważniejsze, żebyśmy słyszeli dzieci. One wiedzą, że zasadniczo właśnie tu przesiadujemy wieczorami. Niektórzy z nas nawet tu śpią, mimo że mamy łóżko na piętrze. Poza tym wejściowe drzwi zawsze mają być zamknięte.

– A czy czasami się zdarza, że nie są?

– Oczywiście, że może się to zdarzyć...

Do pokoju wpadł nagle z płaczem mały pomocnik od podawania narzędzi. Przez moment się zawahał, po czym jak błyskawica wyminął Billy'ego T. przy drzwiach i rzucił się w objęcia Maren.

– Glenn mówi, że to ja zabiłem Agnes! – wyszlochał.

– Ależ, Kenneth! – zaczęła mu szeptać do ucha. – To jakieś głupstwa. Nikt w to nie wierzy. Przecież tak ją lubieś! I jesteś takim grzecznym chłopcem.

– Ale on mówi, że to zrobiłem! I że policja przyszła mnie aresztować!

Płakał już teraz w głos, z trudem łapiąc powietrze, wczepiony w wychowawczynię. Maren delikatnie odsunęła rączki zaciśnięte na jej szyi, żeby nawiązać z chłopcem kontakt wzrokowy.

– Kenneth, kochany! On się tylko z tobą drażni. Przecież wiesz, że Glenn to uwielbia. Nie możesz brać poważnie tego, co mówi. Spytaj tego pana, czy przyszedł po ciebie. Ten pan to policjant.

Chłopiec nagle zrobił się jeszcze mniejszy. Przerażony wpatrywał się w Billy'ego T. nieco wybaluszonymi oczami, kurczowo ściskając Maren za rękę. Sierżant z uśmiechem przykucnął przed nim.

– Kenneth, tak ci na imię?

Chłopiec nieśmiało kiwnął głową.

– A ja jestem Billy T. Czasami wołają za mną: „Billy, mnie pobili!”.

W zapłakanych oczach dziecka coś błysnęło.

– Widzę, że i ty masz poczucie humoru. – Billy T. lekko zmierzwił chłopczkowi włosy. – Powiem ci jedno, Kenneth. Nie wierzymy, że któreś z dzieci mogło to zrobić. A na sto, a nawet na dwieście procent jesteśmy pewni, że nie zrobiłeś tego ty. Zobacz... – Ujął małą rączkę, która puściła wreszcie dłoń Maren. – Mogę ci podać rękę i obiecać jedno: żaden policjant cię stąd nie zabierze. Wiemy, że nie zrobiłeś nic złego. Widzę to po tobie. Jesteś dobrym i uczciwym chłopcem, a ja potrafię dostrzec takie rzeczy.

Kenneth lekko się uśmiechnął, chociaż bez przekonania.

– Na pewno?

– Przysięgam. – Billy T. położył rękę na sercu.

– A może pan o tym powiedzieć Glennowi? – spytał szeptem chłopczyk.

– Jasne.

Billy T. wstał i dopiero wtedy zobaczył, że w drzwiach stoi Raymond, oparty o futrynę, z rękami założonymi na piersi. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym chłopak stwierdził spokojnym głosem:

– Jasne, że to nie Kenneth. Ani nie ja. Ale nie jestem wcale przekonany, czy to nie ktoś, kto tu mieszka. Ten Olav to naprawdę niepewny typek. I silny jak dorosły. Poza tym to najagresywniejszy dzieciak, z jakim miałem do czynienia. A na dodatek groził, że zabije Agnes.

Zapadła całkowita cisza. Nawet dzieci wcześniej hałasujące w drugim pokoju stanęły w milczeniu za plecami Raymonda, żeby lepiej wszystko słyszeć. Hanne Wilhelmsen czuła, że powinna zabrać nastolatka do innego pomieszczenia i porozmawiać z nim bez publiczności, ale Billy T. zrozumiał jej zamiary i powstrzymał ją gestem.

– Powtarzał to kilka razy. Na przykład kiedy kładliśmy się spać. Nie chciało mi się odpowiadać, bo nowi zawsze się wściekają na wszystko i wszystkich. – Uśmiechnął się pierwszy raz, ukazując równe i białe zęby. Mimo rzadkich włosów i blizn na twarzy rysy miał ładne. – Ja na początku też się tak zachowywałem. Ale z Olavem było gorzej. Sprawiał wrażenie śmiertelnie poważnego. Mówił nawet, jak to robi. Powiedział, że użyje noża. Dobrze to zapamiętałem, bo zdziwiło mnie, że nie mówi o strzelbie czy karabinie maszynowym, tak jak ja gadałem. Ale nóż łatwiej zdobyć. W kuchni są ich całe stopy. Gdybym był gliną, nie wyeliminowałbym chłopaka od razu. No a poza tym zwiął. – Najwyraźniej powiedział już wszystko, bo ziewnął i odwrócił się, żeby iść z powrotem do pokoju dziennego.

Billy T. go zatrzymał.

– Ten nóż, którym zabito Agnes, nie był wcale stąd – powiedział spokojnie. – Wy nie macie noży z Ikei.

Chłopak z udawaną obojętnością wzruszył ramionami i wyszedł.

– Jak sobie chcecie – mruknął jeszcze pod nosem. – Ja się o stówę założę, że to Olav.

Olav miał serdecznie dość konserw, które jadł głównie na zimno. Poza tym bolał go spuchnięty kciuk. Ci ludzie nie mieli zwykłego otwieracza do puszek, a w każdym razie takiego jak mama. Ten, który w końcu udało mu się znaleźć, był o wiele mniejszy i bolała od niego ręka. Szarpnął za pokrywkę rozciętej do połowy puszki z klopsikami z renifera, głęboko się przy tym kalecząc.

– Niech to cholera!

Wsunął palec do ust, żeby odessać krew. Jęknął, gdy zawadził nim o ranę na języku. Trochę krwi kapnęło do sosu, tworząc na nim delikatny czerwony wzór.

– Pieprzona pokrywka!

Przełożył zawartość puszki do wielkiego garnka i na próbę włączył jedną płytkę kuchenki. Symbole pokazujące, które pokrętko odpowiada której płytce, były całkiem starte. Ale tym razem też dobrze odgadł. Kilka minut później potrawa zaczęła parować. Parę razy energicznie zamieszał do samego dna. Zanim się zagotowała, zestawił garnek bezpośrednio na stół. Jadł prosto z niego.

Spędził w tym domu już jedną noc i jeden dzień. Nie opuszczał jednak kuchni. Tutaj jadł i spał. Przez resztę czasu siedział na podłodze i myślał. Raz zajrzał do salonu, ale przestraszył się dużego panoramicznego okna bez zasłon z widokiem na całe miasto. Przez chwilę rozważał ostrożne przesunięcie telewizora do kuchni, ale prędko się przekonał, że kabel od anteny nie sięgnie.

Agnes nie żyła, tego był przynajmniej pewien. Chociaż nigdy wcześniej nie widział nikogo martwego. Miała taki dziwny wyraz twarzy i otwarte oczy. A on zawsze sobie wyobrażał, że człowiek przed śmiercią je zamyka.

Gdyby tylko mógł zadzwonić do mamy... W korytarzu, bezpiecznym, bo bez okien, znalazł telefon. Czynny, był sygnał. Ale u mamy na pewno roilo się od policji. W telewizji zawsze pokazywali, że w takich sytuacjach policja od razu jedzie do domu kogoś, kto zrobił coś złego. Czai się w krzakach, a potem bum! Uderza, gdy ten ktoś się zjawia. Poza tym telefon na pewno jest na podsłuchu.

Dość długo zastanawiał się, gdzie umieścili magnetofon, z którego zawsze ktoś w słuchawkach odsłuchuje nagranie. Może u sąsiadki? To prawdziwa wiedźma. Albo w piwnicy. Może nawet przyjechał któryś z tych wielkich samochodów bez okien z mnóstwem sprzętu w środku.

Zanim znalazł jakieś rozsądne rozwiązanie tej kwestii, głęboko zasnął, mimo że wciąż było wczesne popołudnie. I mimo że czuł się o wiele bardziej samotny niż kiedykolwiek i bardzo, ale to bardzo się bał.

Zdumiewał mnie Urząd Ochrony Praw Dziecka. Przecież mnie widzieli, musiałam więc się zagubić gdzieś w tych ich przepastnych archiwach. Kiedy z rzadka ktoś dzwonił do drzwi, akwizytor, a najczęściej gromada łobuziaków, która uciekała z wraskiem, gdy się w końcu ukazałam, paraliżował mnie strach. Najbardziej chciałam siedzieć cicho jak myszka i udawać, że mnie nie ma. Wiedziałam jednak, że oni mają swoje metody, więc równie dobrze mogłam ich wpuścić. Ale to nigdy nie był nikt z urzędu.

Pewnego popołudnia dyrekcja przedszkola wezwała mnie na rozmowę w cztery oczy. Byłam wtedy przekonana, że w końcu ruszyli do ataku. Rozważałam możliwości ucieczki. Uporałam się z tym szybko, bo po prostu nie miałam dokąd uciec. Moja matka nic nie rozumiała, a jej zarządzenie działało mi na nerwy. Wydaje mi się, że nie znosiła tego dziecka tak samo jak wszyscy inni. Oprócz niej prawie z nikim się nie widywałam, odkąd mały się urodził, czyli od pięciu lat.

Jednak nikt z Urzędu Ochrony Praw Dziecka nie stawiał się i na tym spotkaniu. Była jedynie kierowniczką, a ona zawsze dobrze mnie traktowała. Teraz miała poważną minę i chyba była zła, że chłopiec przyszedł ze mną. Ale co, na miłość boską, miałam z nim zrobić? Nic nie powiedziałam.

Okazało się, że tego samego dnia mały przeciął kabel od lodówki. To mogło być dla niego niebezpieczne. A poza tym jej zdaniem wpisywało się w pewien destrukcyjny wzór. Mały stał się dla nich zbyt wymagający. Nie bawił się z innymi dziećmi, wszystko psuł. Nie znał granic. Był straszliwie nadaktywny.

Wciąż się nie odzywałam. W głowie miałam jedynie białą bolesną grudę i mogłam tylko ze strachem myśleć, że stracę miejsce w przedszkolu. Ale nic nie powiedziałam.

Ona chyba to rozumiała, bo nagle zaczęła mi okazywać większą życzliwość. Zaproponowała, że złożę wniosek o dodatkową osobę do pomocy, o asystenta zatrudnionego na piętnaście godzin tygodniowo. Mówiła o poliklinice psychiatrycznej dla dzieci, o pomocy psychologiczno-pedagogicznej, lecz określała to skrótami, o których wtedy nie miałam pojęcia. Zamierzała zaangażować wszystkie te instytucje. Ale ani słowem nie wspomniała o Urzędzie Ochrony Praw Dziecka. Z czasem rozumiałam najważniejsze: mały mógł dalej chodzić do przedszkola. W głowie trochę mi się rozjaśniło i zaczęłam oddychać. Rozbolał mnie brzuch.

Dzień później w biurze opieki społecznej znalazłam broszurę na temat MBD – to taki

angielski skrót oznaczający minimalne uszkodzenia mózgu. Przeglądałam ją właściwie z nudów, żeby nie patrzeć na innych, ale nagle coś przykuło moją uwagę. Lista objawów. Całe mnóstwo oznak świadczących o uszkodzeniach mózgu u dziecka, którym nikt nie zawinił.

Wszystko pasowało! Niepokój, nadmierna aktywność, mały zasób słów, mimo że wcale nie był głupi, trudności w zabawie z innymi dziećmi. Miałam wrażenie, że czytam o moim synku. Coś było nie tak z jego mózgiem. Coś, czemu nikt nie umiał zaradzić. Coś, co nie miało żadnego związku ze mną. Zabrałam stamtąd trzy egzemplarze tej broszury. Poczułam coś w rodzaju nadziei.

– Ominięcie zmęczonego nocnego dyżurnego, który siedział tyłem i oglądał telewizję, musiało być zapewne całkiem proste. Wystarczyło wejść na górę i zejść. Pod warunkiem że główne drzwi były otwarte.

– Albo zabójca miał klucz. Ale to i tak nie zmienia faktu, że musiał znać ten dom. Wiedział, gdzie zazwyczaj przebywa dyżurny, no i orientował się, dokąd prowadzą te identyczne drzwi na piętrze.

Billy T. i Hanne siedzieli u niej w domu na dwóch końcach głębokiej amerykańskiej kanapy, trzymając nogi na niskim sosnowym stoliku. Pokój nie był zbyt duży, a zajmujący całą jedną ścianę regał z książkami też go nie powiększał.

– Poza tym... – Hanne wypila łyżeczek herbaty, wciąż jeszcze za gorącej. – Poza tym ten ktoś musiał wiedzieć, że Agnes ciągle tam jest mimo późnej pory. Przecież nie miała dyżuru.

– No tak, ale nie wiemy, czy przyszedł po to, żeby zabić. Mogło mu chodzić o coś zupełnie innego. A nóż zabrał ot, tak, na wszelki wypadek.

– O co mogło mu chodzić u niej w gabinecie? O tę roślinkę?

– W każdym razie było tam kilka szuflad zamkniętych na klucz i w nich mogło coś być. Mimo że nie zostały wyłamane. Pamiętasz o tym kluczu?

Hanne zmarszczyła czoło i lekko przekrzywiła głowę.

– Tak! Według Maren Kalsvik miał leżeć pod doniczką. Wyglądała na zdziwioną, że go tam nie ma. Wiesz, co się z nim stało?

– Technicy go zabrali. Chcieli zbadać odciski palców, ale nie znaleźli nic wartościowego.

– Wytarty?

– Niekoniecznie. Jest maleńki. Wystarczy go niechcący lekko potrząść i już nie da się zdjąć żadnych śladów. A to znaczy, że nie wiemy, czy zabójca zaglądał do tych szuflad. Leżały tam jakieś dokumenty, opinie psychologów, a poza tym własne notatki kierowniczkę dotyczące najzupełniej trywialnych kwestii: lista zakupów, spraw do załatwienia i tak dalej.

– Ale jeśli komuś chodziło o zawartość tych szuflad, to musiał wiedzieć, gdzie leży klucz.

– Dlatego szukamy przede wszystkim osoby, która dobrze znała dom – podsumował Billy T. – i była co najmniej przygotowana na to, że zostanie tam Agnes. Albo przyszła, żeby ją zabić, albo zrozumiała, że będzie do tego zmuszona, bo inaczej nie zajrzy do szuflady.

– Niezłe podsumowanie – mruknęła Hanne akurat w chwili, gdy w drzwiach stanęła jej jasnowłosa towarzyszka życia, Cecilie Vibe.

– Billy T.! – zawołała. – Jak miło! Zostaniesz na kolacji? Ale się opaliłeś! – Nachyliła się nad nim i mocno pocałowała go w policzek.

– Nie mogę odmówić kolacji z najwspanialszymi dziewczynami w mieście – odpowiedział z uśmiechem.

Do domu wrócił dopiero przed północą.

5.

Mąż Agnes Vestavik, który urodził się 8 maja 1945 roku, nie wyglądał ani na szczęśliwego, ani na szczególnie pokojowo nastawionego. Billy T. wiedział, że będzie miał problemy z zapamiętaniem jego twarzy: przeciętnej wielkości usta pod przeciętną wielkością nosem i przeciętnie niebieskimi oczami. Malującą się na niej gorycz mogły oczywiście wywołać mało przyjemne zdarzenia – od śmierci żony minęły zaledwie dwa dni – ale równie dobrze mogła to być jego stała mina.

Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu i najwyraźniej lepiej znosił domową kuchnię niż żona. Był wręcz wychudzony. Ubrał się, jak przystało na kierownika sklepu z odzieżą męską, w szare spodnie z cienkiej wełny, białą koszulę i dyskretny granatowy krawat. Do tego marynarka w pepitkę. Miał głębokie zakola, ale czuprynę wciąż imponującą.

– Rozumiem, że to może być bolesne – Billy T. zaczął recytować wyuczoną lekcję – ale jak pan z pewnością się domyśla, musimy wyjaśnić sporo spraw.

Pełne współczucia słowa zabrzmiały dziwnie. Kontrastowały z ostrzyżoną na jeża olbrzymią postacią we flanelowej koszuli i kowbojkach z ostrogami. Vestavik jednak nie zwracał na to uwagi.

– Jasne – mruknął zniecierpliwiony, pocierając twarz szczupłą dłonią z bardzo wąską obrączką. – Miejmy to już za sobą.

– Jak się czują dzieci?

– Amanda, najmłodsza, niewiele rozumie. Starsi chłopcy bardzo to przeżywają, co chyba oczywiste.

Vestavik miał teraz łzy w oczach. Może płakał nad sobą, może nad pograżonymi w smutku dziećmi. Zamrugał szybko, żeby powstrzymać łzy, i lekko pokręcił głową.

– Nie pojmuję...

– Wiem. Takich rzeczy nie da się pojąć, kiedy dotykają nas osobiście.

Billy T. odsunął ręce od klawiatury komputera. Epoka cyfrowa dotarła wreszcie przynajmniej do niektórych pomieszczeń Komendy Okręgowej Policji w Oslo.

– Zaczniemy od najprostszych spraw – powiedział, proponując Vestavikowi kawę, za którą ten podziękował. – Kiedy się poznaliście?

– Właściwie nie pamiętam. Mam młodszą siostrę, która przyjaźniła się z Agnes. Ale zaczęliśmy się spotykać dopiero, kiedy była już dorosła. To znaczy w tym sensie.

Lekko się zmieszał, ale Billy T. uspokoił go uśmiechem.

– Rozumiem. A kiedy się pobraliście?

– W siedemdziesiątym drugim. Agnes miała dwadzieścia dwa lata i już pracowała w ochronie praw dziecka. Zawsze zajmowała się dziećmi. Ja miałem... dwadzieścia siedem lat. Ale przez jakiś czas byliśmy zaręczeni. Co najmniej rok. Petter urodził się w siedemdziesiątym szóstym, a Joachim – w siedemdziesiątym ósmym. Amanda w lutym dziewięćdziesiątego pierwszego.

– Naprawdę duża różnica wieku!

– Owszem, ale to było planowane dziecko. – Vestavik uśmiechnął się pierwszy raz, chociaż blado i samymi ustami.

– Jakież problemy w małżeństwie?

Billy T. czuł się nieswojo, ale musiał wywiązać się z obowiązków. Vestavik jednak spodziewał się tego pytania, bo westchnął ciężko i wyprostował się na krześle, jakby zbierał się w sobie.

– Przypuszczam, że nie większe niż u innych. Mieliśmy swoje wzloty i upadki. Wydaje mi się, że każdego może w końcu dopaść nuda. Ale łączyły nas dzieci, dom, przyjaciele... Ostatnio... to był raczej okres upadków. Wydaje mi się, że Agnes miała kłopoty w pracy, ale nie wiem, o co mogło chodzić. Nie bardzo umiałem jej odpuścić, nie wiem...

Teraz łzy już się przelały. Gorączkowo usiłował zapanować nad sobą, ale skutkiem tego był ostry, wręcz chrapliwy szloch. Billy T. dał mu czas na wyjęcie chusteczki, eleganckiej, męskiej, świeżo wyprasowanej. Vestavik głośno wydmuchał nos i wytarł oczy, po kolei delikatnie przykładając do nich chusteczkę.

– Nie kłóciliśmy się za bardzo – podjął wreszcie. – Raczej po prostu nie rozmawialiśmy. Agnes była taka daleka i strasznie rozdrażniona. W niektóre wieczory tak się to rzucało w oczy, że myślałem o menopauzie, chociaż miała dopiero czterdzieści pięć lat. – Spojrzeniem poprosił policjanta o zrozumienie i otrzymał odpowiedź:

– Kobiety potrafią być trudne – stwierdził Billy T. ze współczuciem. – Wszystko jedno, czy chodzi o menopauzę, czy o coś innego. Chciała się rozwieść?

Coś w twarzy mężczyzny jakby się zamknęło. Złożył chusteczkę i schował ją do kieszonki na piersi. Potem chrząknął, zmienił pozycję i popatrzył policjantowi prosto w oczy. Z biernego, dławiącego się płaczem wdowca zmienił się nagle w człowieka wręcz agresywnego.

– Kto tak twierdzi?

Billy T. uniósł ręce w obronnym geście.

– Nikt. Nikt nic takiego nie mówił. Po prostu zapytałem.

– Nie. Nie zamierzaliśmy się rozwodzić.

– Ale czy była o tym rozmowa? Żona o tym wspominała?

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– Nigdy nie wspomniała o możliwości rozwodu? W ciągu dwudziestu lat małżeństwa z jego wzlotami i upadkami? Nigdy nie napomknęła o rozwodzie?

– Nie, nigdy.

– Aha.

Billy T. ustąpił i otworzył szufladę biurka. Zdażył w niej już zaprowadzić potężny bałagan, mimo to szybko odnalazł kartkę formatu A4, którą położył przed sobą do góry nogami i pchnął w stronę przesłuchiwanego.

Vestavik już wcześniej był blady, ale Billy T. dałby sobie głowę uciąć, że pobladł jeszcze bardziej.

– Skąd pan to ma? – spytał ostro i agresywnie odsunął kartkę, zorientowawszy się, co to jest.

– Ależ, panie Vestavik, to oficjalnie dostępne informacje. Istnieją przecież rozmaite rejestry. Rejestr spółek handlowych, ewidencja ludności... – Rozłożył długie ręce. – Jesteśmy instytucją publiczną, możemy z nich korzystać, jeśli potrzebujemy.

Z kartki wynikało, że sklep Gregusson – Moda Męska, którym kierował mąż Agnes Vestavik, to rodzinna i bardzo solidna firma. Choć w rzeczywistości słowo „rodzinna” oznaczało pełną własność Agnes Vestavik z domu Gregusson. Agnes nie miała rodzeństwa, a po śmierci ojca w 1989 roku wszystkie udziały przeszły w jej ręce. Wprawdzie ojciec jako dobry chrześcijanin nie postawił w testamencie żadnych warunków, ale Agnes, idąc za radą stałego prawnika rodziny, spisała na wszystko intercyzę. Przecież nigdy nic nie wiadomo. Sklep przynosił całkiem solidny roczny dochód, natomiast pensja kierownika przez ostatnich osiem lat stała w miejscu. I, doprawdy, nie była imponująca.

– No właśnie. To nigdy nie było żadną tajemnicą – powiedział Vestavik ze złością. – Pracę miałem zapewnioną, nawet gdybyśmy się rozwiedli. Mamy w kraju odpowiednie prawa, które to gwarantują.

– Jeśli chodzi o pracę, to owszem – potwierdził Billy T. spokojnie. – Ale dom również należał do żony. Odziedziczyła go po rodzicach, prawda?

W pokoju zapadła całkowita cisza. Z korytarza dobiegały słabe okrzyki i śmiech, a przez okno słyhać było wypuszczonego przed chwilą aresztanta, który przeklinał wszystko i

wszystkich, a w szczególności funkcjonariuszy policji. Ściszony szum komputera zdawał się narastać.

– Więc pan uważa, że to ja ją zabiłem – odezwał się wreszcie wdowiec, drżącym z urazy palcem wskazując na Billy’ego T. – Dla domu miałbym zabić kobietę, która była moją żoną przez dwadzieścia trzy lata i matką moich dzieci? Dla domu!

Z wściekłością pochylił się nad biurkiem i uderzył dłonią w blat. Sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co ma robić. Czy powinien wstać i wyjść, czy też dalej siedzieć. W rezultacie przesunął się na sam brzeg krzesła, jakby szykował się do skoku.

– Ja nic nie uważam, panie Vestavik. Ani też niczego nie twierdzę. Wskazuję jedynie okoliczności, które są na tyle interesujące, że nie możemy przejść obok nich obojętnie. Nie chodzi jedynie o dom, lecz również o znaczące dochody ze sklepu i o to wszystko, co Agnes zdołała zgromadzić w ciągu małżeństwa. Prawda, zdaje się, wygląda tak, że pan nie jest właścicielem bodaj gwoźdźcia w ścianie. A raczej nie był pan. Zakładam, że nie zamierza pan teraz przeprowadzać postępowania spadkowego. Nie mamy żadnych informacji o testamencie. Czy to się zgadza?

Vestavik znów wyjął z kieszeni chusteczkę, ale tym razem nie potraktował jej równie delikatnie jak poprzednio. Kostki palców zaciśniętych na płótnie pobieleły.

– Oczywiście, że nie ma testamentu. Przecież nikt nie planował śmierci Agnes. Poza tym wcale nie zamierzaliśmy się rozwodzić. – Dostrzegł nagle logikę w swoich słowach i natychmiast się tego uchwycił. – Otóż to! Agnes nie napisała testamentu, co dowodzi, że nie byliśmy wrogami. Nawet się nie zbliżyliśmy do rozwodu. Gdyby Agnes miała takie plany, z pewnością zabezpieczyłaby się przed możliwością odziedziczenia przeze mnie wszystkiego. A poza tym pan się myli. – Urwał, jakby się wahał przed rzuceniem na stół atutowego asa. – Muszę przeprowadzić postępowanie spadkowe, ponieważ są dzieci. Nie może być inaczej, gdy w grę wchodzi intercyza.

– Ale dzieci nie wyrzucą pana z domu, prawda? – zauważył Billy T. złośliwie, kładąc dłonie na stole i nachylając się do przesłuchiwanego. Nie umiał ukryć złości na siebie za własną pomyłkę.

Rozległo się kilkakrotne pukanie do drzwi. Wdowiec drgnął przestraszony i wsunął się głębiej na krzesło. Do pokoju weszła Hanne Wilhelmsen, przedstawiła się i wyciągnęła do Vestavika rękę.

– To straszne, co spotkało pana żonę – powiedziała spokojnie. – Zrobimy, co w naszej mocy, żeby odnaleźć sprawcę.

– Wobec tego powinniście go szukać poza rodziną – mruknął Vestavik cicho, ale

widać było, że życzliwość pani komisarz nieco go rozbroiła.

– O, wie pan – ciągnęła Hanne z żalem w głosie. – Praca policjanta bywa niekiedy bardzo bezwzględna. Ale w sprawie takiej jak ta żaden kamyk nie może pozostać nietknięty. Jestem pewna, że pan to rozumie. To są tylko rutynowe czynności i im szybciej się z nimi uporamy, tym szybciej pan i pańska rodzina będziecie mogli się zająć powrotem do normalności po tym tragicznym wydarzeniu.

Vestavik sprawiał wrażenie uspokojonego. Hanne zamieniła jeszcze kilka słów z Billym T. i w końcu wyszła. Przesłuchanie ciągnęło się przez dwie godziny, ale już w nieco życzliwszej atmosferze. Billy T. dowiedział się, że Vestavik stosunkowo nieźle zna Promyk Słońca. Bywał tam wielokrotnie. Ich dom położony był zaledwie o rzut kamieniem od ośrodka, a Agnes pracowała w nim od dwunastu lat. Przy obiedzie w dniu zabójstwa oznajmiła, że będzie musiała wrócić do pracy wieczorem. Chłopców nie było w domu. Starszy już się zresztą wyprowadził; uczył się w wyższej szkole ludowej i mieszkał w internacie. Młodszy zaś, szesnastoletni Joachim, akurat wyjechał na zieloną szkołę. Agnes osobiście ułożyła Amandę do snu, zanim około wpół do dziesiątej wyszła do domu dziecka. Prosiła, żeby na nią nie czekał, bo może tam zostać do późna. Vestavik trochę pooglądał telewizję i położył się do łóżka o zwykłej porze, mniej więcej około dwunastej. Amanda z reguły mocno spała w nocy, ale akurat tego wieczoru przyśnił się jej jakiś koszmar i przebudziła się tak wystraszona, że pozwolił jej przyjść do ich sypialni. Zasnęli i obudzili się dopiero koło czwartej rano, kiedy przyszedł pastor. Przez cały wieczór nikt nie telefonował, Vestavik też do nikogo nie dzwonił. Nie był w stanie tak naprędce powiedzieć, co oglądał w telewizji, ale kiedy Billy T. podsunął mu gazety z programem na tamten wieczór, przedstawił krótkie, wiarygodne streszczenie filmu nadawanego na TV3.

– Coś jeszcze? – spytał Billy T. na koniec.

– O co panu chodzi?

– Czy coś jeszcze pana zdaniem może mieć znaczenie w tej sprawie – wyjaśnił Billy T. już zniecierpliwiony.

– Hm. Może jedna rzecz.

Vestavik wyjął portfel i zaczął szukać jakiegoś papierka, którego najwyraźniej w nim nie było. W końcu schował portfel z powrotem do wewnętrznej kieszonki i westchnął. Sprawiał wrażenie, jakby miał wątpliwości, czy powinien powiedzieć to, o czym myślał.

– Wyplacono pieniądze – zaczął z wahaniem.

– Pieniądze?

– Z konta. Wiem to jedynie z wyciągu. Nie mam pojęcia, gdzie ani kto to zrobił. Ale

jednego dnia zrealizowano trzy czeki, każdy na dziesięć tysięcy.

– Trzydzieści tysięcy koron?

– Tak. – Vestavik pociągnął się za ucho i spuścił wzrok. – Z osobistego konta Agnes. Widzi pan, mamy wspólne konto, a ona miała jeszcze własne. Ale oczywiście otworzyłem również jej wyciąg. Przyszedł wczoraj.

Wdowiec wyglądał na zakłopotanego z powodu czytania korespondencji żony. Billy T. szybko zapewnił, że nie ma w tym nic zdroźnego.

– Orientuje się pan, na co żona mogła potrzebować tych pieniędzy?

Vestavik pokręcił głową i ciężko westchnął.

– Ale mam wrażenie, że później zablokowała konto. Jeszcze mi się nie udało tego sprawdzić. Może skradziono jej książeczkę czekową?

– Może – powtórzył Billy T. w zamyśleniu. – Czy dla porządku możemy otrzymać od pana zgodę na sprawdzenie tego konta?

– Oczywiście.

Po wydrukowaniu zeznań i starannym podpisaniu ich na każdej stronie przez przesłuchiwanego Billy T. wyprowadził Vestavika z szarego betonowego budynku. Pospiesznie uściśnął mu rękę, po czym pędem pokonał schody i bez pukania wpadł do pokoju Hanne Wilhelmsen.

– Niech cię diabli, Hanne! – krzyknął gniewnie. – Przecież dobrze wiesz, że nie powinnaś mi przeszkadzać w środku przesłuchania! A gdyby on właśnie przyznawał się do winy?

– Ale się nie przyznał – odparła beztrąsko. – Podśluchiwałam pod drzwiami. Uznałam, że atmosfera za bardzo się zagaściła, postanowiłam więc interweniować, żeby trochę obniżyć temperaturę. Pomogło?

– Hm. Właściwie to tak.

– No widzisz. Można go skreślić?

– Nie. Na razie jeszcze nie. Chociaż to, co mówił, wydaje się raczej spójne. Poza tym zabicie żony wymaga dużego wysiłku, tu należy mu przyznać rację. Mają niespełna czteroletnią córeczkę i dwóch starszych chłopaków. Bardzo wątpię, żeby to on był sprawcą, ale jeszcze bym go zdecydowanie nie eliminował.

– Zabójstwa żon wcale nie należą do rzadkości – zauważyła Hanne zapatrzona gdzieś przed siebie. – Przeciwnie, sprawca i ofiara na ogół pozostają w bliskich relacjach.

– Ale w takim razie musiałoby to być zabójstwo z premedytacją, Hanne. Dokonane z zimną krwią. A on nie sprawiał wrażenia człowieka, który byłby do tego zdolny, mimo że ich

stosunki wyglądały na raczej chłodne. Zdaje się, że ktoś ją okradł na trzydzieści tysięcy koron, zabrawszy jej książeczkę czekową, a ona nawet nie pisała o tym mężowi.

– Co ty opowiadasz?

– Dobrze słyszałaś. Wczoraj Vestavik otworzył wyciąg z banku. Jednego dnia zrealizowano trzy чеки na dziesięć tysięcy każdy. Później już nic nie wypłacano.

Długo na siebie patrzyli.

– Może zrobił to sam, a potem zrozumiał, że prędzej czy później natkniemy się na te wypłaty, i wolał nas uprzedzić, mówiąc o tym od razu?

– Wątpię. Wydawał się zaskoczony. Niemal zakłopotany.

Hanne wstała i zgasiła papierosa, usiłując stłumić ziewnięcie.

– Zobaczmy. Sprawdź, co inni znaleźli, dobrze? Poproś, żeby Tone-Marit zajęła się tymi pieniędzmi. Jutro złożysz mi sprawozdanie. Idę do domu.

Odd Vestavik się pocił. Poluzował kołnierzyk i odciągnął pas bezpieczeństwa, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję, lecz na próżno.

Dał się wyprowadzić z równowagi, kiedy wyniknęła sprawa intercyzy. Powinien był im o tym powiedzieć. Ale własnoręcznie wykopałby sobie grób, gdyby przyznał, że zaledwie trzy tygodnie wcześniej Agnes zaskoczyła go nową małżeńską umową majątkową, stwierdzającą, że wszystko, co do tej pory stanowiło jej własność objętą intercyzą, przeszłoby na własność wspólną, gdyby odeszła. Tak właśnie zostało to sformułowane: „gdyby odeszła”. Zareagował ostro, kpiąc, że nawet prawnicy obawiali się użyć takiego prostego słowa jak „umarła”. A właśnie to się stało z Agnes. Umarła.

Przesłał tę nową umowę do zarejestrowania w sądzie zaledwie dwa dni przed jej śmiercią. Zaskoczyło go, że policja nic o niej nie wie. Najwidoczniej dokument utknął w kancelarii sądowego notariusza. Ile czasu jeszcze upłynie, zanim wyjdzie na jaw? Ale policja i tak się o tym dowie i wtedy z powodu tego przemilczenia będzie naprawdę podejrzany.

Zwolnił, a jadący za nim samochód zatrąbił ze złością. Zastanawiał się, czy nie zawrócić. Przecież okłamał policję.

Dodał jednak gazu i skierował się w stronę domu. Może nigdy się nie dowiedzą.

Był zbyt zmęczony, by teraz to rozważać. Musi się z tym przespać.

Ale te trzydzieści tysięcy koron nie dawało mu spokoju.

Maren całkowicie przejęła stery. Nastąpiło to w sposób naturalny. Zarówno pracownicy, jak i dzieci uznali ją za nową szefową bez formalności i bez protestów. Wprawdzie Terje wrócił, bo już się lepiej poczuł, lecz on również nie miał żadnych zastrzeżeń.

Dzieci zdumiewająco szybko otrząsnęły się z szoku. Jedyne Kenneth zdradzał lęk z powodu brutalnego zabójstwa, które zdarzyło się w odległości zaledwie kilku metrów od jego sypialni. Co wieczór dwa razy sprawdzał swój pokój w poszukiwaniu morderców i rabusiów. Zaglądał pod łóżko, do szafek, a nawet do skrzynki z zabawkami, która zdołałaby pomieścić najwyżej maleńkie dziecko. Albo małego, ale śmiertelnie niebezpiecznego smoka. Wychowawcy cierpliwie pozwalali mu na odprawianie tych rytuałów, ale i tak przez godzinę musieli leżeć przy nim, zanim zasnął.

Olava nie było już trzecią dobę. Poszukiwała go w całym regionie coraz bardziej zaniepokojona policja, a informacja o jego zaginięciu miała nazajutrz trafić do mediów.

– Mimo wszystko wydaje mi się, że nikt nie łączy jego ucieczki z zabójstwem – powiedziała Maren Kalsvik, bębniąc ołówkiem o stolik w saloniku. – Właściwie trochę mnie to dziwi. Zniknięciem Olava zajmują się zupełnie inni funkcjonariusze niż morderstwem Agnes.

– Rozumiesz chyba, że dwunastolatek nikogo nie mógł zabić. – Terje Welby westchnął z rezygnacją. – A już na pewno nie w ten sposób. Nie takim wielkim nożem.

– Gdyby dziecko miało zabić, raczej nie strzeliłoby z pistoletu – skonstatowała Maren cierpko i podeszła do dużych podwójnych drzwi z lustrem, oddzielających salonik od pomieszczenia, które nazywali pokojem dziennym.

Zsunęła oba skrzydła i przytrzymała je dopóty, dopóki nie usłyszała cichego kliknięcia zamka. Wtedy wróciła na kanapę, znów wzięła do ręki ołówek i zamyślona włożyła go do ust. Po kilku mocnych zaciśnięciach szczęk rozpadł się na dwie części.

– Bardzo mnie zastanawia jedna rzecz, Terje – zaczęła cicho, wypluwając drzazgi. Odłożyła zniszczony ołówek, jeszcze raz splunęła i w końcu wbiła wzrok w kolegę. – Gdzie się podziały te papiery, które leżały w szufladzie i stanowiły dowód na wszystko?

Terje zareagował gwałtownym rumieńcem. Nad napiętą wargą pojawił się pot.

– Papiery? Jakie papiery? – z trudem wyrzucił z siebie, lękliwie zerkając na zamknięte drzwi.

– Papiery dowodzące tego, co zrobiłeś – wyjaśniła Maren. – Te, które Agnes przygotowała specjalnie w związku z tą sprawą.

– Ona o niczym nie wiedziała! – Jego rozpacz objawiła się w postaci białych plam na czerwonych policzkach. Wyglądał na chorego. Gwałtownie poruszył górną połowę ciała i głośno jęknął. – Przeklęty kręgosłup! – wykrztusił i ostrożnie poprawił się na krześle. – Uwierz mi, Maren, ona o niczym nie wiedziała!

– Kłamiesz – rzuciła. Zabrzmiało to niczym bezsporna prawda, niedająca się podważyć i niepozostawiająca pola do dyskusji. Maren się nawet uśmiechnęła, chociaż był to raczej zmęczony, pozbawiony radości grymas, kryjący rezygnację i irytację. – Wiem, że kłamiesz. Agnes odkryła tę malwersację, a właściwie malwersacje, tak chyba powinnam powiedzieć. Mogę ci podać wszystkie szczegóły, ale to chyba nie jest konieczne. Była bardzo rozczarowana. I wściekła.

Terje już wcześniej był tak wzburzony, że Maren wątpiła, by w jego rejestrze uczuć mogło się znaleźć jakieś jeszcze bardziej intensywne. Ale pomyliła się. Terjemu zaparło dech, z trudem chwycił powietrze, a kiedy w końcu wydusił z siebie:

– Powiedziała o tym tobie? – jego głos zabrzmiał piskliwie, jak u dziecka.

Minęło kilka przykrych sekund, zanim Maren zareagowała. Wyjrzała tylko przez okno. Na dworze znów zaczął padać śnieg. Duże mokre płatki topniały, zanim dotarły do ziemi. W końcu lekko pokręciła głową i popatrzyła na Terjego.

– Nie, prawdę mówiąc, nie. Ale ja i tak to wiem. I wiem, że miała dowody. Nie tak trudno było je znaleźć, kiedy już się zaczęło starannie badać rachunki. Dokumenty leżały w szufladzie. Tej zamkniętej na klucz. A nie było ich tam, kiedy przyszła policja. Gdyby to policja je zabrała, już dawno by cię aresztowali. A przecież siedzisz tutaj. Nawet cię nie przesłuchali. – Ostatnie zdanie powiedziała pytającym tonem.

Terje pokręcił głową.

– Dlaczego ze mną nie rozmawiali? To jakaś forma terroru psychicznego?

Białe plamy zaczęły się zlewać z ognistą czerwienią. Teraz cały był różowy i mokry. Bokobrody zaczęły się kręcić od wilgoci, a przy prawym uchu pojawiły się trzy duże krople potu.

– Ale ja już prawie wszystko załatwiłem, Maren! Mówiłem ci przecież. Boże, tu wcale nie chodzi o wielkie sumy!

– Szczerze mówiąc, Terje, nie wydaje mi się, żeby policję obchodziła wysokość tej kwoty. – Z rezygnacją rozłożyła ręce i posłała mu pogardliwe spojrzenie.

– Prawie wszystko jest już załatwione! Jestem pewien, że Agnes o niczym nie

wiedziała. Nie miała najmniejszych podejrzeń. Ale wiedziała o czymś innym, Maren. Wiedziała o czymś innym, co...

Nie dokończył. Maren Kalsvik demonstracyjnie wyprostowała się w fotelu. Usłyszeli, że do pokoju dziennego ze śmiechem wpadają dzieci. Z piętra dochodziło lekkie dudnienie wieży stereo Raymonda. Za oknami śnieg padał coraz gęściej i wyglądało na to, że w każdej chwili może zacząć się utrzymywać. W ciągu ostatnich dwóch dni temperatura gwałtownie się zmieniała, podnosiła się i opadała. Terje jest jak dziecko przyłapane na gorącym uczynku, pomyślała Maren. Zapiera się w żywe oczy czegoś, co jest oczywiste. Pochwyciła jego spojrzenie i przytrzymała je na dłużej.

– Terje, ja wiem, że Agnes wiedziała. Ty też to wiesz. Wiem, że miała te dokumenty. I ty to wiesz. Do diabła, jestem twoją przyjaciółką! – Ostatnie słowo wymówiła z naciskiem, a podkreśliła je jeszcze uderzeniem w stół. – Te papiery były tam przed śmiercią Agnes. I zniknęły. Wobec tego istnieje tylko jedno rozwiązanie: byłeś tam i usunąłeś je wieczorem albo w nocy. Nie możesz się po prostu do tego przyznać?

Terje siedział nieruchomo jak sparaliżowany. Maren wstała i odwróciła się do niego tyłem, a potem nagle znów wykonała gwałtowny zwrot.

– Mogę ci pomóc, Terje! O Boże, przecież ja ci chcę pomóc! Nie chcę, żeby cię aresztowali za coś, czego nie zrobiłeś. Jesteśmy tu codziennie, razem jemy, rozmawiamy, prawie razem mieszkamy! Ale jeśli mam odpowiadać za... – Rozłożyła ręce, przewróciła oczami i mruknęła coś, czego Terje nie mógł usłyszeć. – Posłuchaj mnie! Ukrywam coś przed policją. Nie mogę wziąć tego na siebie, nie wiedząc, co się tak naprawdę stało, a co nie. Nie rozumiesz? Nie możesz dłużej kłamać! Nie możesz okłamywać mnie!

Terje jakby zebrał się w sobie. Trzy razy odetchnął głęboko i szybko.

– Byłem tu – szepnął. – Przyszedłem około dwunastej. Chciałem zabrać te papiery z szuflady, ale tylko po to, żeby się przekonać, co Agnes tak naprawdę wiedziała. Tylko po to, Maren! Kiedy ją zobaczyłem martwą na krześle, przeżyłem szok. – Oparł głowę na dłoniach i zaczął się kołysać. – Musisz mi uwierzyć, Maren!

– Ale ten szok nie był na tyle duży, żeby nie pozwolił ci otworzyć szuflady i zabrać tych dokumentów – zauważyła Maren spokojnie. Usiadła, prawą ręką bezustannie przeczesując grzywkę.

– A co miałem zrobić? Gdyby policja je znalazła, byłbym najbardziej oczywistym kandydatem na sprawcę!

Mocno szarpnięte podwójne drzwi otworzyły się i do środka wpadł Glenn. Terje drgnął tak mocno, że aż nogą uderzył o stół.

– Kur... czę! – rzucił przez zaciśnięte zęby i gwałtownym ruchem odwrócił się do chłopca, który domagał się pieniędzy na kino. – Ile razy ci mówiłem, że masz pukać, kiedy wchodzisz do jakiegoś pokoju? Ha? Ile razy ci to powtarzałem? – Z wściekłością złapał czternastolatka za rękę i uściśnął.

Glenn jęknął, próbując się wyrwać.

– Przestań! – poskarżył się. – Zwariowałeś czy co?

– Mam serdecznie dość tego twojego wpadania jak burza zawsze i wszędzie – syknął Terje i puścił chłopca, popchnąwszy go wcześniej na ścianę. – Masz się, do cholery, wziąć wreszcie w garść!

– Dziesięć koron z tygodniowej pensji – mruknął chłopiec, rozcierając lewe ramię. – Chciałem tylko pieniądze na kino.

Maren obserwowała zajście w osłupieniu. W końcu się opanowała. Poślawszy Terjemu karcące spojrzenie, zabrała Glenna z pokoju i wcisnęła mu do ręki pięćdziesiąt koron.

– On jest chory czy co?

– Kręgosłup go boli – wyjaśniła spokojnie. – Poza tym jest bardzo poruszony śmiercią Agnes. Tak jak my wszyscy. Na jaki film chcesz iść?

– Na *Klienta*.

– Dużo w nim przemocy?

– Nie. Raczej zwykły kryminał. Tak myślę.

– No to idź. Tylko wróć prosto do domu. Baw się dobrze.

Chłopiec, mamrocząc coś pod nosem, wyszedł na korytarz, nadal demonstracyjnie rozcierając lewą rękę. Maren wróciła do saloniku i znów starannie zamknęła drzwi. Po krótkiej chwili wahania sięgnęła po stary czarny klucz wiszący na gwoździu przy futrynie, wsunęła go do dziurki i przekręciła. Metal zazgrzytał o metal. Z pewnością nikt nie robił tego od wielu lat. Usiadła w fotelu. Chociaż wydarzenia ostatnich dni wyraźnie odbiły się na jej kondycji, coś jakby zapłonęło w jej zmęczonych oczach – błysk uporu, niemal zdecydowania. Terje bardziej się tego domyślił, niż to dostrzegł, ale i on poczuł pewną nadzieję.

– Nic nie powiesz policji?

Był taki żaloszny. Nie dość, że kłamał, twierdząc, że był w domu w krytycznym momencie i że Agnes nie wiedziała o jego machlojkach, to jeszcze nie przyznał się, że zabrał ważne dokumenty z jej szuflady. A teraz gotów był paść na kolana i zebrać o pomoc.

– Dlaczego skłamałeś, Terje? Nie ufałeś mi?

Oderwał oczy od jej twarzy, odruchowo chcąc spuścić wzrok. Uświadomił to sobie jednak i przeniósł spojrzenie na jakiś punkt dwadzieścia centymetrów nad jej głową. I tak już

siedział – z rękami na podłokietnikach i dłońmi mocno zaciśniętymi na ich końcówkach. Mniej więcej jak u dentysty. Nie odpowiedział.

– Muszę wiedzieć dokładnie, co się stało. To o malwersacjach Agnes chciała z tobą porozmawiać w ciągu dnia? Pokazała ci te papiery?

– Nie – odszepnął wreszcie. – Nie pokazywała mi ich. Powiedziała tylko, że zauważyła pewne nieprawidłowości i że jest bardzo rozczerowana. Machała jakimiś kartkami. Zrozumiałem, że dotyczą mnie. Poprosiła... – Podciągnął nogi na fotel i przycisnął oczy do kolan jak dziecko albo przerośnięty płód. Mówił niewyraźnie: – Agnes zażyczyła sobie pisemnego sprawozdania, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję. Miałem je oddać następnego dnia. To znaczy dzień po... po jej śmierci.

Nagle znów spuścił nogi na podłogę. Nie płakał, ale Maren nigdy wcześniej nie widziała u niego tych krótkotrwałych tików, które teraz zniekształcały mu usta. Oczy prawie zapadły się w twarzy. Przez moment naprawdę się wystraszyła.

– Terje! Terje, opanuj się!

Wstała z fotela i usiadła na rozdzielającym ich stole. Próbowwała wziąć go za rękę, ale nie chciał puścić podłokietnika. Położyła mu więc prawą dłoń na udzie. Było niezwykle gorące, ciepło wprost buchało przez nogawkę, a jej dłoń już po kilku sekundach zaczęła się lepić od wilgoci.

– Nic nikomu nie powiem. Ale muszę wiedzieć, co się wydarzyło. To chyba rozumiesz. Żebym nie popełniła błędu, rozmawiając z policją.

Oczy Terjego wróciły na swoje miejsce, oddech nieco się uspokoił, a knykcie się zaróżowiły.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, co odkryła. Bo mogła odkryć tylko ułamek. Przecież prawie wszystko zostało załatwione. Miałem... Mądrze z jej strony, że chciała najpierw poznać moją wersję.

– Jesteś pewien, że już nie żyła, kiedy tam wszedłeś?

– Pewien? – Znów patrzył Maren w oczy, teraz z niedowierzaniem. – Z pleców między łopatkami sterczał jej olbrzymi nóż i nie oddychała. Według mnie to oznacza, że nie żyła.

– Ale sprawdziłeś to? Zbadałeś puls? Pomyślałeś o reanimacji? Wiesz na przykład, czy była jeszcze ciepła?

– Nie dotykałem jej. Oczywiście, że jej nie dotykałem. Przecież byłem w szoku. Kiedy się jako tako pozbierałem, myślałem jedynie o zdobyciu tych papierów i wyjściu stamtąd jak najszybciej, do cholery!

– Szuflada była otwarta?

– Nie, zamknięta. Ale klucz leżał tam, gdzie zawsze. Pod doniczką.

– Ty też o nim wiedziałeś? – spytała Maren z lekkim zaskoczeniem.

– Tak. Odkryłem to już kilka lat temu. Kiedyś trochę zbyt nagle wkroczyłem do gabinetu. Idiotyczna kryjówka. Pierwsze miejsce, w jakim ktoś szukałby tego klucza. A ty wiedziałaś?

Nie odpowiedziała, tylko wstała i znów podeszła do okna. Mrok spowił ogród niczym lepka kołdra. Wilgotne białe płatki układające się w nieregularny wzór odcinały się na tle szarawej jeszcze czerni. Podciągnęła rękaw kaftana gestem świadczącym o tym, że niemal stał się jej drugą skórą, i stwierdziła, że pora na dobranockę.

– Policja by ci nie uwierzyła – powiedziała do odbicia Terjega w szybie. – Ja też mam z tym problem. Przecież tak długo kłamałeś.

– Rozumiem – stwierdził bezbarwnym głosem. – Nie mogę wymagać, żebyś mi wierzyła. Ale to prawda, Maren. Nie zabiłem jej.

Pozwoliła mu mieć ostatnie słowo, ale wychodząc, by dotrzymać Kennethowi i bliźniętom towarzystwa przed telewizorem, posłała mu spojrzenie, którego nie umiał odczytać.

– Policja w Oslo poszukuje dwunastoletniego Olava Håkonsena, który zniknął z domu we wtorek wieczorem. Chłopiec był najprawdopodobniej ubrany w dżinsy, granatową kurtkę i adidas.

– Ojej, myślałam, że wiadomości przestały już nadawać takie komunikaty! – zawołała Cecilie z kanapy, na której leżała, korzystając z piątkowego luzu.

Informacji towarzyszyło niewyraźne i ewidentnie bezwartościowe zdjęcie chłopca.

– Czasami robią wyjątki – mruknęła Hanne i uciszyła Cecilie gestem.

– Chłopiec ma około stu pięćdziesięciu ośmiu centymetrów wzrostu, jest mocnej budowy. Wszelkie informacje można zgłaszać policji w Oslo lub na najbliższym posterunku.

Elegancko ubrana kobieta o bladej, pociągłej i obojętnej twarzy, za to o zaskakująco przyjemnym głosie zmieniła temat i gładko przeszła do kota z dwiema głowami, który ponoć urodził się w Kalifornii.

– Mocnej budowy! – prychnęła Hanne. – Z tego, co zrozumiałam, chłopiec jest gruby jak beczka. – Przerzuciła na TV2, gdzie z kolei ciemnowłosa kobieta nie przestawała się

uśmiechać, mówiąc o niczym. Hanne wróciła więc na prognozę pogody na NRK. – Połaskocz mnie – poprosiła, kładąc nogi na kolanach Cecilie.

– Gdzie ten chłopiec mógł się podziać? – spytała przyjaciółka, w roztargnieniu przesuwając palce po stopach Hanne.

– Tego naprawdę nie wiemy. Sprawa zaczyna wyglądać paskudnie. Byliśmy przekonani, że w taki czy inny sposób przedostanie się do domu, do matki, ale to mu się nie udało. Albo nie miał możliwości. Zdejmij skarpetki!

Cecilie posłusznie ściągnęła jej grube, wydziergane na drutach skarpety bez wyrobionej pięty i kontynuowała ruchy ręki.

– Myślicie, że coś mu się stało?

– Czy się stało? Gdyby nie to, że sam uciekł i dlatego najprawdopodobniej usiłuje się ukrywać, trzęsilibyśmy portkami ze strachu, że to kolejne zaginięcie dziecka, takie jak sprawa Therese². Ale on się ukrywa. Ma dwanaście lat i przez jakiś czas może mu się to udawać. Zakładamy, że uciekł z własnej woli. Mało prawdopodobne, żeby padł ofiarą jakiegoś przestępstwa. Zakładamy też, że jego zaginięcie najprawdopodobniej nie ma nic wspólnego z zabójstwem kierowniczką. Od samego początku groził, że zwieje, jak tylko trafił do tego ośrodka. Ale to oczywiste, że się martwimy. Mógł coś zobaczyć albo usłyszeć. A to z kolei by nas bardzo interesowało. Choć... uciekający z domu dwunastolatek to nigdy nie jest przyjemna sprawa. Nie przestawaj!

Cecilie podjęła łaskotanie, wciąż tak samo bez zaangażowania.

– Jak właściwie jest w takim domu dziecka? Myślałam, że u nas, w Norwegii, już nie ma takich instytucji. I dlaczego w telewizji powiedzieli, że „zniknął z domu”?

– Pewnie nie chcieli za bardzo go piętnować. A dom dziecka wygląda prawie jak zwyczajny, tylko jest o wiele większy. Właściwie całkiem przyjemny. Wydaje się, że dzieciom jest tam dobrze. Ale chyba rzeczywiście nie ma już zbyt wielu takich miejsc. Większość dzieci trafia do rodzin zastępczych.

Cecilie zaczęła wkładać więcej serca w dotyk i delikatnie gładząc palcami łydkę Hanne, wsunęła dłoń pod nogawkę spodni. Dobiegający z telewizora utwór Griega przerobiony na prostą melodyjkę oznajmiał, że teraz kolej na program z regionów *Wokół Norwegii*. Hanne znów sięgnęła po pilota, tym razem żeby ściszyć dźwięk. Usiadła na kanapie i nachyliła się do swojej partnerki. Pocałowały się czule, długo, z rozbawieniem.

– Dlaczego my nie mamy dzieci? – szepnęła Cecilie w usta Hanne.

² Zaginięcie dziewięcioletniej Therese Johannessen w roku 1988 wstrząsnęło całą Norwegią. Sprawy nie udało się rozwiązać (przyp. tłum.).

– Możemy spróbować jakies zrobić. Teraz. Zaraz – uśmiechnęła się Hanne.

– Nie wygłupiaj się!

Cecilie się odsunęła i zrzuciła nogi Hanne na podłogę. Hanne nadeła policzki i z demonstracyjnym świstem wypuściła powietrze.

– Nie zaczynaj, Cecilie. Nie wracajmy teraz do tej dyskusji.

– A kiedy?

Popatrzyły na siebie. Stara, niemal zapomniana wojna odżyła z nową siłą. Szykowała się kolejna potyczka.

– Nigdy. Już ją skończyliśmy. Decyzja zapadła.

– Szczerze mówiąc, Hanne, od tamtej pory upłynęły już lata. Powiedziałam ci wtedy wyraźnie, że to decyzja tymczasowa. Niedługo będziemy miały trzydzieści sześć lat i mój zegar biologiczny tyka coraz głośniej.

– Zegar biologiczny? Twój? Ha!

Pogładziła twarz Cecilie, gładką i miękką. Jedyne wokół oczu dało się dostrzec siateczkę drobniotkich zmarszczek mimicznych. Cecilie była nie tylko piękna, ale też świetnie się trzymała. Ludzie, którzy nie znali ich od zawsze, byli przekonani, że Hanne jest znacznie starsza od swojej partnerki. A tak naprawdę była o szesnaście dni młodsza.

Jej dłoń zaczęła się przesuwać ku piersiom Cecilie.

– Nie rób tego. – Przyjaciółka zdecydowanie odsunęła nieproszoną rękę. – Powinniśmy o tym porozmawiać. Czy w ogóle chcemy mieć dziecko. Bo decyzji w tej sprawie nie można już odkładać. Dzisiejszy wieczór jest na to równie dobry jak każdy inny.

– Wyobraź sobie, że nie jest.

Hanne sięgnęła po stojącą między nimi butelkę z piwem i nalała sobie do szklanki. Zrobiła to ruchem tak gwałtownym, że napój mocno się spenił, ściekł na stół i groził, że zaraz spłynie na dywan. Hanne zaklęła i ze złością poszła po ścierkę. Zanim wróciła, na żółtym dywanie już rozpościerała się duża ciemna plama. Uporanie się z nią zajęło jej sporo czasu. Cecilie wyraźnie nie zamierzała jej w tym pomóc. Z przesadnym zainteresowaniem śledziła w telewizji historię człowieka, który w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat zrobił doktorat z łaciny, a poza tym zajmował się snycerką.

– Ten wieczór wcale nie jest równie dobry jak każdy inny – syknęła Hanne. – Mam za sobą długi, męczący tydzień, tęskniłam za tobą i cieszyłam się, że spędzę cudowny czas w domu. Że będę z tobą. Nie chce mi się kłócić, a poza tym już wiele lat temu postanowiłyśmy, że nie będziemy mieć dzieci. – Rzuciła mokrą ścierkę na stół.

– To ty postanowiłaś za nas – powiedziała Cecilie cicho.

Hanne zrozumiała, że bitwa jest przegrana. Musi przez to przejść. Tak jak regularnie, ale na szczęście coraz rzadziej musiały weryfikować zasadnicze założenia tego trudnego związku, na jaki się zdecydowały pewnej wiosny przed wiekami, kiedy obie były maturzystkami i na poważnie zaczęły odkrywać życie. Ale Hanne nienawidziła tych dyskusji.

– Ty nienawidzisz rozmów o wszystkim, co trudne – oświadczyła Cecilie, czytając jej w myślach. – Nie masz pojęcia, jak ja się przez to czuję. Muszę całymi tygodniami przygotowywać się do poruszenia tematu, który nie oznacza wyłącznie radości.

– Dobrze. No to mów. To wszystko moja wina. Zniszczyłam ci życie. Wystarczy? – Hanne rozłożyła ręce i zaraz je skrzyżowała. Zapatrzyła się w telewizor, w którym jasnowłosa kobieta w ludowym swetrze stała na szczycie skoczni Holmenkollen i opowiadała o jedenastoletniej dziewczynce skaczącej na nartach.

– Hanne – zaczęła Cecilie. – Jasne, że nie będziemy mieć dziecka, jeżeli nie chcesz. Tylko musimy to ustalić. Na sto procent. Ja się ugnę, jeśli odmówisz. Ale czy to naprawdę dziwne, że chcę o tym rozmawiać?

W jej głosie nie było już złości ani odrzucenia, ale to nie wystarczyło. Hanne wciąż siedziała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w malutką zawodniczkę, która przez sześćdziesiąt metrów szybowwała w powietrzu nad zeskokiem. Teraz to Cecilie złapała pilota. Zrobiło się cicho, obraz zamigotał i zmienił się w zanikający biały punkcik na środku ekranu. W końcu pochłonęła go czerń.

– Oglądałam ten program – oświadczyła Hanne, nie odrywając oczu od telewizora. – Potrafię się skupić na dwóch rzeczach naraz.

Nagle drgnęła. Cecilie płakała, choć to jej się prawie nigdy nie zdarzało. To raczej Hanne stale łały się łzy z oczu. Cecilie była ostoją. Spokojna i logiczna, posiadała wiedzę i odwagę, by niezawodnie stawiać czoło światu. Hanne uklękła przed nią i próbowała odsunąć jej dłoń od twarzy. Nie dało się.

– Cecilie, kotku, tak mi przykro. Nie chciałam powiedzieć nic złego. Oczywiście, że możemy o tym rozmawiać.

Drobna kobieta w odpowiedzi jeszcze bardziej się skuliła, a kiedy Hanne próbowała pogłaskać ją po plecach, zadrzała niemal z obrzydzeniem. Hanne zapatrzyła się w swoją dłoń, jakby chciała sprawdzić, co straszego się w niej ukrywa.

– Cecilie – szepnęła przerażona. – Co się z tobą dzieje?

Cecilie dalej płakała, ale teraz przynajmniej próbowała coś powiedzieć. W końcu odsunęła ręce od twarzy i spojrzała na Hanne.

– Jestem tym już taka zmęczona, Hanne. Tak mam tego dość... Tyle myślałam... o

Nowym Testamencie. O Piotrze, który zapał się Jezusa. Wiesz, dlaczego tyle się o tym mówi w Wielkanoc? Dlatego że... – Gwałtowny szloch był niemal jak atak choroby. Cecilie z trudem łapała oddech i lekko posiniała na twarzy, aż Hanne bała się poruszyć. – Dlatego... – ciągnęła – dlatego że to najstraszniejsze, co można komuś zrobić. Zaprzec się kogoś. A ty się mnie zapierasz prawie od siedemnastu lat. Masz tego świadomość?

Hanne zapamiętała powstrzymywała wszystkie metody obrony, które po kolei uruchamiały się w jej głowie. Zacisnęła zęby i potarła twarz.

– Przecież nie o tym miałyśmy teraz rozmawiać – powiedziała niepewnie, bojąc się, że znów wywoła u Cecilie konwulsyjny płacz.

– W pewnym sensie właśnie tak – odparła z uporem przyjaciółka. – To się wszystko ze sobą wiąże. Otoczyłaś się murem ze wszystkich stron i te twoje okropne stałe odpowiedzi pojawiają się jak amen w pacierzu za każdym razem, kiedy poruszę jakiś zasadniczy problem. Szast-prast i już się zmieniasz w niezdobytą twierdzę. Nie rozumiesz, jakie to groźne?

Hanne poczuła lęk, który wbijał jej szpony w kręgosłup zawsze, gdy Cecilie na poważnie zaczynała wątpić w ich związek. Zacisnęła zęby, walcząc z własnymi reakcjami.

– Jeśli dalej mamy żyć razem, to musisz wziąć się w garść, Hanne.

To nie była nawet groźba, to była prawda. Obie o tym wiedziały, a Hanne właściwie wiedziała lepiej.

– Wezmę się w garść, Cecilie – obiecała natychmiast prawie zdyszana. – Wezmę się w garść, naprawdę! Przysięgam! Nie od jutra czy od przyszłego tygodnia. Od teraz. Możemy mieć całe mnóstwo dzieci. Możemy tu zaprosić całą komendę. Zamieszczę ogłoszenie w... Zawrzemy związek partnerski! – Poderwała się zachwycona. – Weźmiemy ślub! Zaproszę całą swoją rodzinę, wszystkich z pracy i...

Cecilie patrzyła na nią wielkimi oczami, a w końcu wybuchnęła śmiechem. Była to dziwna mieszanka śmiechu i łez, której towarzyszyło zrezygnowane kręcenie głową.

– Przecież ja wcale o to nie proszę. To jakieś wygłupy, Hanne. Niepotrzebne mi wszystko naraz. Muszę tylko czuć, że posuwamy się naprzód. Wspaniale, że pozwoliłaś w końcu Billy’emu T. wejść w nasze życie. Czy to naprawdę było takie straszne? – Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po poduszkę z kanapy, przycisnęła ją do siebie i mówiła dalej: – Billy T. na jakiś czas wystarczy. Ale tylko na jakiś czas. Muszę poznać twoją rodzinę, przynajmniej rodzeństwo. A jeśli chodzi o dziecko... Usiądź, bardzo cię proszę. – Odłożyła poduszkę i lekko poklepała kanapę obok siebie.

Hanne stała niczym posąg, skamieniała z przerażenia. Wreszcie przewyciężyła paraliż i przysiadła na samym brzeжку sofy. Uda nerwowo jej drżały, a dłonie zacisnęła tak mocno,

że paznokcie wbiły się w ciało.

– Spokojnie, kochana.

Cecilie prawie odzyskała kontrolę nad sobą. Przyciągnęła partnerkę i poczuła, jak Hanne drży. Długo siedziały w milczeniu, nim w końcu obie zaczęły w miarę spokojnie oddychać.

– Dziwi cię, że pytam, dlaczego nie chcesz mieć dziecka? – szepnęła w końcu Cecilie do ucha Hanne.

– Nie. Ale tak trudno o tym rozmawiać. Wiem, że ty chcesz mieć dzieci. I kiedy ci tego odmawiam, czuję się tak, jakbym ci coś kradła. Jakbym przez cały czas coś ci zabierała tylko dlatego, że jestem z tobą. Czuję się taka mała, taka... zła.

Cecilie się uśmiechnęła.

– Tylko że ja... – ciągnęła Hanne, prostując się – mam wrażenie, że to by było złe wobec dziecka.

– Złe wobec dziecka? – zaprotestowała Cecilie. – Spójrz tylko, co możemy mu zaofiarować. Na pewno więcej niż większość norweskich rodzin. Rozsądnych rodziców, uporządkowaną sytuację finansową, przynajmniej jeden zestaw dziadków...

Obie się uśmiechnęły, ale tylko przelotnie.

– Wiem – powiedziała Hanne. – Mamy mnóstwo do ofiarowania. Ale myślę też, że skoro sama nie całkiem potrafisz zaakceptować siebie, to byłoby cholernie niesprawiedliwe fundować takie życie dziecku. Pomyśl o całym tym złu, jakie mogłoby je spotkać. W szkole, na ulicy... O tych wszystkich pytaniach. Poza tym naprawdę uważam, że dziecko powinno mieć ojca.

– Ale przecież by go miało! Claus już od tylu lat jest chętny.

– Przestań, Cecilie! Dzieciak miałby mieć dwie mamy tutaj i dwóch tatusiów u Clausa i Pettera? Fajnie by się czuł na imprezach gwiazdkowych.

Cecilie więcej nie protestowała. Nie dlatego że się zgadzała z Hanne. Bo nie zgadzała się z nią ani trochę. Claus i Petter byli cudowni, wykształceni, dobrzy i mądrzy. A one kochały się już prawie od siedemnastu lat i choć czasami się kłóciły, najprawdopodobniej zostaną razem aż do śmierci. W ich życiu było mnóstwo miejsca dla dziecka. Cecilie miała więc dużo do powiedzenia. Nie mogła pojąć, dlaczego się nie odezwała.

– Ja naprawdę uważam, że dziecko powinno się zrodzić z miłości obojga rodziców – powiedziała Hanne cicho i przysunęła się do Cecilie. – Wiem, że nie zawsze tak jest, że mnóstwo dzieci rodzi się bez miłości, na skutek przypadku, niedbalstwa czy zdrady, ale wszystkie są równie cenne. Życie na ogół jakoś im się układa. – Westchnęła ciężko, uniosła

się i sięgnęła po piwo. Wypiła łyk i zaczęła obracać szklankę wokół własnej osi, kręcąc przy tym głową. – Ja to wszystko wiem, ale uważam, że nie powinno tak być, jeśli mogę o tym decydować. Dla mojego dziecka chciałabym wszystkiego, co najlepsze, a właśnie tego nie mogę mu dać. Rozumiesz to, kochanie?

Cecilie tego nie rozumiała. Rozumiała jednak, że Hanne w końcu pozwoliła jej zajrzeć w najgłębsze zakamarki siebie, a przynajmniej uchyliła do nich drzwi. Już to było tak wielkim wydarzeniem, że chwilowo nie potrzebowała nic więcej. Z uśmiechem pogładziła ukochaną po plecach.

– Nie, nie rozumiem. Ale dobrze, że mi o tym mówisz.

Ciszę maćił tylko odgłos obracanej szklanki.

– Czym innym byłaby adopcja – oświadczyła nagle Hanne i gwałtownie wstała. – Tyle dzieci czeka w kolejce po rodziców. W takiej sytuacji para dobrze sytuowanych lesbijek z Oslo byłaby tysiąc razy lepszym wyjściem niż na przykład ulica w Brazylii.

– Adopcja – mruknęła Cecilie. – Przecież wiesz, że to niedozwolone.

Popatrzyły sobie w oczy.

– Wiem – powiedziała Hanne. – Niedozwolone. A powinno być dozwolone. I kiedyś będzie.

– Wtedy będziemy już za stare.

Żadna nie odwróciła wzroku.

– Nie chcę, żeby któraś z nas urodziła dziecko, Cecilie. I nigdy nie będę tego chciała. Nigdy.

Nie było już o czym mówić.

Hanne czuła się jak pobita. Ból głowy rozsadał jej czaszkę. Jednocześnie ogarnęła ją ulga, chociaż i ona nie zagłuszyła ostatecznie kryjącego się gdzieś w zakamarkach poczucia winy, które ani na chwilę nie dawało jej spokoju. Czasami krzyczało, kiedy indziej tylko mrucało.

Cecilie przez kilka sekund stała naprzeciwko Hanne, po czym lekko pogładziła ją po twarzy.

– Zjemy kolację?

Hanne włączyła telewizor, żeby piątkowy wieczór mógł powrócić. Na kanale NRK Petter Nome perorował dalej, jakby nic się nie zdarzyło.

Z jednej ściany tapeta już całkiem zniknęła, oprócz kilku przypominających Alpy skrawków, których nie zdołał oderwać. Mniejsze i większe strzępy leżały na podłodze prawie jak na robotach ręcznych. Musiał się uporać z tą ścianą, zanim przejdzie do drugiej. Zajęcie było całkiem zabawne. Dwa razy udało mu się oderwać płachty wielkości prawie metra kwadratowego.

Wprawdzie zostało jeszcze trochę konserw, ale zaczął myśleć z przygnębieniem o konieczności zmiany miejsca. Nie bardzo sobie przypominał, jaki właściwie jest dzień, był jednak pewien, że ci, którzy tu mieszkają, nie zniknęli na zawsze. Powinien coś wymyślić. Poza tym cuchnął. Usunął z języka jeden szew, ale krwawił tak mocno, że resztę zostawił.

Kusił go telefon. Gdzieś w brzuchu czuł twardą grudę tęsknoty za domem. Może policja się poddała? Szybko odrzucił tę myśl. Nie pozwoliła się jednak przepędzić tak łatwo. W domu miał łóżko. Ładne niebieskie wysokie łóżko, na które trzeba się było wspiąć po drabince. I mógł dostać coś porządnego do jedzenia. Na przykład kotlet schabowy. Chciał do mamy. Naprawdę chciał do domu.

Ostrożnie podniósł słuchawkę, ale wypuścił ją z ręki, gdy tylko usłyszał sygnał. Zabrał się do drugiej ściany. Ta była trudniejsza, bo ktoś pomalował tapetę i mocniej się trzymała. Zrywał więc mniejsze strzępki, niektóre takie cieniutkie jak kosmyki włosów. W połowie się poddał. Znów poczłapał na korytarz. Na zewnątrz było ciemno. W środku mrok rozjaśniało jedynie światło z malutkiej toalety bez okien. Nie gasił go przez cały czas.

Teraz się nie wahał. Wybrał znajome cyfry i czekał na połączenie. Długo to trwało. Zastanawiał się, gdzie mama mogła się podziać. Przecież już wieczór, a ona zawsze była w domu. Już miał zrezygnować, gdy w końcu odebrała:

– Halo?

Nie odezwał się.

– Halo?

– Mamo.

– Olav!

– Mamo.

– Gdzie... gdzie ty jesteś?

– Nie wiem. Chcę do domu.

Rozplakał się, co zaskoczyło bardziej jego niż matkę. Chwilę poszlochał, smakując własne łzy. Powróciło słabe wspomnienie z wczesnego dzieciństwa. Tęsknota powaliła go na podłogę.

– Chcę do domu, mamo – powtórzył.

– Posłuchaj mnie, Olav. Musisz się dowiedzieć, gdzie jesteś.
– Jest u ciebie policja?
– Nie. Jesteś w Oslo?
– Odeślą mnie do tego cholernego domu dziecka. Albo wsadzą do więzienia.
– Dzieci nie wsadzają do więzienia, Olav. Musisz mi powiedzieć, jak wygląda okolica, w której jesteś.

Próbował opowiadać, jak wygląda kuchnia, jak wygląda dom. Opisał tysiące światełek za ciemną szybą w salonie i jasnorożową poświatę wiszącą nad miastem w dole niczym ciężka chmura. Jest w Oslo, pomyślała. Dzięki Bogu, jest w Oslo.

– Musisz się wymknąć i poszukać drogowskazu na skrzyżowaniu, Olav. Chcę dokładnie wiedzieć, gdzie jesteś. – Usłyszawszy trzaski w telefonie, czym prędzej go ostrzegła: – Tylko nie odkładaj słuchawki! Niech leży obok aparatu, dopóki nie wrócisz. Teraz wyjdź. Na skrzyżowaniu na ogół są tabliczki z nazwą ulicy. Poszukaj skrzyżowania. Najbliższego.

Usłuchał. Wrócił już po sześciu czy siedmiu minutach i podał dwie nazwy ulic.

– Zostań w tym domu jeszcze przez jakiś czas. Pół godziny. Masz zegarek?

– Tak.

– Wobec tego kiedy minie dokładnie pół godziny, pójdziesz na to skrzyżowanie i tam będziesz na mnie czekał. Tylko pamiętaj, musisz być cierpliwy. Przyjadę. Ale możliwe, że znalezienie tego miejsca zajmie mi trochę czasu.

– Chcę do domu, mamó! – Znow płakał.

– Przyjadę po ciebie, Olav. Już po ciebie jadę.

Usłyszała trzask odkładanej słuchawki.

Musiała zdobyć samochód. Jediną możliwością była matka. Ale na myśl o niej serce zamarło jej w piersi i przez chwilę się zastanawiała, czy nie wziąć taksówki. Było to jednak zbyt ryzykowne. Teraz, gdy Olava poszukiwano w telewizji, angażowanie innych osób wiązało się z dużym zagrożeniem. Musi pożyczyć samochód od matki.

Okazało się to łatwiejsze, niż sądziła. Wytłumaczyła się koniecznością wizyty na policji, a matka była zbyt pijana, by uznać za mało prawdopodobne to, że córka ma wyznaczoną rozmowę na późny piątkowy wieczór. Trzy kwadransy po telefonie syna znalazła się na właściwym skrzyżowaniu na Grefsen. Przeważały tu jednorodzinne domy postawione tuż po wojnie. Tu i ówdzie widać było wille z lat siedemdziesiątych wzniesione w ogródkach rodziców. Wszystkie budynki otaczały niewysokie płotki. Skrzyżowanie było oświetlone, ale chłopiec miał dość rozumu, żeby się schować pod czarnymi gałęziami bzu zwieszającymi się

przez płot. Przycisnął się do ogrodzenia, starając się wyglądać na mniejszego. Mimo to dostrzegła go od razu. Ale przecież go wypatrywała.

Rozpoznał samochód babci natychmiast, bo wypadł z krzaków, nim zdążyła się zatrzymać. Truchtał ciężko i niezgrabnie. Obiegł przód i otworzył drzwiczki od strony pasażera. Ciężko sapiąc, opadł na siedzenie. Nie zdjął nawet tornistra, tylko wciągnął nogi do środka i za mocno trzasnął drzwiami.

Nic do siebie nie powiedzieli. Olav już nie płakał. Godzinę później stał pod prysznicem, potem się najadł, a w końcu Zasnął jak kamień. Nie zamienili prawie słowa.

Boże! Co mam robić? Na szczęście udało mi się niepostrzeżenie wprowadzić go do mieszkania, bo na wszelki wypadek przeszliśmy przez piwnicę od tyłu. Nikogo też nie spotkaliśmy na klatce. Tylko co dalej?

Policja dzwoni codziennie. To żaden problem. Podobno chcą mnie tylko jeszcze raz przesłuchać. Być może w przyszłym tygodniu. Tutaj nie przyjdą. Ale tak czy siak nie mogę go przecież ukrywać przez cały czas.

On się teraz boi. Nienawidzi tego domu dziecka. Dzięki temu mam nad nim władzę. Przynajmniej na razie.

Tak samo jak wtedy, kiedy zniszczył chatkę na placu zabaw. Mieszkaliśmy wówczas na Skedsmokorset, a może na Skårer? Nie, to musiało być na Skedsmo, bo miał zaledwie sześć lat. Robotnicy na moment zostawili bez dozoru włączony walec parowy. Olav w jakiś sposób zdołał wejść do tego potwora, który ruszył. Widziałam to na własne oczy przez okno. Właśnie wrócił do domu z przedszkola i chciał jeszcze trochę zostać na dworze. Stałam jak sparaliżowana i patrzyłam na walec znajdujący się w odległości zaledwie dziesięciu czy dwunastu metrów od tego pomalowanego na niebiesko domku. Nie miał szans, żeby go ominąć. Tak mi później powiedzieli. Kierownica za ciężko chodziła dla tak małego dziecka. A mnie się wydaje, że on to zrobił specjalnie. Walec miał lekko z góry i nabrał niezłego rozpędu, zanim uderzył w ścianę. Słyszałam odgłos tej potężnej maszyny, która przez kilka sekund szturchała domek, aż ten się poddał. Robotnicy zorientowali się, co się dzieje, i przybiegli. Ale nie zdołali nic zrobić. Domek zawałił się z hukiem. Dzięki Bogu, że stało się to akurat wtedy, kiedy plac zabaw był pusty. Gdyby w środku były dzieci, nie wiadomo, jak by się to skończyło.

Robotnicy byli mili. Uważali, że to oni zawinili. Nie powinni zostawiać maszyny tak, by mogło wsiąść do niej dziecko. Ale wszyscy na ulicy wiedzieli, że to jego wina. Znow musieliśmy się przeprowadzić.

Z jakiegoś powodu jednak to przeżycie go wystraszyło. Przez wiele dni był tak posłuszny, że niemal mnie przerażał. Teraz może być podobnie, bo chyba strasznie się boi.

Ale co mam zrobić, kiedy przestanie się bać?

6.

Na dworze była śnieżycą i dziesięć stopni mrozu. Wewnątrz – zaganiany poniedziałkowy ranek, a Billy T. na próżno usiłował znaleźć znośną pozycję na niewygodnym krześle w pokoju Hanne Wilhelmsen. Do pomocy mieli jeszcze tylko dwójkę posterunkowych, Erika Henriksena i Tone-Marit Steen. Reszta wydziału z całych sił starała się rozwiązać podsycaną przez media sprawę podwójnego zabójstwa w najlepszej dzielnicy.

– W każdym razie tanio wykręcamy się od prasy – stwierdził Billy T. – Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Na biurku pani komisarz leżał raport z miejsca zdarzenia. Jeden dzień przed terminem, bo od zabójstwa minęło ich zaledwie sześć. Nie powiedział im jednak nic, czego by wcześniej nie wiedzieli. Decydujące znaczenie mógł mieć raport z przeprowadzonych badań technicznych, ale tego oficjalnie mogli się spodziewać nie wcześniej niż za cztery miesiące. W najlepszym razie.

– Sporo za to wyciągnąłem od techników. – Billy T. ziewnął. – Mamy wyłącznie zidentyfikowane odciski palców – na futrynach, w gabinecie kierowniczkii, na drzwiach. Wszystkie w naturalnych miejscach. Te przekłete ćwiczenia przeciwpożarowe sporo popsują. Ślady stóp są marne, ale dalej je sprawdzają, porównując z butami, które miały na sobie dzieci i pracownicy. Prawdopodobnie jednak tam też nie znajdziemy nic wartościowego. A jeśli chodzi o włókna, włosy i podobne rzeczy, to na razie nie mamy nad czym pracować. Technicy załamują ręce.

– A zwłoki? – spytała Hanne, próbując udawać zainteresowaną.

– Sekcja wykazała, że nóż trafił idealnie. Wszedł między żebrami. Zdaje się, że między drugim i trzecim. – Zaszleściły notatki. – Albo zabójca miał szczęście, albo też doskonale znał anatomię. Nóż przebił aortę, wbił się w lewy przedsionek serca i zatrzymał w lewej komorze. Musiano użyć znacznej siły. Poza tym Agnes Vestavik miała lekką nadwagę, trochę piasku w nerkach i małą niegroźną cystę na jajniku. Plus przebite płuco po stronie serca. I jeszcze nieduże zadrapanie na prawym palcu wskazującym zaklejone plastrem. Innymi słowy, umarła od tego ciosu nożem.

– Kogo przesłuchano do tej pory?

Pytanie było skierowane do Erika Henriksena, barczystego, rudowłosego, o chłopięcej twarzy, a poza tym zdolnego posterunkowego, cierpiącego z powodu głębokiego, lecz beznadziejnego uczucia do Hanne Wilhelmsen. Pracowali razem od dwóch lat i Erik był

szczęśliwy, że została jego przełożoną.

– Trzyście osób – odparł, kładąc przed szefową protokoły przesłuchań. – Jedenastu pracowników, męża i najstarszego syna.

– Dlaczego nie przesłuchaliście wszystkich pracowników? Kogo brakuje?

– Nie zdążyliśmy przesłuchać Terjega Welby. A poza tym Eirika Vassbunna, nocnego dyżurnego, który znalazł zwłoki. Chociaż właściwie z nim rozmawiałem, ale tylko tak ogólnie. Cały czas jest w szoku. Nie widzę sensu, by stresować go jeszcze bardziej.

Hanne Wilhelmsen nie skwitowała dosadnie tego stwierdzenia, tylko dalej się zastanawiała. Złożyła dłonie i podniosła je na wysokość twarzy, jakby się w duchu modliła. Przez dwadzieścia sekund nikt się nie odezwał. W końcu Billy T. przeciągle ziewnął.

– A mamy kogoś z motywem, chłopcy i dziewczęta? – spytała pani komisarz, przerywając medytację.

– Mąż ma coś w rodzaju motywu – odparł Billy T. – Ale nie wierzę, że to on zrobił. Jeśli chodzi o pozostałych, to raczej nic nie widzę. Nikt nie zyskuje na nagłej śmierci tej kobiety. A przynajmniej nikogo takiego na razie nie znamy. Była dość lubiana przez współpracowników i bardzo lubiana przez dzieci.

– Z wyjątkiem Olava, jeśli dobrze zrozumiałam – szepnęła Tone-Marit zawstydzona, że musi zabrać głos.

– Owszem, ale on, zdaje się, nienawidził wszystkich. Oprócz Maren Kalsvik. Jej jednej słuchał.

Hanne Wilhelmsen zapaliła papierosa, nie zważając na dyskretne pokasywanie i wyraźną dezaprobatę Tone-Marit.

– No to zacznijmy od drugiego końca – zaproponowała, odchylając głowę i wypuszczając pod sufit idealne kółko z dymu. – Jaki w ogóle możemy sobie wyobrazić motyw zabójstwa sympatycznej kobiety, która jest właścicielką niewielkiego sklepu, prowadzi nieduży dom dziecka i została zatrudniona przez Armię Zbawienia?

Billy T. zachichotał.

– Gdybym dostał takie pytanie na egzaminie, tobym oblał. Zwykle przecież chodzi o seks, pieniądze albo całkiem po prostu o czystą nienawiść. Seks możemy odłożyć na bok...

– Masz cholerne uprzedzenia, Billy T.! – zaprotestowała Hanne. – Nic w tej sprawie nie wiemy, a może istnieje gdzieś jakiś odrzucony kochanek.

– Albo kochanka – śmiał się dalej Billy T., nie zważając na mordercze spojrzenie Hanne. – No dobrze. Wobec tego poszukajmy namiętnego i żadnego krwi kochanka czterdziestopięcioletniej kierowniczką z nadwagą. Albo skoncentrujmy się na pieniądzach.

– Kto w takim zakładzie odpowiada za budżet? – spytała nagle Hanne.

– Agnes. Ale ten Terje Welby też mógł zarządzać wszystkimi kontami. Formalnie bowiem jest zastępcą kierownika. A Maren Kalsvik, która w zasadzie pełniła jego funkcję, nie ma żadnego dostępu do pieniędzy.

– Czy w grę wchodzi duże kwoty?

Zainteresowanie sprawą wyraźnie rosło.

– O rany, muszą być duże. Pomyślcie tylko, ile kosztuje samo utrzymanie takiego budynku! Z taką gromadą pracowników. I jeszcze ośmioro dzieci. Moja czwórka obdziera mnie ze skóry... – Billy T. przypomniał sobie o własnych zobowiązaniach alimentacyjnych i zaraz spochmurniał.

– Zbadaj to dokładniej, Tone-Marit. Przyjrzyj się ich rachunkom. Sprawdź, czy czegoś w nich nie ma. – Hanne położyła nogi na stole i wciągnęła dym głęboko w płuca. – Przecież zabójstwo w celu ukrycia innego przestępstwa to dobrze znany motyw.

– Ale wtedy też chodzi o seks albo o pieniądze – zauważył Billy T., odrywając się od własnych finansowych trosk.

– I tak to sprawdźcie. I jeszcze jedno. Co z rodzicami tych dzieci? Czy u nich nie da się czegoś znaleźć?

– Większość nie wchodzi w grę, ale oczywiście to sprawdzamy. Najbardziej interesująca wydaje się matka tego zaginionego chłopca.

Tone-Marit przerzucała kartki w starannie prowadzonym segregatorze, który trzymała na kolanach.

– Birgitte Håkonsen – przeczytała. – Chłopiec mieszkał w domu dziecka zaledwie trzy tygodnie, a ona już zdążyła zrazić do siebie większość pracowników. Prawie nic nie mówiła, po prostu tam była. Wielka niema postać o dziwnym spojrzeniu.

– Buka – mruknęła Hanne Wilhelmsen.

– Słucham?

– Zapomnij. Czy chłopiec został tam umieszczony dobrowolnie?

– Ależ skąd. Matka zębami i pazurami walczyła z Urzędem Ochrony Praw Dziecka. To zresztą jest dość interesujące, bo wszystkich innych wychowanków rodzice oddali tam z własnej woli. Jedynie Olava zabrano z domu pod przymusem.

– Przesłuchaliśmy ją?

– Przestań, Hanne! – zaprotestował Billy T. – Myślisz, że matka tego chłopca po trzech tygodniach pobytu dzieciaka w zakładzie zakradła się tam, żeby kogoś zabić?

– Na pewno nie. Ale musimy z nią porozmawiać.

– No i porozmawialiśmy – odezwał się Erik Henriksen. – To znaczy rozmawiali chłopcy, którzy zajmują się tym zaginięciem. I to nie raz. Kilka razy. Oprócz tego kontaktują się z nią codziennie, żeby się dowiedzieć, czy nie miała od syna jakichś wiadomości.

– Aha. Zdobądź dla mnie kopię przesłuchania. A chłopca ciągle nie ma?

– Nie ma. Zaczynają już wierzyć, że coś się stało. No bo jak długo może się ukrywać dwunastolatek?

– Hanne, czy naprawdę mamy tracić czas na tę kobietę? – zirytował się Billy T.

– Jedno jest pewne – oznajmiła Hanne. – Jeśli chodzi o dzieci, to w grę wchodzi bardzo gwałtowne uczucia.

Billy T. wzruszył ramionami. Pozostałych dwoje starało się na nich nie patrzeć. Jasne było, że zebranie dobiegło końca. Przed wyjściem Billy T. rzucił jeszcze, że może znajdzie się coś interesującego w notatniku z telefonami, który leżał przy aparacie na biurku kierowniczkii. Najbardziej rzucały się w oczy dwie żółte karteczki przyklejone stosunkowo niedawno do okładki. Na jednej był numer do Diakonackiej wyższej Szkoły Pracy Socjalnej, a drugiego całkiem po prostu nie zdążył jeszcze sprawdzić.

– Nie sądzę, by coś mogło się za tym kryć – stwierdziła Hanne obojętnie.

Kiedy za jej rozzłoszczonym podwładnym zamknęły się drzwi, dalej siedziała pograżona we własnych myślach. A były to bardzo chaotyczne myśli.

Zaledwie dwie godziny później Billy T. zjawił się znów, pogodny i uśmiechnięty. Jak zwykle wparował do jej pokoju bez pukania, a ona jak zwykle aż podskoczyła, wystraszona. Nie było jednak sensu tego komentować.

Billy T. oparł wyprostowane ręce o biurko i nachylił się nad Hanne, podsuwając jej swoją głowę. Czaszkę miał tak gładziutką, że można się było w niej przegłądać.

– Stara dobra fryzura – oświadczył z zadowoleniem. – Dotknij!

Pogładziła go po głowie. Okazała się ciepła, gładka i przyjemna w dotyku.

– Jak jedwab, co? – Wyprostował się zadowolony i sam upewnił się, że skóra wciąż jest miękka jak pupa niemowlęcia. – Najwspanialsza głowa w komendzie. W całym Oslo. Ale muszę ją golić dwa razy dziennie. Pomyśl tylko, dwa razy dziennie!

– Czasami twoje ego przerasta cię o głowę – stwierdziła Hanne z uśmiechem. – Poza tym lubiłam, jak miałeś trochę włosów. Nie byłeś wtedy taki macho.

Patrzył na nią z triumfalnym błyskiem w oczach, jakby ten komentarz był komplementem. Hanne pomyślała, że nigdy go nie zrozumie. Ogromna postura przyjaciela zarazem przerażała ją i pociągała, choć idealne proporcje ujmowały mu nieco grozy. Gdyby zdjąć całą tę biżuterię – odwrócony krzyż w uchu, solidny złoty łańcuch i szeroką, nabijaną ćwiekami bransoletę na lewym nadgarstku – można by go ubrać w mundur SS, tworząc idealne wcielenie propagandowej maszyny Goebbelsa z końca lat trzydziestych. Prosty, zgrabny nos, wąskie, lecz zmysłowe usta, jasna cera, intensywnie niebieskie oczy – wszystko to doskonale pasowało do wynaturzonego hitlerowskiego wyobrażenia idealnego Aryjczyka. Billy T. był dobrym człowiekiem. Ale przede wszystkim niewiarygodnie lojalnym. Poza tym obdarzonym instynktem policyjnym chyba nawet silniejszym od tego, jaki przypisywano Hanne.

– Przeszedłeś się tylko pochwalić czy masz mi do powiedzenia coś istotnego?

– Istotnego – oświadczył głośno. – To chyba istotne, jak człowiek wygląda.

– Nie pomyślałabym tak, patrząc na ciebie – stwierdziła i zakreśliła młynka dłońmi na znak, że Billy T. ma wreszcie przejść do sedna.

– Ten chłopiec spędził chyba kilka dni na Grefsen – powiedział w końcu, przysiadając na brzegu biurka. – Olav, ten chłopiec, który uciekł.

– Co? Znaleźli go?

– Nie, ale pewna rodzina, która wybrała się na ferie do Austrii, zastała po powrocie niespodziankę. Można to podsumować tak: ktoś tam był i jadł ich owsiankę. Zniknęła połowa zapasów konserw, zużyto cały papier toaletowy i zerwano tapetę z półtorej ściany. Poza tym dom jest nietknięty.

Hanne zgasiła papierosa z taką siłą, że o mało nie wyróciła popielniczki.

– Grefsen? To chyba ponad dziesięć kilometrów od domu dziecka?

– Piętnaście, a dokładniej mówiąc: szesnaście. Nieźle się musiał namaszerować na tych swoich grubych nogach. Chyba, że wbrew temu, co mówią, miał jakieś pieniądze. Myślę jednak, że gdyby jechał taksówką, kierowca po takim nagłośnieniu sprawy na pewno by się z nami skontaktował. Najgorsze, że jeśli wybierał się do domu, szedł w złym kierunku.

Hanne poczuła leciutki zapach wody po goleniu. Czyżby Billy T. polewał sobie nią głowę?

– No i tyle – zakończył przyjaciel, wstając. – W każdym razie chłopak rozpoczął nowy etap. Matka twierdzi, że nie miała od niego żadnych wiadomości. Ale wydaje się dość oczywiste, że to właśnie on tam był. Sprawdźmy jeszcze odciski palców. Możemy bez trudu wyodrębnić jego ślady w domu dziecka, więc szczęście nam dopisało.

Wyprostował się i płaskimi dłońmi dotknął sufitu. Kiedy je opuścił, Hanne zobaczyła na szarobiałej farbie dwa ich wyraźne odciski.

Po wyjściu Billy'ego T. dalej się w nie wpatrywała z zadowoleniem, którego w żaden sposób nie umiała wytłumaczyć.

Terje Welby się poccił. W niewielkim dwupokojowym mieszkaniu było duszno. Sprowadził się tu rok temu po rozwodzie, który kosztował go dwoje dzieci, szeregowiec i dwa i pół tysiąca koron miesięcznie. Cóż, postawił na niewłaściwego konia. Młoda śliczna dziewczyna, która przysłała na zastępstwo w letnie wakacje, wzięła go szturmem. Miała zaledwie dziewiętnaście lat i wyglądała na Finkę, a w każdym razie on tak sobie wyobrażał Finki. Coś w rodzaju młodszej wersji piosenkarki Arji Saijonmaa. Miała na imię Eva. Stale się śmiała i zdołała przedrzeć się przez jego szorstkość i poruszyć to, co w nim najlepsze. Zdziwienie, że tak łatwo dała się uwieść, szybko zmieniło się w przesadną wiarę we własną atrakcyjność. Niczego mu nie obiecywała, ale przyjął za pewnik, że będą razem. Po sześciu gorących wspaniałych miesiącach już się do niej sprowadzał, ale przepędził go dwudziestojednoletni barczysty chłopak z pryszczami. Terje z podkulonym ogonem wrócił więc do żony, prosząc, by było tak jak dawniej. Ona jednak poświęciła te pół roku na otrząśnięcie się z klęski i zdążyła uwierzyć w możliwość życia bez tego dupka, który tak głęboko ją zranił. Z synami Terje widywał się co drugi weekend, choć chłopcy sprawiali wrażenie coraz mniej zainteresowanych tymi spotkaniami i narzekali, że muszą spać w jednym pokoju z ojcem.

Problemy finansowe jeszcze nasiliły depresję. Ledwie wykonywał swoją pracę, a w każdą środę i sobotę ratował się paroma piwami wypijanymi samotnie w pubie po sąsiedzku i w końcu dotarło do niego, że żona przy podziale majątku zabrała mu też wszystkich wspólnych przyjaciół.

Ręce mu się trzęsły. Papiery, które przed nim leżały, szeleściły groźnie za każdym razem, gdy ich dotykał. Podsunął drżący płomień zapalniczki do rogu pierwszej kartki, którą trzymał w wyciągniętej ręce nad zlewem. Płomień buchnął szybciej, niż się spodziewał. Sparzył się w palce i zaklął cicho, wkładając dłoń pod zimną wodę. Wkrótce wszystkie kartki zmieniły się w popiół.

Otwarcie okna niewiele pomogło. W mieszkaniu zrobiło się zimno, ale on dalej się

pocił.

Hanne Wilhelmsen nie bardzo wiedziała, dokąd jedzie. Na żółtej karteczce przyklejonej do poduszki powietrznej w kierownicy widniał adres Birgitte Håkonsen, matki Olava. Ale Hanne przez pewien czas zmierzała w przeciwnym kierunku.

Na rozjazdach przy głównym budynku poczty stanęła na dłużej. Po trzech okrążeniach ronda i narastającym trąbieniu zirytowanych kierowców samochód sam wybrał trasę.

Dwadzieścia pięć minut później była już na jednym z najstarszych przedmieść Oslo, pomniku błędnej polityki mieszkaniowej, wywołującej ciarki na plecach. Szare niskie bloki przypominały przypadkowo porozrzucane wyblakłe klocki, a smutne zasłonki z taniego sklepu sieciowego *Hansen og Dyswik* sprawiały, że domy te wyglądały tak, jakby miały zamknięte oczy. Tu i ówdzie ustawiono przed laty drabinki dla dzieci, zapominając, rzecz jasna, o ich konserwacji. Wszystkie powierzchnie osiągalne dla chłopców w wieku łobuzerskim pokrywały mazaje – nieczytelne grube litery układające się w tajemniczy kod, który zrozumieć mogli tylko ci, którzy mieli mniej niż dwadzieścia lat. Poprzechylane nieliczne zielone kosze na śmieci, łaskawie zafundowane wieki temu przez gminę, stały z rozdziawionymi paszczami, z których wysypywały się torebki z psimi odchodami. Całą dzielnicę spowijała szara lepka mgła.

Na środku znajdowało się centrum handlowe, olbrzymi klocek Lego, który kiedyś może był biały, ale teraz zlewał się z szarym otoczeniem. Zbudowano go według zasady „jak największa powierzchnia za jak najmniejsze pieniądze”. W środku można było bezpośrednio po kłótni w wydziale Urzędu Ochrony Praw Dziecka przejść po pieniądze do opieki społecznej, a następnie wydać je w zadymionej brudnej kawiarni na parterze. Wszyscy mieszkańcy dzielnicy musieli tłoczyć się właśnie tam, bo na zewnątrz nie było nikogo.

Komisarz Wilhelmsen zaparkowała samochód i wysiadając, zabrała ze sobą żółtą kartkę. Dwa razy sprawdziła, czy auto jest zamknięte. Z parkingu weszła na niedużą alejkę oznakowaną niegdyś prostokątną tabliczką ze znajomym piktogramem przedstawiającym dorosłego trzymającego za rękę dziecko, ale teraz ledwie widocznym spod mazów. Tabliczka wisiała krzywo i miała ośle uszy. Na wyasfaltowanej ścieżce i tak chrzęścił żwir.

14 B, pierwsze piętro.

Głowa Hanne Wilhelmsen zmieniała się w pulsujące piekło. Włączyły się w niej

wszystkie alarmy naraz. To było absolutnie wbrew regulaminowi. Próbując odciąć się od tego hałasu, usiłowała przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek zrobiła coś podobnego. Czy przyszła do świadka na rozmowę poza siedzibą policji.

Nigdy.

Sytuacji nie poprawiał fakt, że była sama.

Przez chwilę rozważała, czy nie zrezygnować z legitymowania się. Może zrobić z tego prywatną wizytę? Po prostu odwiedziny jednej kobiety u drugiej. Idiotyczne. Przecież była policjantką.

Drzwi wejściowe chronił daszek pokryty papą i z kawałkiem rynny. Niewiele to pomogło. Były zniszczone, odrapane z farby, za to pokryte wszechobecnymi czerwono-czarnymi inicjałami. Panel z przyciskami do domofonów umieszczono z prawej strony, ale nikt się nie pofatygował, żeby powkładać za szkiełka wizytówki. Kilka nazwisk wypisano na taśmie klejącej, inni lokatorzy użyli taśmy malarskiej, nie zwracając sobie nawet głowy równym jej przycięciem. Cztery okienka w ogóle nie były oznaczone.

B. Håkonsen przynajmniej próbowała zrobić to porządnie. Taśma klejąca mocowała kartonik z nazwiskiem wypisanym ładnym, wyraźnym charakterem. Hanne już miała nacisnąć dzwonek, ale jeszcze się cofnęła i spojrzała na fasadę budynku.

Blok miał cztery kondygnacje. Na każdej musiały się znajdować po dwa mieszkania. Próbowwała odgadnąć, po której stronie mieszka Birgitte Håkonsen, ale to okazało się niemożliwe. Nagle postanowiła wrócić do domu. Po chwili jednak znów podeszła do drzwi i położyła palec na guziku domofonu.

Ponieważ wokół panowała zadziwiająca cisza – dochodził jedynie przytłumiony szum autostrady i monotonne dudnienie z pobliskiego placu budowy – naprawdę usłyszała dzwonek, który rozległ się wewnątrz mieszkania. Ciche, ale wyraźne buczenie. Nikt nie zareagował i Hanne właściwie poczuła ulgę. Już miała odejść, gdy nagle w głośniku zatrzeszczał głos:

– Kto tam?

– Halo, tu... Nazywam się Hanne Wilhelmsen. Jestem z policji. Czy mogę wejść?

– Halo?

Hanne nachyliła się do szarej płytki z głośnikiem i mikrofonem.

– Nazywam się Hanne Wilhelmsen! – zawołała z przesadnie wyraźną dykcją. – Jestem z policji. Czy mogę...

W głośniku chrupnęło. Hanne drgnęła przestraszona, ale nie rozległ się brzęczyk otwieranych drzwi. Lekko poirytowana zadzwoniła jeszcze raz. Tym razem nikt nie

odpowiedział. Po minucie wcisnęła guzik na dziesięć sekund, mocno i ze złością.

Głos wciąż nie wracał. Ale zanim ponownie zdążyła przyłożyć palec do przycisku, odezwał się brzęczyk.

Na próbę ujęła zimną metalową klamkę i pociągnęła drzwi do siebie. Były otwarte.

Na klatce pachniało blokiem, mieszanką przeróżnych dań obiadowych, środkami czystości i śmieciami. Kiedy mijała drzwi na parterze, z zawiązanego plastikowego worka stojącego przy wycieracze poczuła smród dziecięcych pieluch.

Nie czekał na nią żaden komitet powitalny. Drzwi pozostały wrogo zamknięte, ale ten sam charakter pisma widniejący na wizytówce przy domofonie i tutaj, na niedużym kartoniku z kwiatową obwódką, powiedział jej, że dobrze trafiła. Westchnęła i zadzwoniła jeszcze raz. Drzwi otworzyły się natychmiast.

Kobieta, która za nimi stała, wyglądała niesamowicie. Ubrana była w olbrzymi dres, który nie zdołał ukryć jej osobliwych kształtów – bo w biodrach była niemal szersza niż dłuższa. Na nogach miała nieduże kapcie z foczej skóry, wyraźnie świadczące o tym, że stopy są nieproporcjonalnie małe w stosunku do ciała. Szttywne czarne włosy otaczały okrągłą jak księżyc w pełni twarz z ciemnoczerwonymi ustami.

Ale najbardziej zdumiewały jej oczy. Wydawały się małe, lecz były tak zapadnięte, że właściwie nie dawało się tego stwierdzić. Długie rzęsy wywijają się niemal na centymetr na tłuste powieki, jakby wyrastały z dwóch wąskich pustych szczelin.

Nie wykonała żadnego gestu ani nic nie powiedziała. Hanne zrobiła krok naprzód, licząc, że Birgitte Håkonsen odsunie się na bok, ale nic to nie dało.

– Czy mogę wejść na chwilę? Nie przeszkadzam?

Kobieta, zamiast odpowiedzieć, odwróciła się tyłem i weszła do przedpokoju. Ponieważ zostawiła drzwi otwarte, Hanne uznała to za zaproszenie i po chwili wahania podążyła za nią.

W podłużnym korytarzu było ciemno, a drzwi do pokoju na jego końcu wydawały się niemal białym prostokątem, co jeszcze bardziej utrudniało dostrzeżenie czegokolwiek. Hanne potknęła się o chodnik.

W pokoju panował porządek. Był skromnie umeblowany, ale okna umyte i pachniało w nim świeżością. Najbardziej zdumiewało tu oświetlenie. Nad niedużym stołem ozdobionym bukietem kwiatów z bibuły zwisała przemysłowa lampa, tylko z nieco ładniejszym abażurem. Żarówka musiała mieć moc co najmniej dwustu watów. Na dłuższej ścianie wisiało aż sześć podwójnych kinkietów. Dodatkowo w pokoju były jeszcze cztery lampy stojące i trzy długie, niczym nieosłonięte świetlówki wzdłuż okna. Wszystkie zapalone. Stara kanapa w niebieską

kratkę wyglądała na zużytą przede wszystkim na jednym końcu, poduszka była tam niższa od pozostałych, a rama nośna też zaczęła się już opuszczać. Na stoliku z lakierowanej sosny leżał numer plotkarskiego tygodnika „Se og Hør”. Poza nim do czytania było jeszcze tylko kilka broszur na ciemnym regale, ale Hanne nie widziała, czego dotyczyły.

Kobieta usiadła na swoim zwykłym miejscu i ruchem dłoni wskazała Hanne fotel z lat sześćdziesiątych z czerwonym zmechaconym obiciem i owalnymi płytkami z drewna tekowego naklejonymi na podłokietniki.

– Może napije się pani kawy? – zapytała, a jej głos był głębszy, niż Hanne się spodziewała, ze śpiewną, ładną intonacją, kojarzącą się z jakimś zapomnianym dialektem.

Ponieważ przyjęcie propozycji wymagałoby od kobiety wstania i pójścia po czystą filiżankę, Hanne podziękowała, lecz rozczerowanie na ubogiej w mimikę twarzy gospodyni sprawiło, że zaraz zmieniła zdanie:

– A zresztą chętnie wypiję filiżankę.

Mimo swoich kształtów kobieta poruszała się ładnie, wręcz z gracją. Chodziła cicho jak kot, kapcie z foczej skóry na linoleum prowadzącym do kuchni nie wydawały żadnego odgłosu. Wkrótce wróciła z czerwoną emaliowaną tacą, na której stały dwie filiżanki, miseczka z herbatnikami i termos. Nalała kawy i zapraszającym gestem przesunęła ciasteczka bliżej Hanne.

– Bardzo proszę – powiedziała i sama wypila łyk kawy.

– Pewnie się pani zastanawia, dlaczego tu jestem – zaczęła Hanne, nie bardzo wiedząc, jak zagaić rozmowę.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko patrzyła na nią obojętnie.

– Przyszłam właściwie po to, żeby porozmawiać z panią o synu, o Olavie.

Twarz Birgitte Håkonsen wciąż była nieruchoma jak kamienna maska.

– Wiemy już przynajmniej, że nie stało mu się nic poważnego – dodała Hanne z optymizmem w głosie. – Najprawdopodobniej przebywał w jakimś domu na Grefsen. Miał jedzenie i dach nad głową.

– Tak, słyszałam – odezwała się w końcu kobieta. – Dzwonili już do mnie.

– Miała pani od niego jakieś wiadomości?

– Nie.

– A nie domyśla się pani, dokąd Olav mógł pójść? Ma jakąś rodzinę? Na przykład dziadków?

– Nie. To znaczy tak. Ale u nikogo innego nie szukałby schronienia.

Nie było to szczególnie budujące. Hanne napiła się kawy, smacznej i bardzo gorącej.

Piski alarmu w głowie trochę ucichły, ale nie przestawała się sobie dziwić, że w ogóle tu przyszła. Odstawiła filiżankę. Odrobina napoju wylała się na spodeczek, rozejrzała się więc za serwetką, ale gospodyni nawet nie drgnęła.

– Musiało wam być ciężko tylko we dwoje, bo ojciec chłopca...

– Nie żyje.

Kobieta powiedziała to bez goryczy i bez żalu, tym samym głębokim, śpiewnym tonem. Neutralnie i wyraźnie, jak spiker czytający wiadomości w radiu.

– Sama nie mam dzieci, więc nie wiem, jakie to męczące – powiedziała Hanne, zastanawiając się jednocześnie, czy nie mogłaby tu zapalić.

Nigdzie nie było widać popielniczki, ale w końcu ośmieliła się zapytać. Kobieta uśmiechnęła się po raz pierwszy, chociaż wciąż z zamkniętymi ustami. Znow wstała i przyniosła popielniczkę wielkości talerza obiadowego.

– Właściwie rzuciłam palenie już wiele lat temu. Ale może mogłaby mnie pani poczęstować?

Hanne nachyliła się i przypaliła jej papierosa. Kiedy Birgitte Håkonsen musnęła przy tym jej rękę, Hanne zdziwiła miękkość skóry tej kobiety. Miękkość i suche ciepło. Matka Olava zaciągnęła się dymem jak wytrawny palacz.

– Ja też nie wiedziałam, jakie to może być męczące – powiedziała powoli, jednocześnie wypuszczając dym nosem i ustami. – Olav ma MBD, więc to nie moja wina, że jest taki dziwny.

– Aha – mruknęła Hanne z nadzieją, że usłyszy coś więcej.

– Wcześniej prosiłam o pomoc. Już w szpitalu położniczym zrozumiałam, że jest inny niż wszystkie dzieci. Ale mi nie uwierzyli. A kiedy wreszcie... – zastygła twarz bez wyrazu nareszcie się ożywiła – kiedy wreszcie udało mi się ich przekonać, że coś jest nie tak, chcieli mi go odebrać. A miałam wtedy za sobą już prawie jedenaście lat męki. Nie chciałam go oddawać do żadnego zakładu. Po prostu potrzebowałam pomocy. Są przecież lekarstwa. Ritalin. Prosiłam o wsparcie, o asystenta, może o rodzinę, którą mógłby regularnie odwiedzać.

Hanne nie była pewna, ale miała wrażenie, że głębokie jamy, w których powinny być oczy, napełniają się łzami. Kobieta gwałtownie mrugała.

– Ale to chyba pani nie interesuje.

– Owszem. Próbuję sobie stworzyć obraz chłopca. Widziałam go przecież tylko na zdjęciu. Podobny do pani.

– Rzeczywiście jest do kogo być podobnym!

Wprawnie zgasiła papierosa. Hanne zaproponowała jej kolejnego. Widać było, że Birgitte Håkonsen ma jeszcze ochotę zapalić, ale pokręciła głową i machnęła ręką.

– Zewnętrznie jest podobny do mnie, ale w środku zupełnie inny. Wymyśla niewiarygodne rzeczy. Tak jakby widział inaczej niż wszyscy. Jakby... Widzi dobro tam, gdzie inni widzą zło, a zło tam, gdzie inni dostrzegają dobro. Kiedy ktoś próbuje być dla niego miły, jemu wydaje się, że źle mu życzy. Kiedy on stara się być uprzejmy i grzeczny, inne dzieci się go boją. No i wygląda też przerażająco. Jakby był... przeciwieństwem wszystkich innych. Takim dzieckiem na opak. – Birgitte Håkonsen podciągnęła nogi pod siebie i nieoczekiwanie kobiecym gestem odgarnęła włosy z twarzy. – Kiedy wszystkie dzieci cieszą się na Boże Narodzenie, on się martwi, bo święta będą trwały tylko kilka dni. Latem, gdy dzieciaki biegają na dworze i chodzą się kąpać, on siedzi w domu i je. Mówi, że jest za gruby, żeby wychodzić. A w sytuacjach, kiedy zwykle dziecko by płakało, on się uśmiecha i nie pozwala się pocieszać. Zna pani Królową Śniegu?

Hanne pokręciła głową.

– To baśń Andersena. Opowieść o lustrze, które wszystko zniekształca. Rozbiło się na tysiąc kawałków. Ci, którym odłamek wpadł do oka, widzą wszystko źle, nieprawdziwie. A ci, którym wpadł do serca, stają się zimni jak lód. – Nachyliła się, jakby się zastanawiała, czy może jednak zmienić zdanie i zapalić. Ale zanim Hanne się zorientowała, podjęła: – Olav ma dobre serce. Chce być grzeczny. Ale wpadł mu do oka odłamek zaczarowanego lustra.

Komisarz Hanne Wilhelmsen nie wiedziała, co robić. Zaczerwieniła się ze wstydu. Parująca kawa pomogła jej to ukryć, ale mimowolnie potarła prawe oko.

– Wszyscy mamy w oczach odłamki uniemożliwiające nam zobaczenie rzeczy w ich prawdziwym kształcie. Pani również. – Teraz kobieta uśmiechała się już naprawdę. Zęby miała nierówne, ale białe i zadbane. – Pani pomyślała, że jestem głupia. Klientka opieki społecznej, której Urząd Ochrony Praw Dziecka zabrał syna. Nie ma pracy, nie ma rodziny i ani jednej książki na półce.

– Ależ nie, nie – skłamała Hanne.

– Właśnie że tak pani pomyślała – upierała się Birgitte Håkonsen. – I pod wieloma względami tak jest. To prawda. Byłam idiotką, że wyszłam za jego ojca. Słaba i głupia, nie umiałam... – Z dwóch studni w twarzy polały się łzy.

Birgitte wytarła policzki pulchnym, gładkim wierzchem dłoni. W końcu się opanowała i wróciła do początku. Nogi opuściła na podłogę, a na jej twarzy znów pojawił się kamienny wyraz.

– Czego pani właściwie ode mnie chce?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem. Ciężko pracujemy nad tym zabójstwem, a ja mam przeczucie, że brakuje nam jakiejś informacji związanej z Olavem.

– On tego nie zrobił. – Jej głos nie był już taki ładny. Wzniósł się o oktawę i stał się niemal przenikliwy.

Hanne w obronnym geście uniosła rękę.

– Nie, nie, wcale tak nie myślimy. Ale Olav mógł coś usłyszeć albo zobaczyć. Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Pewnie już niedługo się znajdzie.

– Ja wiem, że on tego nie zrobił. Niczego też nie widział ani nie słyszał. Trzymajcie się z daleka od mojego syna! Wystarczy, że Urząd Ochrony Praw Dziecka...

Nagle ukazały się jej oczy. Może dlatego że wewnętrzne ciśnienie stało się tak duże, że niemal wyszły z orbit, a może dlatego że zupełnie je otworzyła. O dziwo, były niebieskie.

– Pani Håkonsen... – zaczęła Hanne.

– Niech mnie pani zostawi w spokoju! Pani nic nie wie o Olavie! Nie ma pani pojęcia, ani jak on się czuje, ani jak postrzega świat. Uciekł, bo nienawidził tego miejsca. Chciał do domu. Do domu, rozumie pani? Tutaj. Dla pani to pewnie nie jest dom, ale ja jestem jedyną osobą na świecie, która go kocha. Jedyną na całym świecie! Ale czy wy to bierzecie pod uwagę? Skąd! Po prostu przenosicie go z miejsca na miejsce jak paczkę i oczekujecie, że będę współpracować. „Musi pani zrozumieć, pani Håkonsen, że Olawowi trzeba pomóc w tym konflikcie lojalności, jaki będzie przeżywał po przeniesieniu. Dlatego ważne jest, żeby pani współpracowała”. – Ostatnie słowa wyrzuciła z siebie, krzywiąc usta. – Ja mam to rozumieć? Ja mam współpracować? Przecież to mnie odbierają jedyny powód do życia! A jeśli chodzi o tę... Agnes... – brzydki ton wrócił – ...to nawet przez sekundę nie ubolewałam nad jej śmiercią. Jak mogła wierzyć, że potrafi każdemu zastąpić matkę? Olav ma matkę! Mnie! Wie pani, co ona zrobiła, zanim mój syn uciekł? Ukarła go, mówiąc, że nie będę go mogła odwiedzać przez dwa tygodnie! Dwa tygodnie! Przecież to nawet nie jest dozwolone! Olav zadzwonił do mnie... – umilkła i opadła na kanapę.

Hanne chrząknęła i sięgnęła po filiżankę. Spód był brązowy od rozlanej kawy, podstawiła więc dłoń, żeby nie nabrudzić. Nie udało się jednak. Duża kropla spadła na kremową wykładzinę.

– Ja nic nie wiem o Urzędzie Ochrony Praw Dziecka – zdołała tylko z siebie wydusić.

Birgitte Håkonsen wyglądała tak, jakby się zbierała do kontynuowania ataku. Opanowała się jednak, a może zwyczajnie zabrakło jej sił, bo znieruchomiała na kanapie.

– Nie chciałam pani denerwować – przeprosiła Hanne. – Naprawdę nie o to mi chodziło.

Gospodyni nie odpowiedziała, a Hanne zrozumiała, że powinna już iść. Wstała więc, podziękowała za kawę i jeszcze raz przeprosiła za najście. W korytarzu wydało jej się, że usłyszała coś przez zamknięte drzwi, prowadzące prawdopodobnie do sypialni, ale nie spytała o to, uznając, że już i tak przeciągnęła strunę. Na półce przy szafie zobaczyła stos książek w bibliotecznych okładkach. I była to ostatnia rzecz, jaką zauważyła przed zamknięciem drzwi.

Kiedy zeszła na parter po betonowych schodach, przypomniało jej się, z jaką gracją poruszała się Birgitte Håkonsen. W ogóle okazała się zupełnie inna, niż Hanne sobie wyobrażała.

Brudnych pieluch dalej nikomu się nie chciało wyrzucić do zsypu, a na dworze wciąż było szaro, mokro i pusto. Ale samochód na szczęście był nietknięty. Nie miał nawet najmniejszego napisu.

O dziwo, zdołał zachować spokój. A to dowodzi, że wciąż bardzo się boi. Policjantka siedziała tu co najmniej godzinę. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek tak długo był cicho.

Raz, dawno temu, miał wtedy pewnie około ośmiu lat, bo sprowadziliśmy się właśnie do Oslo, siedział w swoim pokoju równie długo. Tak mi się wydawało. Ponieważ przez ponad godzinę nie słyszałam żadnych odgłosów, poszłam zanieść mu jedzenie. Mieszkaliśmy na parterze i do pokoi nigdy nie docierało słońce. W mroku pomyślałam, że może zasnął. Ale on zniknął. Śmiertelnie się przeraziłam. Nie wiedziałam, co mam robić. Usiadłam na jego łóżku i po prostu czekałam. Tuż przed północą przyprowadziła go policja. Uśmiechał się od ucha do ucha i cuchnął alkoholem. Zataczając się, poszedł do swojego pokoju, a tamten uprzejmy policjant powiedział, że do picia namówili go jacyś starsi chłopcy, i dodał, że powinien obejrzeć go lekarz, bo nie wiadomo, ile wypił.

Nie zadzwoniłam po lekarza, ale całą noc przy nim przesiadziałam. Rzygał jak świnia i przez dwa dni był słaby. Pozwalał sobie pomagać przy różnych rzeczach i był bardzo spokojny. Pijany ośmiolatek. Ale miał się przecież w kogo wrodzić.

Podobno nie wierzą, że to on. Że zamordował Agnes. Ale pewnie tak tylko mówią. Policjantka była wprawdzie miła, lecz ja ich znam. Coś tam gadają, a robią zupełnie co innego.

Wiem, że on nie jest winien. Wiem, że muszę go ukrywać. Ale jak długo mi się to uda?

7.

– Ile razy mam powtarzać, że to rutynowe przesłuchanie? – Billy T. był wyraźnie poirytowany.

Po drugiej stronie jego biurka siedział potężny pięćdziesięcioletni mężczyzna, który zachowywał się jak dzieciak.

– To pański numer telefonu, prawda? – Billy T. pomachał plastikową torebką ze strunowym zapięciem, w której leżała żółta kartka.

Mężczyzna wciąż nie odpowiadał.

– Boże, człowieku! Czy mam nakazać przesłuchanie przed sądem? W czymś to panu pomoże? Przecież wiem, że to pański numer. Nie może pan po prostu odpowiedzieć? To chyba nic groźnego potwierdzić coś, co już i tak wiemy.

– To po co pan pyta, jak pan już i tak wie – mruknął tamten ze złością. – Nie mam obowiązku podawać niczego oprócz nazwiska i adresu. Nie rozumiem, po co w ogóle musiałem tu przyjść.

Billy T. czuł, że pora na przerwę. Cierpliwość już mu się wyczerpywała, a z drogo okupionego doświadczenia wiedział, że bardziej opłaca się policzyć do stu. W jakimś innym pomieszczeniu.

Kazał więc mężczyźnie siedzieć, omiół wzrokiem pokój, sprawdzając, czy na wierzchu nie leży coś, czego postronna osoba nie powinna oglądać, schował do szuflady dwie teczki, zamknął ją na klucz i wyszedł.

– Niech to cholera, Hanne! Ten kochanek mnie zabije! Nie odpowiada na żadne pytania. Od razu można nabrać podejrzeń! – Ciężko usiadł na biurku Hanne, potarł głowę i pociągnął się za nos.

– Skąd mamy pewność, że mieli romans?

– Po pierwsze... – Billy T. zaczął wyliczać na palcach – chłopakom w pracy mówił o nowej kobiecie. Jest dealerem samochodowym. Po drugie, tym samym facetom opowiadał, że dorobi się na pieprzeniu. Po trzecie, właśnie się przeprowadził, czyli zmienił numer telefonu, dlatego Agnes go zapisała. Po czwarte, to jego numer wybrała jako ostatni w życiu.

– Skąd to wiesz?

– Po prostu wcisnąłem „Repeat” w jej aparacie. Ostatni numer. Do tego idioty. – Uderzył pięścią w stół. – Po piąte, mąż Agnes mówił, że w ostatnich miesiącach była roztargniona, skłonna do irytacji.

– Trudno powiedzieć, żebyś trzymał w ręku powalające dowody.

– Zgadzam się. Ale ten głupek mógłby mi powiedzieć, co ich łączyło, to nie musiałbym snuć nieprawdopodobnych teorii. Jestem gotów usłyszeć cokolwiek, bo nie potrafię sobie wyobrazić Agnes Vestavik w objęciach grubego, łysiejącego dealera samochodowego. Przecież ona była religijna i drobnomieszczańska.

– Znów uprzedzenia i bezpodstawne osądy, Billy T! Osoby religijne ulegają takim samym żądzom co ty i ja. Musisz się jakoś przebić do tego faceta. – Obiema rękami pchnęła go w plecy. – Idź już stąd, bo mam robotę. A jeśli rzeczywiście byli kochankami, to po co miały ją zabijać? Czy to nie oznaczałoby podcięcia gałęzi, na której siedział?

– Z całą pewnością – mruknął Billy T.

Głośno tupiąc, wrócił do opornego przesłuchiwanego.

– Namyślił się pan? Objawiła się jakaś wola współpracy?

– I pan o to pyta? – wybuchnął wściekły mężczyzna. – Policja wparowuje do mojej pracy, wypytuje kolegów, grzebie w moim życiu tak, żebym się musiał wstydzić, a potem wyciąga na przesłuchanie w najlepszych godzinach i oskarża o zabójstwo, morderstwo i co tam jeszcze!

Billy T. nawet się nie uśmiechnął.

– Czy ja chociaż przez moment oskarżyłem pana o zabójstwo?

Mężczyzna wbił wzrok w podłogę. Billy T. dostrzegł wreszcie na jego szerokiej, grubo ciosanej twarzy cień niepewności.

– Niech pan posłucha – zaczął jeszcze raz niemal z życzliwością w głosie. – Na razie zarzucam panu tylko jedno, a mianowicie romans z Agnes Vestavik. A to nie jest żadne przestępstwo. Do pańskiego miejsca pracy nie wparowaliśmy po to, żeby pana ukarać. Chcemy po prostu stworzyć jak najbardziej kompletny obraz życia ofiary. Co robiła, kogo znała, z kim się spotykała. I szczerze mówiąc, stoimy w miejscu. Niełatwo wymyślić motyw zabójstwa ze wszech miar układnej i porządnej wychowawczyni z domu dziecka, która wiodła układne i porządne życie. Kiedy więc odkrywamy, że nie wszystko było do końca takie układne i porządne, to oczywiście zaczynamy się tym interesować. Ale to jeszcze wcale nie oznacza, że uważamy pana za zabójcę kochanki.

Bingo. To była o wiele skuteczniejsza taktyka. Lepsze dobre słowo niż kij.

Mężczyzna nachylił się na krzesło i zasłonił twarz rękami. Siedział nieruchomo, ale Billy T. go nie poganiał. Wreszcie się wyprostował i pogładził po nieogolonym policzku, ciężko oddychając.

– Mieliśmy romans. Coś w rodzaju romansu. To znaczy... Nie uprawialiśmy seksu. Ale

ona była... byliśmy... zakochani. – Sprawiał wrażenie, jakby nigdy wcześniej nie używał tego słowa. Wydawało się zbyt piękne dla grubych szerokich ust. Sam to rozumiał. – Byliśmy bardzo sobą zainteresowani – poprawił się. – Spotykaliśmy się, żeby rozmawiać, żeby być razem. Chodziliśmy na spacer. Ona była...

Billy T. nigdy się nie dowiedział jaka, bo mężczyzna zaczął walczyć z płaczem i wygrał, ale zajęło mu to kilka minut.

– Musi pan zrozumieć, że nie mógłbym zabić Agnes. Boże, przecież znajomość z nią była najlepszą rzeczą, jaka mi się od lat przydarzyła.

– Jak się poznaliście?

– A jak pan myśli? Oczywiście chciała kupić samochód. Zjawiła się razem z mężem, takim bladym wyskrobkiem. Nie znał różnicy między pojemnością silnika a kołmi mechanicznymi. Oczywiście było, że to Agnes ma pieniądze, bo to ona dalej zajmowała się sprawą. Nawiązaliśmy miły kontakt, a potem... potem go rozwijaliśmy.

– A to gadanie w pracy? Że pieprzeniem zdobędzie pan pieniądze?

– Takie przechwałki, jak to między chłopakami.

Nawet się nie zawstydził. Billy T. miał ochotę go pouczyć, że chłopcy powyżej szesnastego roku życia nie powinni kłamać w tych sprawach, a już na pewno nie powinni tego robić chłopcy po pięćdziesiątce, ale się powstrzymał.

– O czym rozmawialiście tamtego wieczoru, kiedy zginęła?

– O czym rozmawialiśmy? Przecież ja jej wtedy nie widziałem! – Zdumiony popatrzył na Billy'ego T. i mocno zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

– Spokojnie. Mam na myśli tę waszą rozmowę przez telefon. Dzwoniła do pana ze swojego biura. Tamtego wieczoru.

Mężczyzna wyglądał na szczerze zdumionego.

– Nie, nie dzwoniła – stwierdził zdecydowanie i mocno pokręcił głową. – Zawiozłem klientowi samochód do Drøbak. Spotkałem tam starego kumpla, poszliśmy na kawę do knajpy. Wróciłem dopiero o północy. Mogę to udowodnić!

Billy T. zacisnął usta i w milczeniu popatrzył mężczyźnie w oczy. Sprzedawca samochodów przegrał i spuścił wzrok.

– No dobrze – powiedział w końcu Billy T. – Czy ona wiedziała, że pana nie będzie w domu?

– Nie pamiętam. W każdym razie ja wiedziałem, że Agnes zamierza pracować. Miała jakieś kłopoty w pracy. Ktoś ją zawiódł. Niewiele o tym opowiadała, ale była rozczarowana.

– Ktoś? Kobieta czy mężczyzna?

– Nie mam pojęcia. Bardzo uważała, żeby nie zdradzić tajemnicy służbowej. Nawet o dzieciach mało opowiadała, chociaż przejmowała się nimi na okrągło.

Billy T. przyniósł świadkowi filiżankę kawy o smaku asfaltu i zaczął pisać. Przez pół godziny w niedużym pokoju słychać było jedynie odgłos jego wielkich palców maltretujących klawiaturę. Kiedy uznał protokół za skończony, zostało mu tylko jedno pytanie:

– Czy mieliście jakieś wspólne plany na przyszłość? Wspominała o rozwodzie?

Miny mężczyzny nie dawało się odczytać.

– Nie wiem, czy coś by z tego wyszło, ale oświadczyła mi, że decyzję podjęła już dawno i że mówiła o tym mężowi.

– Powiedziała to wyraźnie?

– Tak.

– Mówiła wprost: „Powiedziałam mężowi, że chcę się z nim rozwieść”? A nie: „Mój mąż nie chce się rozwieść” albo „Mąż ciężko przyjmie rozwód”?

– Nie, mówiła wprost. Kilka razy. A przynajmniej... – spojrzał w sufit, zastanawiając się – co najmniej dwa.

– Aha – mruknął Billy T. i poprosił świadka o podpisanie protokołu przesłuchania. – Proszę na razie nie opuszczać Oslo – nakazał jeszcze i otworzył drzwi na korytarz.

– A dokąd miałbym się wybrać – mruknął mężczyzna i wyszedł.

Tone-Marit nie urodziła się wczoraj. W policji służyła już cztery lata i dziewięć miesięcy, zostały jej więc trzy miesiące do chwili, kiedy będzie mogła przedstawiać się jako starsza posterunkowa i dodać jedną belkę do tej, którą już miała na prawie nigdy nieużywanym mundurze. Chociaż w wydziale pracowała dopiero od roku, Hanne już czuła podziw dla tej dwudziestosześcioletki. Tone-Marit była wprawdzie bardziej dokładna niż oryginalna i bardziej obowiązkowa niż tak naprawdę bystra, ale wnikliwość i obowiązkowość stworzyły niejednego świetnego śledczego.

Teraz posterunkowa utknęła w miejscu. Na rachunkowości raczej się nie znała, a miała przed sobą trzy grube segregatory i wcale nie rozumiała lepiej niż dwie godziny temu różnicy między środkami obrotowymi a kapitałem zakładowym, rachunkiem wyników i bilansem.

Coś jednak zauważyła. Nadzwyczaj wiele rachunków akceptował Terje Welby, a z tego, co wiedziała, za pieniądze powinna chyba w głównej mierze odpowiadać Agnes.

– Spytaj chłopaków z wydziału finansowego – doradził jej Billy T, przejrzawszy segregatory na chybił trafił. – Ja w tym czasie spróbuję trochę potrząsnąć tym Terjem Welby.
– Uśmiechnął się szeroko, a Tone-Marit z wdzięcznością złożyła segregatory, zdecydowana iść za jego radą. – Dowiedziałas się czegoś więcej o tych brakujących trzydziestu tysiącach z konta Agnes?

Tone-Marit położyła dłonie na segregatorach.

– Tylko że pieniądze wypłacono w trzech bankach. A konto rzeczywiście zostało zablokowane dwa dni później. Tego samego dnia, kiedy Agnes zginęła. Poprosiłam banki o odszukanie tych czeków. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Ale to może potrwać. Wszystko, co nie zależy od komputerów, trwa wiecznie.

– Wszystko, co od nich zależy, też – mruknął Billy T.

Od zabójstwa Agnes Vestavik minął zaledwie tydzień, który Hanne wydawał się wiecznością. Nie mogła liczyć na wsparcie szefa wydziału. Zazwyczaj okazywał życzliwość i troskę, angażując się w problemy swoich podwładnych, ale dzisiaj ją zbył. Całe jego moce przerobowe pochłonęło podwójne zabójstwo w Smestad: pewnego armatora i jego lekko zniszczoną alkoholem żonę znaleziono z niemal odstrzelonymi głowami. Wyglądało to na najokrutniejsze w historii Norwegii morderstwo przy okazji rabunku. Gazety pławiły się w wiadomościach z pogranicza pornografii społecznej i plotek z życia wyższych sfer, jak zawsze wyrzekając na nieudolność policji, a komendant zaczynał się niecierpliwić. Tragiczna śmierć Agnes Vestavik budziła pewne poruszenie przez pierwszą dobę, ale już zdążyła przejść do historii. Dla wszystkich z wyjątkiem ich grupy, czterolistnej koniczyny, która wciąż nie przestawała szukać motywu i sposobności.

– O Boże! – jęknęła Hanne. – Jak te czasy się zmieniają. Dziesięć lat temu takie zabójstwo postawiliby na głowie całutki wydział. Dostalibyśmy do dyspozycji dwudziestu ludzi i cały sprzęt, jakiego byśmy potrzebowali.

Erik Henriksen nie wiedział, czy ma uznać te słowa za krytykę. Może Hanne uważała go za zawodnika wagi lekkiej? Na wszelki wypadek postanowił się nie odzywać.

– Ale – Hanne nagle się uśmiechnęła, jakby właśnie odkryła jego obecność. – Co znalazłeś?

– Ten kochanek – zaczął posterunkowy – miał spore problemy finansowe.

Problemy finansowe. Kto ich, do diabła, nie ma, pomyślała Hanne Wilhelmsen, powstrzymując się przed zapaleniem papierosa.

– Ludzie nie mordują tylko dlatego, że mają kłopoty finansowe – westchnęła. – Przyznałaby się do nich co druga zapytana osoba. Musimy mieć coś więcej. Coś bardziej... namiętnego. Nienawiść, pogardę, strach, coś w tym rodzaju. Agnes zauroczyła tego faceta. Nie byli małżeństwem, więc nie miał szans na jej pieniądze.

– Ale chłopaki, z którymi pracuje, mówią, że w ostatnim czasie dziwnie przycichł. Mniej więcej dwa tygodnie temu. Sprawiał niemal wrażenie, jakby dopadła go depresja.

– I co z tego? – rzuciła Hanne wyzywająco, składając dłonie w namiot. – Co to oznacza? Nawet jeśli Agnes z nim zerwała, czy jak tam nazwać zakończenie platonicznego związku, to przecież jeszcze nie powód, żeby ją zabijać. W dodatku nożem! A dziwne by było, gdyby nikt nie zauważył czy nie usłyszał głośnej kłótni pary byłych kochanków zakończonej zabójstwem. – Pokręciła głową i wyprostowała się na krześle. – Wiem, jestem niesprawiedliwa, Erik. – Uśmiechnęła się. – Nie chciałam, żeby to się skrupiło na tobie. Ale czy ta sprawa naprawdę nie jest dziwna? Nikogo nic nie obchodzi. Szefowi nie chce się nawet ze mną rozmawiać. Gazety w ogóle nie okazują zainteresowania. W domu dziecka życie wróciło na dawne tory dzieciaki bawią się i hałasują. Mąż dalej mieszka tam, gdzie zawsze mieszkał. Świat kręci się wokół własnej osi i tydzień po zabójstwie Agnes Vestavik ja też właściwie nie przejmuję się tą sprawą. Za miesiąc nikt już nie będzie o niej pamiętał. Masz świadomość, że... – urwała i w pliku gazet na podłodze odszukała numer „Arbeiderbladet”. – Proszę – powiedziała, wskazując na konkretny artykuł. – W Oslo ostatnio popełnia się więcej zabójstw w rzeczywistości niż w powieściach kryminalnych! Pierwszy raz w historii. Mój ty świecie! – Uderzyła się dłonią w czoło. – Pisarze nie potrafią dotrzymać nam kroku. Zabójstwo tu, morderstwo tam, kto by się tym przejmował. Teraz muszą zginąć co najmniej dwie osoby, żeby w ogóle ktoś to zauważył. Chyba że dojdzie do zbeczeszczenia zwłok lub ofiarą jest ktoś bogaty. Albo jakaś prostytutka, piłkarz, gwiazda czy polityk. A jeszcze lepiej, kiedy sprawcą jest bogacz lub jakaś sława. Anonimową kobietą, która mogła się pochwalić jedynie zwyczajnym spokojnym życiem i kochankiem na pół gwizdka, nie warto sobie zawracać głowy. Ciebie na przykład to obchodzi? – zapytała, pochylając się nad biurkiem i patrząc Erikowi w oczy.

Posterunkowy głośno przełknął ślinę.

– Oczywiście, że tak – mruknął i jeszcze raz przełknął ślinę. – To przecież moja praca.

– No właśnie. My się przejmujemy, bo to nasza praca. Ale szef wydziału się nie przejmuje. Cieszy się, że może to zepchnąć na nas. Gazety się nie przejmują, bo sprawa jest

za mało pikantna. A my też się nie przejmujemy aż tak bardzo. Codziennie po południu z lekkim sercem wracamy do domu, jemy klopsiki i wcale nie myślimy o tym, że gdzieś jakaś czterolatka straciła matkę, a my temu nie zapobiegliśmy. Przecież zapobieganie jest naszym głównym zadaniem! Kiedy ostatnio zapobiegłeś przestępstwu, Erik?

Już chciał powiedzieć, że w ostatnią sobotę powstrzymał kolegę od prowadzenia po pijaku, ale mądrze to przemilczał. Zadzwonił telefon i Erik Henriksen drgnął przestraszony. Hanne musiała się pozbierać i odebrała dopiero po czwartym dzwonku.

– Słucham, Wilhelmsen – rzuciła krótko do słuchawki.

– Czy to Hanne Wilhelmsen?

– Tak. Z kim rozmawiam?

– Mówi Maren Kalsvik z Promyka Słońca.

– Aha.

– Dzwonię, ponieważ niepokoję się o Terjego Welby. Wie pani, zastępcę kierownika. Tego z chorym kręgosłupem.

– Dlaczego? – Hanne położyła palec na ustach na znak, że Erik ma milczeć, i pokazała na drzwi, by je zamknął. Źle ją zrozumiał i już wychodził, kiedy Hanne nakryła słuchawkę dłonią i szepnęła: – Nie, nie, Erik, zostań, tylko zamknij drzwi i bądź cicho. – Ostrożnie włączyła głośnik w telefonie.

– Terje jest na częściowym zwolnieniu i wcześniej dzisiaj wyszedł. Ale miał jeszcze zajrzeć, żeby odprowadzić jednego z chłopców na kurs motocyklowy, za co jest odpowiedzialny. Powinien tu być dwie godziny temu. Dzwoniłam kilka razy. W końcu wybrałam się do niego do domu, bo mieszka niedaleko. Drzwi były zamknięte, ale tylko na jeden zamek, a to znaczy, że on prawdopodobnie jest w środku.

Hanne Wilhelmsen nie miała nastroju do martwienia się dorosłym mężczyzną, który nie pojawił się przez dwie godziny.

– Mógł zapomnieć – powiedziała zmęczonym tonem. – Albo miał coś ważniejszego do załatwienia. Może jest u lekarza. Dwugodzinne zniknięcie osoby w wieku powyżej trzech lat nie jest sprawą dla policji.

Na drugim końcu linii zapadła cisza. I zaraz potem Hanne usłyszała odgłosy świadczące o tym, że Maren Kalsvik płacze, chociaż bardzo cicho.

– Na pewno nic się nie stało – próbowała ją pocieszyć Hanne nieco przyjemniejszym tonem. – Na pewno wkrótce się pojawi.

– Ale widzi pani... – zaczęła Maren jeszcze raz, lecz tym razem płacz zwyciężył. Uplęnęła dobra chwila, zanim była w stanie coś wykrztusić. – Jest kilka innych rzeczy –

spróbowała ponownie. – Nie mogę tego wyjaśnić przez telefon, ale naprawdę są powody do zmartwienia. On... Nie mam siły teraz o tym mówić. Bardzo was proszę, idźcie tam i sprawdźcie, czy wszystko w porządku. Bardzo o to proszę.

Erik Henriksen przysunął się do biurka i telefonu. Gołe łokcie wystające z podwiniętych rękawów koszuli oparł o blat. Hanne patrzyła na jego zegarek – tanią imitację roleksa oyster.

– Będę u pani za pół godziny – powiedziała, kończąc rozmowę.

Erik spojrzał na nią pytająco, a Hanne kiwnęła głową. Nie widziała powodu, żeby mu odmówić. Równie dobrze mogła go ze sobą zabrać.

– *My God!* – Zatrzymała się i z rezygnacją popatrzyła na posterunkowego. – Ja tu na ciebie krzyczę za to, że nikt już się niczym nie przejmuje, a sama splawiam kogoś, kto myśli o innych.

Mieli szczęście. Dostali radiowóz już po dziesięciu minutach. To był prawie rekord.

Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz, tak jak mówiła Maren Kalsvik. W szczelinie między nimi a futryną widać było, że dodatkowy zamek jest otwarty, co również zgadzało się z wyjaśnieniami Maren. Hanne Wilhelmsen wyjęła z kieszeni papierową chusteczkę, przez którą próbowała delikatnie pociągnąć za klamkę, jak najmniej jej dotykając. Erik Henriksen popatrzył na nią zdumiony.

– To tylko tak na wszelki wypadek – uspokoiła go.

Mieli mieszkanie zamknięte na klucz i dorosłego mężczyznę poszukiwanego zaledwie od trzech godzin, a więc na decyzję o wyważeniu drzwi było zdecydowanie za wcześnie. Ale gdyby wierny kolega Hanne, prokurator policji Håkon Sand, nie był tak cholernie nowoczesny i nie wziął całorocznego urlopu wychowawczego, nawet to daliby radę jakoś załatwić. Natomiast teraz Hanne nie miała pojęcia, kto ma dyżur prokuratorski, a do wejścia do tego mieszkania potrzebowała nakazu.

A wejść musiała. Chaotyczne informacje, na których przekazanie dławiąca się łzami Maren Kalsvik potrzebowała aż pół godziny, były do tego stopnia sensacyjne, że nakaz aresztowania był niemal formalnością. Ale wytłumaczenie prawnikowi przez telefon, że oto pojawił się fantastyczny motyw, a sprawca znajdował się w miejscu śmierci nieszczęsnej Agnes Vestavik w bardzo krytycznym momencie, nie rokowało za dobrze. Mogło jednak

chodzić o życie.

Hanne poprosiła Erika, by czuwał pod drzwiami, ale niczego nie dotykał. Sama zeszła do samochodu i po wielu trudach złapała wreszcie dyżurnego prawnika pod komórką. Szczęście jej sprzyjało. Okazał się nim stary, chociaż bardzo zmęczony wyjadacz. Natychmiast zrozumiał, o co chodzi, dał zielone światło i przełączył ją na dyżur kryminalny. Obiecano jej pomoc za pół godziny.

Minęły jednak aż trzy kwadranse, nim zjawili się koledzy. Ale warto było czekać. Dwóch milczących mężczyzn wiedziało, co robić, i bez gadania ustawiło się przed drzwiami z solidnym taranem: ciężką kwadratową metalową płytą umocowaną do długiego trzonka z uchwytami dla czterech par rąk. Hanne i Erik zajęli miejsca z tyłu.

– I raz, i dwa, i TRZY! – wydał komendę jeden z przybyłych funkcjonariuszy.

Rozhuścili taran i na trzy walnęli nim w drzwi.

Drewno nie miało szans. Skrzydło z trzaskiem oderwało się od futryny i wpadło do środka, zatrzymując się na ścianie naprzeciwko, odległej zaledwie o półtora metra. Hanne Wilhelmsen przepchnęła się naprzód i weszła do mieszkania.

Przedpokój był pusty. W salonie też nie było nikogo. Przez chwilę stała, przyglądając się typowemu kawalerskiemu mieszkaniu. Zbieranina przypadkowych mebli, w jednym oknie brak zasłony i ani śladu próby uczynienia tego miejsca przytulniejszym. Żadnych obrazów na ścianach, żadnej doniczkowej rośliny, blat przy zlewie pełen brudnych szklanek.

– Hanne, chodź tutaj – usłyszała z przedpokoju.

Plecy trzech mężczyzn zasłaniały wejście do łazienki. Gdy Hanne się zbliżyła, wszyscy powoli się cofnęli.

Cicho gwizdnęła.

Terje Welby siedział na sedesie, a raczej siedziały na nim jego ziemskie szczątki. Był w butach, dzinsach bez paska i T-shircie. Głowa opadła mu na pierś, ręce zwisały wzdłuż boków. Można by uznać, że zasnął, bo za dużo wypił, gdyby nie to, że wokół jego stóp rozciągała się ogromna kałuża krwi, a oba nadgarstki miał przecięte.

Hanne wolno weszła do łazienki, w której ledwie mieściły się dwie osoby. Nie dotykając ani zwłok, ani niczego innego, nachyliła się do obu rąk zmarłego i stwierdziła, że jedynie w lewej zdołał przeciąć tętnicę. Mimo zakrzepłej krwi w dziesięciocentymetrowej ranie dawało się dostrzec biel ścięgien i kości.

W umywalce leżała pusta butelka po whisky, a na podłodze – duży nóż do tapet z mocno wysuniętym ostrzem pokrytym krwią.

Hanne ostrożnie przyłożyła dwa palce do szyi mężczyzny. Był już całkiem zimny, bez

śladu życia.

– *He's dead, all right* – powiedziała cicho i tyłem wyszła z łazienki. – Wezwijcie techników – zwróciła się do funkcjonariusza z dyżuru kryminalnego.

– Mam wezwać techników z Sekcji Miejsca Zdarzenia do ewidentnego samobójstwa?

Protest był uzasadniony. Wydział Techniki Kryminalistycznej nie pojawiał się przy samobójstwach już od wielu lat, odkąd po połączeniu z Sekcją Pożarową przestał nazywać się Sekcją Miejsca Zdarzenia. Ale akurat tej zmiany większość policjantów zdawała się nie zauważać.

– Wezwijcie ich – powtórzyła Hanne i przykucnęła w drzwiach łazienki, nie zwracając sobie głowy tłumaczeniem się ze swojej decyzji przypadkowym funkcjonariuszom z dyżuru.

Policjant wzruszył ramionami, posłał koledze znaczące spojrzenie i wyszedł wykonać rozkaz. Komisarz to komisarz.

Najpierw wszystko obfotografowano. Hanne, która musiała się wycofać, żeby zrobić technikowi miejsce na poruszanie łokciami, z podziwem obserwowała, jak zwinnie się przemieszczał się po tym niewielkim pomieszczeniu, nie dotykając ani zwłok, ani krwi, ani ścian. Kilka razy wyszedł na korytarz, żeby zmienić film, ale nic nie mówił. Kiedy łazienka została już odpowiednio uwieczniona na zdjęciach, dwóch mężczyzn zaczęło ją obmierzać i określać dokładne położenie zwłok w stosunku do sufitu, umywalki i wszystkich czterech ścian. Wymieniali momentami jakieś ściszone komentarze, a jeden notował w skoroszycie. Operowali z dokładnością co do milimetra.

Potem zaczęli zabezpieczać ślady i Hanne uświadomiła sobie, jak dawno już nie była obecna przy badaniu miejsca zdarzenia, bo zamiast spodziewanego czarnego albo białego proszku, do którego była przyzwyczajona, zobaczyła coś w rodzaju spreju pozostawiającego trudny do określenia kolor.

Dwie godziny później było po wszystkim. Zwłoki ostrożnie przeniesiono na nosze i zawieziono do Szpitala Centralnego, gdzie miały spocząć w żółtym pomieszczeniu na zimnym metalowym stole i czekać na rozkrojenie.

– Moim zdaniem to ewidentne samobójstwo – stwierdził jeden z techników, pakując swoją walizeczkę. – Mamy opieczetować mieszkanie?

– Owszem. Ale najpierw musimy jakoś wstawić drzwi – odparta Hanne.

Wkrótce skrzydło znalazło się mniej więcej na swoim miejscu, przytrzymywane przez dwie śruby wkręcone w futrynę i w płytę. Biegł przez nie cienki metalowy drut, którego końce spotykały się w niedużej ołowianej plombie.

– Dzięki, chłopaki – rzuciła Hanne cicho i kazała Erikowi wracać do komendy z technikami. – Ja jadę do domu – oświadczyła. – Daj znać, że zatrzymuję samochód do jutra.

Czuła głęboki szczery żal.

Erik Henriksen miał na szczęście dość rozumu, żeby wezwać na pomoc pastora. Sam nie dojrzał jeszcze do tego, by poinformować byłą żonę i dwóch małych chłopców o śmierci tatusia. Nie otrzymał żadnej informacji zwrotnej, ale pastor obiecywał, że zajmie się sprawą od razu. Minęło już półtorej godziny, więc Erik przypuszczał, że wszystko jest załatwione. Uświadomił sobie natomiast, że Maren Kalsvik też powinna się dowiedzieć, że jej obawy okazały się uzasadnione. A ponieważ takiej wiadomości nie powinno się przekazywać przez telefon, zdecydował, że po drodze do domu zajrzy jeszcze do Promyka Słońca.

Była pora obiadowa i z kuchni dobiegały dźwięki typowe dla posiłków spożywanych w grupie: dzwonienie szklanek, skrobanie sztućcami o talerze, głosy małych i dużych. Jak zwykle drzwi otworzyła Maren. Zesztywniała na jego widok.

– Co się stało? – spytała wystraszona. – Stało się coś?

– Możemy porozmawiać na osobności? – spytał policjant niezgrabnie, starając się na nią nie patrzeć.

Pociągnęła go za sobą do przylegającej do kuchni salki konferencyjnej, do której prowadziły drzwi z pokoju dziennego. Osunęła się na krzesło i odgarnęła grzywkę.

– Co się stało? – powtórzyła.

– Miała pani rację – zaczął Erik, ale urwał. – Rzeczywiście niepokój był uzasadniony. On... – Teraz się rozejrzał i podszedł do drzwi, żeby się upewnić, czy są porządnie zamknięte.

– On nie żyje – dokończył cicho, zajmąwszy miejsce po drugiej stronie stołu konferencyjnego.

– Nie żyje? Jak to nie żyje?

– Nie żyje – powtórzył Erik z rezygnacją. – Odebrał sobie życie. Nie chcę wchodzić w szczegóły.

– O Boże – szepnęła Maren bledsza niż kiedykolwiek.

Zamknęła oczy i zachwiała się na krześle, które nie miało poręczy. Erik jednym skokiem znalazł się przy dziewczynie i podtrzymał ją, zanim osunęła się na podłogę. Zamrugła, cicho jęcząc.

– To wszystko moja wina – powiedziała, wybuchając gwałtownym płaczem. –

Wszystko to tylko moja wina.

Nachyliła się nad zaskoczonym policjantem, który nie miał zbyt dużego doświadczenia w takich sytuacjach. Ale długo ją obejmował.

– O cholera – szepnął Christian zachwycony i wypadł z archiwum przylegającego do salki konferencyjnej.

Erik Henriksen już wyprowadził Maren Kalsvik na piętro.

– To się zaczyna robić przerażające! Naprawdę przerażające!

Christian poprawił ubranie i potarł szyję, na której – jak wiedział z doświadczenia – wkrótce pojawi się malinka. Za nim wybiegła Cathrine, chuda jak szczapa dwudziestokilkuletnia, a właściwie prawie trzydziestoletnia terapeutka środowiskowa. Schronili się tu, przekonani, że podczas obiadu nikt im nie zakłóci schadzki, i byli tak zajęci sobą, że nie usłyszeli dzwonka do drzwi. Kiedy Maren wprowadziła policjanta do salki konferencyjnej, znaleźli się w pułapce. I słyszeli wszystko.

– Odebrał sobie życie! Boże!

Cathrine była wstrząśnięta, lecz nie do tego stopnia, by nie nachylić się do lustra wiszącego przy oknie i nie poprawić makijażu. Wykrzywiła się do swojego odbicia i palcem wskazującym lekko przesunęła pod oczami.

– Znaczy, że to on ukatrupił Agnes?

– Na pewno – odpowiedział Christian z narastającym zachwytem i głośno się roześmiał.

– Przestań! – skarciła go Cathrine, wycierając mu usta ręką. – Przestań się tak szczyrzyć! To przecież okropne!

Christian złapał ją za nadgarstek i pchnął na krzesło. Sam przysiadł obok niej na stole.

– Absolutnie w to nie wierzyłem – powiedział.

– A myślałeś, że kto to zrobił?

Chłopak wsunął się głębiej na stół, stopy postawił na sąsiednim krześle, łokcie oparł na kolanach, a z dłoni zrobił miseczkę, na której ułożył brodę. Uśmiech zniknął, zastąpiła go mina wyrażająca zamyślenie.

– A kogo ty podejrzewałaś? – odparował.

Cathrine wzruszyła ramionami.

– Kogo podejrzewałam? Chyba po prostu o tym nie myślałam.

– Ale przecież ktoś musiał to zrobić – upierał się Christian.

– Może Olav.

– Ha!

– Nie obruszaj się tak. To oczywiste, że to mógł być on. Przecież uciekł.

– Chyba nie sądziłaś, że taki chłopiec mógłby zabić? Przecież on ma dopiero dwanaście lat!

– No dobrze, a o kim ty myślałaś? – wróciła do swojego pytania.

– Ja byłem przekonany, że to Maren.

– Maren?

Cathrine zamrugnęła i przez moment wydało jej się, że źle usłyszała. Maren – dobra, mądra, skuteczna i pełna poświęcenia na granicy samozniszczenia. Maren miałaby zabić Agnes? Christian był kochany, ale niezbyt mądry.

– Co cię, na miłość boską, skłoniło, żeby tak myśleć?

– Posłuchaj – powiedział, biorąc ją za rękę. – Kto skorzysta na śmierci Agnes? Po pierwsze... – puścił jej dłonie i palcem lekko stuknął ją w czubek nosa – ...to Agnes sprzeciwiała się za każdym razem, kiedy zdaniem Maren coś należało zmienić. Tak było zawsze. Pamiętasz, jak Maren poparła dzieci, kiedy chciały kłaść się spać pół godziny później? Agnes oświadczyła, że nie ma mowy. A wtedy, kiedy mogliśmy zabrać je wszystkie na południe Europy za tyle, ile kosztowało wynajęcie tego cholernego domku w Sørlandet? Agnes wówczas też tupnęła nogą.

Zanim Cathrine zdążyła zaprotestować przeciwko sugestii, że motyw zabójstwa miałby się wiązać z porą chodzenia spać i wyjazdem na wakacje, Christian jeszcze raz puknął ją w nos.

– To Maren po śmierci Agnes została tu szefową. Sama widziałaś, jak wszystko od razu przejęła. Terje jest głupkiem, tyle że ma dobre papiery. Wszyscy o tym wiedzą.

– Był – poprawiła go Cathrine, czując, że nagle robi jej się słabo.

Pierwsze zachłyśnięcie się sensacyjną nowiną zaczęło ustępować uczuciu bliskiemu żalu i smutku po śmierci Terjego.

– Poza tym on wcale nie był głupkiem – dodała cicho.

– Po trzecie...

Tym razem zdążyła uchronić nos przed kolejnym puknięciem.

– ...Terje był niewydarzonym cherlakiem. Nigdy w życiu nie posądziłbym go o dość siły do zabicia kogokolwiek. – Z rękami nad głową ziewnął bez najmniejszego zażenowania i

ciągnął: – No ale się pomyliłem, skarbie. To musiał być Terje. Inaczej dlaczego by się zabijał? I to zaledwie kilka dni po morderstwie Agnes. Jasne jak słońce. – Zeskoczył na podłogę, stanął za krzesłem Cathrine, złapał ją za chude boki i uściśnął. – Dlaczego musimy utrzymywać taką cholerną tajemnicę? – szepnął jej w szyję.

Wysunęła się z jego ramion i powiedziała z rezygnacją:

– Przecież ty masz dopiero dziewiętnaście lat, Christian. Dziewiętnaście!

Kręcąc głową z nagłą irytacją, puścił ją. Otrząsnął się i wyszedł z pokoju sprawdzić, czy informacja o samobójstwie jest już oficjalna.

Cathrine została sama z dziwnym uczuciem, którego nie potrafiła zdefiniować. Dopiero teraz zauważyła, że okno jest uchylone. Zasłonki leciutko powiewały, a wpadające przez szparę powietrze wydawało się chłodniejsze, niż było w rzeczywistości. Niosło mroczny zapach mokrej ziemi, brudnego śniegu i gnijących roślin. Wstała, żeby je zamknąć, ale zasłonka wcisnęła się między ramę a framugę. Kiedy szarpnięciem otworzyła zacinające się skrzydło, żeby ratować tkaninę, odniosła wrażenie, jakby stało się coś ważnego, ale nie mogła sobie uświadomić co. Jakby jakaś myśl przemknęła jej przez głowę tak szybko, że nie zdążyła jej się nawet przyjrzeć. Długo stała, próbując do niej wrócić. Zamknęła nawet oczy, żeby się lepiej skupić. Czyżby coś zobaczyła? Usłyszała? Może podsłuchiwała?

– Cathrine! Pomożesz mi umyć włosy?

W drzwiach stała Jeanette, ciągnąc się za cienkie kosmyki, które rzeczywiście wyglądały na tłuste.

Myśl przepadła na dobre. Ale była ważna. Cathrine miała szczerą nadzieję, że kiedyś powróci. Wyrównała kwiecistą zasłonkę i poszła z pulchną jedenastolatką do łazienki.

– Zakochałaś się kiedyś w jakimś chłopaku? – spytała Hanne Wilhelmsen w ciemności.

Zbliżała się północ i leżały w łóżku.

Zdziwiona Cecilie roześmiała się dźwięcznie.

– Co to, u licha, za pytanie? – Obróciła się na bok, twarzą do Hanne. – Przecież ja nigdy nie byłam zakochana w nikim innym oprócz ciebie.

– Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że byłaś, tylko nic z tym nie zrobiłaś. W ciągu siedemnastu lat musiałaś się w kimś podkochać. Pamiętam na przykład tego twojego

profesora. Byłam strasznie zazdrosna.

Cecilie widziała profil Hanne na tle tapety w niebieskie paski i przesunęła palcem po jej czole i nosie do ust, gdzie opuszek doczekał się cmoknięcia.

– Czy to znaczy, że się w kimś zakochałaś?

– Teraz rozmawiamy o tobie – oświadczyła Hanne. – Zakochałaś się kiedyś w jakimś chłopaku? Mężczyźnie?

Cecilie usiadła na łóżku i owinęła się kołdrą.

– O co ci właściwie chodzi?

– O nic złego. Po prostu pytam. Więc jak?

– Nie. Nigdy w życiu nie kochałam się w żadnym chłopaku. Kilka razy wydawało mi się, że tak jest, jak byłam nastolatką. Ale chyba bardziej kochałam się w samym pomysle. To była taka ulga. Bo prawda mnie przerażała.

Hanne częściowo odrzuciła kołdrę, zostawiając pod nią tylko jedno biodro i nogę. Ręce wsunęła pod głowę. Piersi jej sterczały, a tuż nad pępkiem Cecilie widziała regularnie i spokojnie pulsującą żyłę.

– Ale czy nigdy nie czułaś takiej specyficznej... wyjątkowej przyjemności w obecności mężczyzny, którego bardzo lubisz? Takiego miłego uczucia, które sprawia, że chciałabyś przebywać z nim cały czas, robić różne zabawne rzeczy, bawić się, rozmawiać. Jak wtedy, gdy jest się w kimś zakochanym.

– Czasami tak. Ale to nie jest opis tego stanu. Naprawdę nie pamiętasz już, jak to było, Hanne? – Lekko dotknęła dłonią pulsującej plamki na brzuchu partnerki. – Człowiek ma ochotę na znacznie więcej niż tylko to, o czym mówiłaś.

Hanne odwróciła się do niej i popatrzyła z powagą. Światła przejeżdżającego samochodu przesunęły się po suficie i w tym przelotnym błysku Cecilie dostrzegła na jej twarzy wyraz, który nie bardzo umiała odczytać.

– Nigdy, ale to nigdy mnie nie zostawiaj. – Hanne przytuliła się do niej, niemal ją przewracając, i powtórzyła: – Obiecuj, że nigdy, przenigdy ode mnie nie odejdziesz. Nigdy.

– Nigdy, za nic na świecie, we wszechświecie i w nieskończoności – szepnęła Cecilie w jej włosy.

To był ich stary rytuał. Ale wieki upłynęły od momentu, gdy go ostatnio odprawiali. Cecilie wiedziała, o co chodzi. Dziwne tylko, że nie czuła się ani trochę zagrożona.

8.

Chociaż był to dopiero ósmy dzień Billy'ego T. na nowym stanowisku śledczego, jego pokój już wyglądał jak chlew. Papiery walały się wszędzie. Ważne dokumenty zmieszały się z bezsensownymi gryzmołami albo starymi gazetami. Na podłodze przy drzwiach stał rząd butelek po coli; co najmniej trzy z nich przewracały się za każdym razem, kiedy ktoś wchodził. Nad drzwiami wisiał miniaturowy kosz do koszykówki, a na środku podłogi leżały dwie pomarańczowe piłki z pianki. Na ścianie naprzeciwko biurka Billy T. umieścił tablicę, do której zszywaczem przytwierdził zdjęcia czterech chłopców. Można powiedzieć, że poza nimi pokój był wolny od wszelkich pozorów przytulności. Oknom przydałoby się też umycie, ale na to Billy T. nie mógł już nic poradzić.

– Właściwie nie rozumiem, co my robimy – poskarżył się Hanne Wilhelmsen, której jakimś cudem udało się nie przewrócić butelek ani na nic nie nadepnąć, zanim usiadła. – Sprawa niby jest rozwiązana... ale jakoś tak kompletnie bez smaku. Ładnie, prosto i nudno: rozwodnik z problemami finansowymi podbiera pieniądze z kasy, kiedy zostaje nakryty, zabija szefową, a potem z żalu i rozpaczycy podcina sobie żyły...

Sama mogłaby tak powiedzieć. Kompletnie bez smaku. Maren Kalsvik zeznawała tego samego dnia rano. Załamana, w poczuciu winy zdała relację z malwersacji, jakich dopuścił się jej kolega. Odkryła je przed Bożym Narodzeniem i obiecała, że będzie milczeć, jeśli Terje uporządkuje wszystko do Wielkanocy. Agnes jednak dowiedziała się szybciej. Nie, Maren nie rozmawiała z kierowniczką, ale zrozumiała, że Agnes się domyśliła. Terje przyznał, że był u niej w pokoju. Twierdził, że chciał tylko znaleźć jakieś dokumenty, ale okłamywał ją przez cały czas, więc właściwie nie miała powodów, by mu wierzyć. Policja tym bardziej ich nie miała. A jednak. To nie mogło być takie proste.

– Brakuje mi listu pożegnalnego – stwierdziła Hanne zamyślona.

Podniosła z podłogi jedną z piłek, wycelowała w kosz nad drzwiami, rzuciła ją miękkim ruchem i trafiła. Piłka znieruchomiała na podłodze. Hanne na siedząco wyciągnęła po nią rękę i spróbowała jeszcze raz. Kolejne dwa punkty.

– O rany, dobra jesteś!

– Przecież wiesz, że byłam w Stanach.

Billy T. chwycił drugą piłkę i też rzucił. Na moment zatrzymała się na obręczy i powoli przechyliła we właściwą stronę.

– *Two points.* – Hanne rzuciła po raz trzeci. – *Yes! Henny Wilhelmson leads by four*

*points!*³

Billy T. ze śmiechem stanął przy samym oknie, jak najdalej od kosza. Przez kilka sekund celował, kołysząc się na ugiętych nogach. W końcu pomarańczowa piłka poszybowała w stronę i obręczy, uderzyła w tablicę i upadła na podłogę, nawet nie zbliżając się do celu.

– Wygrałam! – Hanne złapała obie piłki i wrzuciła je pod krzesło, uniemożliwiając Billy’emu T. dalszą rozgrywkę. – Naprawdę brakuje mi listu pożegnalnego.

– Dlaczego? Uważasz, że...

– Nie, wcale tak nie uważam. Nie przypuszczam, żeby chodziło o kolejne zabójstwo. Ale nie wolno nam odrzucać żadnej ewentualności.

Wymienili spojrzenia i wybuchnęli śmiechem.

– No dobrze – powiedział w końcu Billy T. – Byłoby jednak cholernie miło stwierdzić, że to Terje Welby zabił Agnes. Taka trudna sprawa rozwiązana w ciągu tygodnia! Byłoby się czym pochwalić. Gotowi do nowych wyzwań? Do wielkich emocjonujących wyzwań?

– Wcale nie powiedziałam, że tak nie jest. Bardzo możliwe, że to Welby. Najprawdopodobniej to on. Ale coś mi się tu nie zgadza. Takie mam po prostu wrażenie. I jeśli to rzeczywiście on zabił Agnes Vestavik, muszę mieć jakieś lepsze dowody oprócz tego, że podbierał pieniądze z kasy, a potem popełnił samobójstwo. Jego opinia jest już i tak mocno nadszarpnięta. Nie musimy dodawać do tego jeszcze niesprawiedliwego zarzutu zabójstwa.

Billy T. wiedział, że przeczucia Hanne Wilhelmsen powinien traktować poważnie, zwłaszcza gdy pokrywały się z jego przeczuciami.

– No dobrze, ale co dalej? – spytał zrezygowany. – Wracamy do punktu wyjścia?

– Nie całkiem. Ale mamy jeszcze sporo rzeczy do zrobienia. Naprawdę sporo.

Poświęcili pół godziny na podsumowanie. Przede wszystkim mogli się spodziewać nowych informacji od techników. Poza tym był też mąż. I coś w rodzaju kochanka, który być może poczuł się odrzucony. I silny jak niedźwiedź dzieciak, krążący nie wiadomo gdzie. I jeszcze ktoś, kto sporo chapnął z konta zamordowanej. Albo komu sama dała te pieniądze. I jedna, i druga ewentualność była interesująca. Dysponowali też przesłuchaniami kilkorga pracowników domu dziecka, które do tej pory ledwie przejrżeli. Tone-Marit i Erik zapewniali wprawdzie, że nie ma w nich nic interesującego, ale przynajmniej Billy T. powinien się z nimi bliżej zapoznać. Czwórka pracowników ośrodka nawet nie próbowała zapewnić sobie alibi. Cathrine, Christian, Synnøve Danielsen i Maren Kalsvik mieszkali sami i byli sami w domu. Alibi pozostałych też jeszcze nie sprawdzili porządnie.

³ Hanne Wilhelmsen prowadzi czterema punktami.

– Poza tym musimy się przyjrzeć Birgitte Håkonsen – powiedziała Hanne na koniec i poczuła lekki niepokój. – Bez wątpienia nienawdziła Agnes.

– Skąd wiesz? – Billy T. przerzucał kopie akt sprawy i nie znajdował w nich nic na temat matki Olava.

– Później ci powiem – zbyła go Hanne. – W każdym razie nie można jej wykluczyć.

– Mnie się to wydaje naciągane – mruknął Billy T., ale zanotował sobie coś na kartce, którą wyłowił z bałaganu na biurku.

– I jeszcze jedno. – Hanne wstała z krzesła i sięgnęła po piłkę. Ustawiła się tam, gdzie Billy T. wcześniej, przy samym oknie, i oceniając odległość do kosza, spytała: – Ten numer do Diakonackiej Wyższej Szkoły Pracy Socjalnej. Sprawdziłeś, o co chodziło?

Prawą ręką zatoczyła łuk i puściła piłkę w momencie, gdy ręka była prawie całkiem wyprostowana. Piłka powoli poszybowała w powietrzu, musnęła sufit i wpadła prosto do kosza.

– Pogramy sobie któregoś dnia? – spytał Billy T. zachwycony.

– Sprawdziłeś ten numer?

– Nie, nie zdążyłem.

– Wobec tego sama się tym zajmę. – Znienacka rzuciła mu piłkę. – Ty musisz poćwiczyć.

Tone-Marit była bardzo z siebie zadowolona i miała ku temu powody. W zapale obeszła całą komendę, szukając Hanne Wilhelmsen, ale pani komisarz przepadła jak kamień w wodę. Radości Tone-Marit nic jednak nie mogło zmącić. Skierowała się więc do Billy’ego T., mimo że w jego obecności zawsze czuła się trochę niepewnie.

– Co znowu? – spytał ze złością, unosząc głowę znad morza papierów na biurku.

– Dowiedziałam się, kto zrealizował te czeki.

Ucieszyła się, widząc, jak irytację na twarzy kolegi zastępują ciekawość i podniecenie.

– Cholera, super – powiedział głośno. – Kto to był? Bolejący wdowiec? Pokaż!

Już wyciągał rękę po teczkę z dokumentami, ale młodzianka policjantka przycisnęła ją do piersi i usiadła.

– Nie. Ale to był mężczyzna. Nazywa się... – już miała triumfalnym gestem położyć teczkę przed starszym kolegą, ale papiery rozsypały się po podłodze. Zaczerwieniła się i

zaczęła je zbierać z rekordową prędkością. – Eivind Hasie. Tak się nazywa.

– Eivind Hasie? Jest na którejś z naszych list?

– Nie, na razie nie. Sprawdziłam wszystkie możliwe rejestry. Urodzony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, niekarany, mieszka na Furuset, a pracuje w jakiejś firmie na Grønland.

– Na Grønland? – zaśmiał się Billy T. – Ściągnij go natychmiast! Zadzwoń i powiedz, że to ultra pilna sprawa, którą po prostu musimy sprawdzić. Sprowadź go tutaj. Kiedy te czeki zostały zrealizowane?

– Dwa dni przed zabójstwem. – Teraz i Tone-Marit się uśmiechała.

– No, proszę, proszę. Pogadamy sobie z Eivindem Hasłem, mała?

Sprowadzenie czterdziestokilkuletniego mężczyzny z jego biura na Grønland do budynku policji położonego kilkaset metrów dalej na tej samej ulicy zajęło niespełna pół godziny. Eivind Hasie sprawiał wrażenie gotowego do współpracy, ale zdziwionego. Pośród bałaganu panującego w pokoju Billy’ego T. trudno było stwierdzić, czy jest niepewny, czy zirytowany.

– O co właściwie chodzi?

– Wszystko w swoim czasie – odparł Billy T. i zażądał personaliów. – Przede wszystkim – powiedział po chwili najbardziej neutralnym tonem, na jaki w ogóle było go w tym momencie stać – proszę wyjaśnić, co pana łączy z Agnes Vestavik.

Mężczyzna zmienił pozycję na krześle, wyraźnie spłoszony surowym wzrokiem śledczego.

– Agnes Vestavik? Nie znam takiej osoby: Agnes Vestavik?

Nagle jakby coś zaczął kojarzyć. Rumieniec wypełził mu na twarz, a po chwili koniuszki uszu, niezwykle duże i mięsiste, przybrały barwę świateł drogowych.

– Chwileczkę. Czy to nie ta kobieta, którą zabito w domu opieki? Czytałem o tym w gazecie.

– W domu dziecka. To był dom dziecka, a w gazetach pisali o tym bardzo mało. Uważnie pan czyta prasę?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Nigdy pan jej nie poznał?

Eivind Hasie sprawiał teraz wrażenie wystraszonego.

– Proszę mi wyjaśnić, o co właściwie chodzi. Dlaczego tu jestem?

Teraz to Billy T. nie odpowiedział. Siedział tylko, potężny, z rękami założonymi na piersi i przenikliwie wpatrywał się w wezwanego.

– Niech pan posłucha. – Eivindowi Haslemu zadrżał głos. – Nie mam zielonego pojęcia, kim jest ta kobieta. Jej nazwisko ledwie mi mignęło w gazecie i chyba mam prawo wiedzieć, czego pan ode mnie chce!

– Proszę mi pokazać prawo jazdy.

– Prawo jazdy? Po co panu?

– Niech pan przestanie zadawać mi pytanie za każdym razem, gdy ja je panu zadam.

Billy T. poderwał się gwałtownie. Znowu zadziałało – mężczyzna się skulił i zaraz wyciągnął z kieszeni elegancki portfel z ciemnoczerwonej skóry. Szukał w nim i szukał.

– Nie mam go tutaj – mruknął w końcu. – Może zostawiłem w samochodzie.

– Aha – roześmiał się Billy T. – Zgubił pan prawo jazdy. I jak sędzę, zorientował się pan dopiero w tej chwili.

– Przecież prawa jazdy nie ogląda się na co dzień! Nie pamiętam, kiedy je ostatnio widziałem. Zawsze trzymam je tutaj.

Tak jakby to miało jakąś wartość dowodową, znowu wyjął portfel, rozłożył go niemal obscenicznie i wskazał na jedną z przegródek.

– Tutaj.

Billy T. nawet na niego nie spojrzał. Rozpoczął natomiast dwugodzinne przesłuchanie, tak nieprzyjemne, że Eivind Hasie zaczął grozić wystąpieniem o odszkodowanie.

– Uważam, że powinien pan to zrobić, panie Hasie. Niech pan napisze skargę. To się ostatnio stało ulubionym zajęciem ludności. Tylko musi pan się cholernie pospieszyć, bo zanim się pan zorientuje, będzie się pan czepiał krat w areszcie od środka.

Takie groźby były bardzo nieprofesjonalne i niemądre. Billy T. miał ochotę odgryźć sobie język, ale to wszystko ze złości, że w ciągu dwóch godzin nie zbliżył się nawet o krok do odpowiedzi na pytanie, kto zabił Agnes Vestavik. Eivind Hasie mógł odejść. W całym zachodnim świecie nie znalazłby się prawnik, który ośmieliłby się podpisać nakaz zatrzymania go bodaj na dwadzieścia cztery godziny.

Nie pokazał prawa jazdy. Nie miał pojęcia ani o Agnes, ani o czekach. Podpis na blankietach uznał za podobny, ale dość wiarygodnie wskazał kilka różnic we własnym i tym – według niego – sfałszowanym. I w swoim uporze się nie poddawał. Musieli go zwolnić.

A kiedy Billy T. prawie zmasakrował interkom, i tak nigdzie nie znajdując Hanne,

uznał ten dzień za doszczętnie zmarnowany.

Kaplica była wypełniona więcej niż w połowie, a zgromadzeni siedzieli w uroczystym milczeniu, odpowiednim do sytuacji. Większość żałobników postanowiła zająć miejsca z tyłu, jakby chciała zachować dystans do tragicznych okoliczności śmierci Agnes Vestavik. W pierwszej ławce siedział jej mąż, dzieci i jeszcze cztery nieznajome osoby, zapewne bliscy krewni. Dwaj dorastający chłopcy byli w nowych garniturach i wyraźnie z tego powodu cierpieli, a dziewczynka nie mogła usiedzieć spokojnie i w końcu uciekła z kolan ojca. Zdażyła dojść aż do białej, udekorowanej kwiatami trumny, zanim starszy z braci ją dopadł i przy wtórze głośnych protestów odbijających się echem od nagich ścian zaciągnął z powrotem na miejsce.

Za rodziną pozostało pięć pustych rzędów. Dalej siedziało w rozproszeniu kilku żałobników ze spuszczoneymi głowami, a tylne rzędy znów były pełne. Kościelny ściszym głosem próbował kogoś namówić do przesunięcia się do przodu, ale odmawiano mu szepem, kręcąc głowami.

Hanne Wilhelmsen stała przy drzwiach pod występem, na którym, jak przypuszczała, znajdują się organy. Pociągła szara twarz kościelnego była wprost idealna do tej pracy. Mężczyzna próbował i ją nakłonić, żeby przeszła bliżej, ale bez słowa machnęła tylko ręką.

Na przeciwległej ścianie zamiast tradycyjnego ołtarza umieszczono wielką instalację, tak nowoczesną, że Hanne dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że symbolizuje zmartwychwstanie Chrystusa. Nagi prosty krzyż stał przed olbrzymim obrazem, a na średniej wielkości stole nakrytym białym obrusem postawiono kolosalną gromnicę w srebrnym świeczniku. Wieki minęły, odkąd Hanne Wilhelmsen ostatni raz zbliżyła się do domu Bożego, i nie bardzo umiała nazwać swoje odczucia. Panująca tu cisza, potężna figura Chrystusa wyciągająca ręce ku Ojcu w niebie, trumna z kwiatami, malutka szczęśliwa dziewczynka próbująca oderwać się od całej tej sytuacji, ludzie ubrani na czarno i na szaro – wszystko to wyrażało szacunek dla śmierci.

Z bocznych drzwi przy ołtarzu wyszła pani pastor. W każdym razie Hanne uznała, że to pastor, mimo że sutannę miała białą, ozdobioną szeroką, kolorową stulą, sięgającą jej aż za kolana. Hanne nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała osobę duchowną w oficjalnym stroju. Jedynie mgliście przypominała sobie starego człowieka w czerni z rurkowanym kołnierzem.

Przyszła większość pracowników domu dziecka. Hanne niektórych rozpoznała. Dostrzegła też starsze dzieci: Raymonda, Glenna i Anitę. Dziewczynka była w sukience. Cały czas ją obciągała i wyraźnie czuła się nieswojo. Glenn i Raymond siedzieli obok siebie, poszeptując. Gdy Maren Kalsvik uciszyła ich, od razu się wyprostowali.

Nie było zwyczajnej kazalnicy. Pani pastor z jasnymi włosami związanymi w mało nabożny koński ogon stanęła plecami do zgromadzonych i zaczęła się modlić do dosłownie przybitego gwoździami Chrystusa. Hanne rozbolały już nogi, przemknęła więc do ostatniej ławki i usiadła na samym brzeżku przy środkowym przejściu obok starszej pani w mundurze Armii Zbawienia, która sprawiała wrażenie kompletnie załamanej. Zaszlochana śpiewała psalmy, nawet nie zerkając do książeczki.

Po przeciwnej stronie nawy siedział Kochanek – tak Hanne nazywała go w myślach. Zdumiała ją jego obecność. Przez chwilę pomyślała nawet, że się pomyliła. Widziała go przecież tylko przez moment, kiedy szedł na przesłuchanie do Billy’ego T. Ale to był on, nie miała co do tego wątpliwości. Siedział pod ścianą, w pewnym oddaleniu od wszystkich, trudno jej więc było przyglądać mu się uważnie, bo musiałaby się mocno wychylić i obrócić, co wydawało się bardzo nie na miejscu, zważywszy, że pani pastor zaczęła już mowę, w której przedstawiła Agnes Vestavik jako kogoś pośredniego między Matką Teresą a norweską misjonarką siostrą Annie. Kobieta z Armii Zbawienia szlochała i kiwała głową przy każdym słowie, wyraźnie zgadzając się z duchowną, że Bóg musiał widzieć jakiś sens w tym, by małe rudowłosa dziewczynka, biegająca na środku kaplicy, dorastała bez matki.

Wreszcie pastor skończyła. Jeden z chłopców, ten starszy, wstał i ze wzrokiem wbitym w posadzkę skierował się w stronę trumny. W rękę trzymał różę, która już spuszczała głowę z braku wody, a może również próbowała okazać szacunek zmarłej. Chłopiec podszedł do mikrofonu i, o dziwo, zdołał, jękając się, wygłosić krótką mowę. Wypowiadał zdania niezwykle brzmiące w ustach dziewiętnastolatka, ale to ostatnie pożegnanie syna z matką wzruszyło Hanne. Zakończył, kładąc różę na trumnie, i po chwili milczenia wrócił na swoje miejsce. Zanim usiadł, ojciec mocno go objął.

Gdy Hanne Wilhelmsen zrozumiała, że za chwilę najbliżsi zmarłej przejdą środkiem, wstała szybko i niemal zgięta wpół obesła ławkę, znajdując schronienie pod ścianą, żeby nie być pierwszą osobą, jaka ich minie przy wyjściu.

Cała rodzina stanęła przy drzwiach. Ojciec wziął Amandę na ręce; dziewczynka wydawała się teraz uspokojona myślą o bliskim powrocie do domu. Uczestnicy ceremonii po kolei w milczeniu mijali rodzinę. Dlaczego byli tak skrupowani? Czy to bliskość śmierci nie pozwalała spojrzeć w oczy krewnym zmarłej? Czy też po prostu uznali, że matka tak

malutkiego dziecka nie powinna dać się tak nieprzyzwoicie zamordować? Hanne czuła się okropnie. Próbowała odzyskać nastrój, jaki ogarnął ją przed przemową pani pastor, zanim wszyscy zostali zmuszeni do konfrontacji z tym, czego tak kulturalnie usiłowali unikać, zajmując miejsca w ostatnich ławkach.

Prawie wszyscy już wyszli. Przy drzwiach została jedynie Maren Kalsvik i inne osoby z domu dziecka. Hanne podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu. Maren tak drgnęła, że dosłownie straciła jej dłoń. Odwróciła się, przyciskając rękę do serca i z ustami otwartymi z przerażenia.

– Boże! Ależ mnie pani przestraszyła! – powiedziała trochę za głośno i aż się skuliła, uświadamiając sobie, że naruszyła drugie przykazanie, i to w domu Bożym.

– Przepraszam – mruknęła Hanne. – Może pani na mnie zaczekać przed kaplicą? Chciałabym zamienić kilka słów.

Maren Kalsvik nie wyglądała na szczególnie uradowaną, ale krótko kiwnęła głową, objęła Anitę i podeszła do pogrążonej w żałobie rodziny. Długo i serdecznie ścisnęła wdowca, Amandę pocałowała w policzek, a ponieważ chłopcy się odsunęli, uszanowała to i tylko podała im rękę.

Hanne wyszła na schody i akurat zobaczyła, jak Kochanek wsiada do srebrnego mercedesa z zielonymi tablicami, a więc z kratką. Nie obejrzał się nawet, tylko miękko wrzucił bieg i zaczął powoli sunąć po nierównej drodze do odległej o kilkaset metrów bramy. Biedny człowiek, pomyślała Hanne, patrząc w niebo.

Rozpogodziło się i ochłodziło. Blade słońce świeciło bez entuzjazmu na plac przed kaplicą, nie mając do zaproponowania zbyt wiele ciepła. Zbici w grupki ludzie prowadzili ściszone rozmowy. Hanne Wilhelmsen podeszła do wdowca.

– Pani też tu jest? – spytał bezbarwnym głosem.

– Owszem, jak pan widzi. – Uśmiechnęła się lekko.

Synowie już przeszli na parking i ojciec pozwolił Amandzie pobiec za nimi. Obserwował jednak córeczkę, dopóki nie dołączyła do braci. Dopiero wtedy spojrzał na policjantkę.

– Zawsze pani chodzi na pogrzeby ofiar zabójstw, pani komisarz? – zapytał chłodno z wyraźnym wyrzutem.

– Nie. Ale też i to nie było zwykłe zabójstwo.

– Nie? A czym się różniło od innych?

Jego mina nie wskazywała na to, że liczył na odpowiedź. Dyskretnie podciągnął rękaw garnituru, a Hanne zobaczyła kosztowny zegarek.

– Nie musimy teraz o tym rozmawiać – oznajmiła i już miała podejść do Maren Kalsvik, czekającej na nią piętnaście metrów dalej i niecierpliwie się w nich wpatrującej, gdy Vestavik złapał ją za rękę.

– Chwileczkę – powiedział. Gdy się zatrzymała, natychmiast ją puścił. – Zamierzałem do pani zadzwonić, ale... tyle było spraw do załatwienia. Tyle kwestii praktycznych. Chłopcy, Amanda...

Wyprostował się i głęboko odetchnął. Słońce padło na jego twarz. Było w nim coś nieskończenie smutnego, w tym idealnym garniturze, świeżo ostrzyżonych włosach przytrzymywanych na miejscu lakierem, jakby jedyną rzeczą, której wciąż mógł się trzymać, był odpowiedni wygląd.

– Ten nóż – powiedział w końcu. – Ten, którym zabito Agnes. Czy to był zwykły kuchenny nóż? Taki uniwersalny? Chyba tak się go nazywa.

– Owszem – potwierdziła nieco zdumiona Hanne. – Po prostu zwykły duży nóż do mięsa. Dlaczego pan pyta?

– To mógł być nasz nóż.

– Słucham?

– To mógł być nasz nóż. Tamtego wieczoru, kiedy Agnes została... kiedy zginęła, rano zabrała do domu dziecka cztery noże z domu.

– Co takiego? – Hanne podniosła głos, całkiem zapominając, że jest na uroczystości pogrzebowej.

– Spokojnie. – Vestavik uciszył ją gestem. – W domu dziecka mają profesjonalną elektryczną oselkę. Agnes od czasu do czasu zanosila własne... to znaczy nasze noże do naostrzenia. Tamtego dnia rano wzięła z domu cztery, a może nawet pięć. Pamiętam, bo dwa jeszcze myła przed wyjściem i lekko zacięła się w palec. Musiałem szukać plastra.

– Dlaczego nie powiedział pan tego wcześniej?

– Bo mi to wyleciało z głowy. Byłem pewien, że przyniosła je z powrotem po południu. Przecież zwykle ich tam nie zostawiała. I... – urwał, widząc, że ludzie stojący dookoła przestali rozmawiać i z uwagą się im przyglądają. Pociągnął policjantkę bliżej ściany kaplicy. – Szczerze mówiąc, po śmierci Agnes domem zajęła się teściowa. Przyjechała od razu. Dopiero wczoraj wieczorem, kiedy skarżyła się, że tak mało mamy narzędzi kuchennych, uświadomiłem sobie, co się mogło stać. Wydaje mi się, że to były cztery noże, a może nawet, jak mówiłem, pięć.

– Z Ikei?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, gdzie żona kupuje... kupowała noże.

– Ale zakładam, że rozpoznalby go pan, gdyby go pan zobaczył?

Był zbyt zmęczony, by wychwycić złośliwy ton.

– Przypuszczam, że tak.

– Wobec tego liczę, że stawi się pan jutro w komendzie o dziewiątej rano. Punktualnie.

A poza wszystkim głębokie wyrazy współczucia. – Odwróciła się na pięcie.

Był tylko jeden powód, dla którego nie zabrała tego człowieka ze sobą od razu. I wcale nie był to pogrzeb. Pomyślała o trojgu dzieciach, które właśnie pochowały matkę.

Maren Kalsvik miała sine wargi i szczykała zębami. Dzieci odesłała już do samochodu, dużego niebieskiego busa.

– O co chodzi? – spytała, z trudem wymawiając słowa.

– To jednak nie jest aż takie pilne – oświadczyła Hanne. – Ale jutro musimy z panią porozmawiać. Czy o dwunastej pani pasuje?

– Nie pasuje mi tak samo jak o każdej innej porze. – Maren wzruszyła ramionami. – U pani w biurze?

Hanne Wilhelmsen skinęła głową i włożyła kaptur budrysówki. Pobiegła do służbowego samochodu, głośno przeklinając.

Billy’ego T. nigdzie nie można było znaleźć. Komuś wydawało się, że widział go wychodzącego pół godziny temu, ale nie był pewien. Kilka osób mówiło, że on też jej szukał, wydziałowa sekretarka z rezygnacją rozłożyła ręce, skarżąc się, że nikt nie widzi sensu informowania jej, dokąd się wybiera.

– A nam się za to dostaje – dokończyła ze skargą, czekając na odrobinę współczucia ze strony komisarz Wilhelmsen.

Ale pani komisarz była zbyt zajęta własnymi myślami. Najpierw poszła do pokoju Billy’ego T., żeby odszukać kopię kartki z numerem telefonu, przyklejonej do notatnika Agnes Vestavik. Niestety znalezienie czegokolwiek w tym bałaganie okazało się beznadziejne. Po czterech czy pięciu minutach zrezygnowała, powtarzając sobie, iż wyraźnie słyszała, że to telefon do Diakonackiej Wyższej Szkoły Pracy Socjalnej.

Wróciła do swojego pokoju i wzięła książkę telefoniczną. Najbliższą tej nazwy instytucją była Fundacja Diakonacka, a przy niej mnóstwo numerów: do szkoły pielęgniarek środowiskowych, do szpitala, do czegoś, co nazwano centrum międzynarodowym, i do

siedziby samej fundacji. Był też numer do Diakonackiego Centrum Studiów Wyższych. Hanne zadzwoniła, nie bardzo wiedząc, o co chce zapytać.

Wieczność minęła, zanim ktoś odebrał. Ale w końcu odezwał się obojętny, mechaniczny głos, Hanne przez moment pomyślała, że to automatyczna sekretarka:

– Centrum Studiów Wyższych. Słucham?

Z braku innego pomysłu poprosiła o połączenie z sekretariatem rektora. Tam odebrała kobieta o radosnym i słonecznym głosie, jaskrawo kontrastującym z poprzednim.

Hanne przedstawiła się i próbowała wyjaśnić, w jakim celu dzwoni, jednocześnie zbyt wiele nie zdradzając. Sekretarka okazała się tak bystra, jak wskazywał na to jej głos, i natychmiast potwierdziła, że owszem, Agnes Vestavik, ta biedaczka, dzwoniła kilka razy w ubiegłym tygodniu albo może tydzień wcześniej. W każdym razie sekretarka doskonale pamiętała jej telefony. Wszyscy tu byli głęboko wstrząśnięci, kiedy przeczytali o zabójstwie. A jak sobie radzi rodzina?

Akurat w tej kwestii Hanne mogła ją uspokoić. Zaraz też spytała, w jakiej sprawie dzwoniła Agnes. W tym niestety kobieta nie potrafiła jej pomóc, ale pamiętała, że raz spytała o kogoś z wydziału egzaminów końcowych, a ponieważ niczego takiego nie ma, poprosiła o rozmowę z rektorem. To chyba było za pierwszym razem. Ale o czym rozmawiali, tego niestety nie wiedziała. Możliwe, że rektor odesłał ją do kogoś innego.

Hanne poprosiła zatem o połączenie z rektorem, lecz sekretarka z przykrością musiała ją poinformować, że wyjechał na seminarium do Danii i wraca dopiero w piątek. Hanne usiłowała nie okazać złości, jaka ją ogarnęła, bo przecież Bogu ducha winna kobieta starała się jej pomóc. Odrzuciła uprzejmą propozycję odnalezienia rektora w Danii, ale zanim odłożyła słuchawkę, poprosiła jeszcze o jak najszybsze sprawdzenie, czy Agnes Vestavik kiedykolwiek była zatrudniona w Wyższej Szkole Pracy Socjalnej. Sekretarka obiecała jej to z radością i zaszczębiotała na pożegnanie, notując nazwisko i numer telefonu Hanne.

Po odłożeniu słuchawki Hanne wciąż miała w uszach jej wesoły głos. Rozmowa z takimi ludźmi poprawiała humor. Ale tylko na kilka chwil. Musiała znaleźć Billy'ego T.

Olav znów nie mógł usiedzieć w miejscu. Wprawdzie spokojnie jadł i spał, ale to nie trwało długo. Problemy miał zwłaszcza między posiłkami. Kupiła mu trochę komiksów, ale mógł się na nich skupić najwyżej na kilka minut. Największy, tłumiący jego nadaktywność

strach najwyraźniej ustąpił i chłopiec przestał się jej słuchać.

– Jeśli wyjdiesz na dwór, to cię złapią. Przecież jesteś poszukiwany. W telewizji, radiu i w gazetach.

Uśmiechnął się jak zwykle dziwnie.

– Tak jak na filmie. Można dostać nagrodę?

– Nie, Olav, nie wyznaczono nagrody. Nie jesteś poszukiwany dlatego, że zrobiłeś coś złego. Chcą, żebyś wrócił do tego domu dziecka.

Zachmurzył się.

– Za cholere! – oświadczył. – Wolę umrzeć, niż wrócić do tej dziury.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, niepewnego i zmęczonego. Olav jednak go zauważył i wpadł we wściekłość.

– Śmiejesz się, krowo! Ale ja ci powiem jedno: nie wrócę tam. Rozumiesz?!

Rozpaczliwie próbowała go uciszyć, pokazując na ścianę dzielącą ich od sąsiadów, ale w ogóle go to nie obeszło. Nie miał już jednak nic do powiedzenia. Poszedł do kuchni i zaczął wysuwać wszystkie szuflady. Wyciągał je całkiem i wysypywał zawartość na podłogę, przy każdej wrzeszcząc.

Wiedziała, że to minie. Nie pozostawało jej nic innego, jak siedzieć nieruchomo z zamkniętymi oczami i czekać. Z oczu płynęły łzy. Można tylko czekać. Nic nie mówić, nic nie robić i za wszelką cenę go nie dotykać. To niedługo, naprawdę niedługo minie.

Opróżnienie wszystkich szuflad trochę potrwało. Nie widziała go, ale po dźwiękach się zorientowała, że kopniakami rozrzuca kuchenne przybory. Hałas był okropny. Sąsiedzi musieli go usłyszeć. Ledwie zaczęła myśleć nad znalezieniem jakiegoś wytłumaczenia, kiedy rozległ się dzwonek.

Olav natychmiast się uspokoił. Stał nagle w drzwiach kuchni, a z jego oczu znów bił strach. Patrzył na nią, ale nie prosił o pomoc, tylko rozkazywał wstrzymać się z otwieraniem, dopóki się nie schowa. Bez słowa zniknął w jej sypialni. Na palcach poszła za nim i starannie zamknęła drzwi, po drodze jeszcze ocierając oczy.

To była sąsiadka z dołu, starsza pani, która wiedziała prawie o wszystkim, co się dzieje w bloku. Nic dziwnego, przecież przez cały czas albo siedziała w oknie kuchni, albo człapała na skargę do tych, którzy się kłócili, za głośno słuchali muzyki lub nie przestrzegali kolejności korzystania z pralni w piwnicy i nie myli schodów w wyznaczonym terminie.

– Co za okropne hałasy! – oświadczyła podejrzliwie. – Pani syn wrócił?

Wyciągnęła chudą szyję, żeby zajrzeć do mieszkania. Birgitte Håkonsen starała się zrobić szersza i wyższa.

– Nie, nie wrócił. To mnie coś upadło na podłogę. Przepraszam.

– Upadało na podłogę prawie przez pół godziny – zauważyła złośliwie staruszka. – Myśli pani, że w to uwierzę? Ma pani gości?

Wyciągnęła szyję jeszcze bardziej, a ponieważ była wyższa od matki Olava, dostrzegła biały prostokąt na końcu ciemnego korytarza. Nic jednak jej nie zdradził.

– Nie, nie mam gości. Jestem sama. I przepraszam za ten hałas. Już się nie powtórzy.

Zamykając drzwi przed nosem sąsiadki, usłyszała jeszcze groźby o wezwaniu policji. Przez moment się zawahała, ale w końcu zatrzasnęła je i założyła nawet łańcuch.

Olav siedział na jej łóżku po turecku – jak na tak grubego chłopca był zdumiewająco giętki. Teraz bardziej niż kiedykolwiek przypominał Buddę. Matka patrzyła na niego bez słowa. W końcu jęknął, prawie cicho zawył, wyprostował ręce i odwrócił twarz do sufitu.

– Co ja mam zrobić? – rzucił w powietrze.

Nie odpowiedziała, bo nie jej zadawał to pytanie. Poszła do kuchni posprzątać najciszej, jak się dało.

Nikt nie chciał mnie słuchać, gdy mówiłam o MBD. Poruszyłam temat najpierw w przedszkolu, ale tylko się uśmiechali, mówiąc, że na pewno z tego wyrośnie. Znów przyszła mi do głowy myśl o rozmowie z Urzędem Ochrony Praw Dziecka, ale trzeci raz już bym się im nie wykręciła.

Wreszcie zaczął chodzić do szkoły. To się musiało źle skończyć. Już pierwszego dnia w obecności wszystkich rodziców wstał z ławki w połowie pierwszej lekcji i wyszedł z klasy. Nauczycielka z dziwną miną wzrokiem kazała mi interweniować, a ja wiedziałam, że jeśli ktoś spróbuje go zatrzymać, będzie piekło. Wytłumaczyłam więc, że musiał iść do ubikacji, i wymyśliłam naprędce infekcję dróg moczowych. Zaraz potem wymknęłam się, żeby go poszukać. Nigdzie go nie było. Później okazało się, że poszedł do innej klasy i oświadczył, że woli chodzić tam.

Nie był głupi. Przeciwnie, miał głowę do matematyki. A później do angielskiego. Naprawdę świetnie radził sobie z tym językiem, ale tylko ustnie. Mówili, że pewnie dużo siedzi przed telewizorem. Typowe. Nawet kiedy był w czymś dobry, kiedy coś opanował, potrafili obrócić to w zarzut, mój błąd.

Jeszcze przed ukończeniem pierwszej klasy stał się kozłem ofiarnym całej szkoły.

Dzieci z młodszych klas go unikały, a te z piątej i szóstej dokuczały mu i namawiały do niewiarygodnych rzeczy. W święto 17 Maja udało mu się opuścić flagę na szkolnym maszcie, podczas gdy wszyscy słuchali wystąpienia ślicznej jasnowłosej piątoklasistki, która mówiła o wolności i niepodległości, o konstytucji i pochodzie dzieci. Nagle oniemiała, wskazując na wielką flagę opuszczoną do połowy masztu i pociętą na powiewające na wietrze pasy. Przy maszcie Olav z radością wymachiwał nożyczkami, triumfalnie spoglądając na stojącą z tyłu grupkę szóstoklasistów zgiętych wół ze śmiechu. Nie miałam siły na to patrzeć, po prostu wyszłam. Kilka godzin później wrócił do domu ze stoma koronami w garści. Wyjaśnił, że założył się z tymi dużymi chłopcami. Kiedy próbowałam mu tłumaczyć, że przecież mógłby dostać te pieniądze ode mnie, tylko patrzył zdumiony z tym swoim dziwnym uśmiechem, którego nigdy pewnie nie zrozumiem.

Początkowo zapraszano go na urodziny, przynajmniej w pierwszym roku. Zawsze wracał pogodny i zadowolony, ale ja właściwie nigdy się nie dowiedziałam, jak było. W końcu zaproszenia się urwały, a mnie serce się krajało, kiedy kilka razy stał w oknie i patrzył, jak dzieci z sąsiedztwa ruszają na przyjęcie, wystrojone, z prezentami pod pachą. Gdy jednak próbowałam zaproponować jakieś inne miłe zajęcie, odpychał mnie i włączał telewizor.

To była jedyna rzecz, która nie pasowała do MBD. Potrafił godzinami tkwić przed ekranem. Pochłaniał wszystko. Niewiarygodne, co zapamiętywał. I od małego ani trochę nie interesowała go telewizja dla dzieci, chociaż naprawdę starałam się go do niej przekonać. W drugiej klasie oglądał już wszystko. Taką samą przyjemność sprawiały mu filmy rysunkowe dla najmłodszych, jak wiadomości i filmy akcji. Wiedziałam, że nie wszystkie powinien oglądać, ale on jakby nigdy się nie bał. Tylko raz. Zamierzałam już iść spać, kiedy zaczął oglądać jakiś film i nie chciał się położyć. Próbowałam go skusić nagrodą, bo następnego dnia musiał iść do szkoły, ale nie było o tym mowy. Film nazywał się Obcy i o ile zdołałam się zorientować, główną rolę grała w nim kobieta. Pomyślałam więc, że to nie może być takie groźne, i poszłam spać.

Obudził mnie w środku nocy. Nie płakał, ale wyraźnie się bał. Spytał, czy może się położyć ze mną, a przecież nie spał w moim łóżku od maleńkości. Pozwoliłam mu się przytulić i objęłam go. Odepchnął moje ręce, ale akceptował bliskość. Nie spał prawie do rana.

Następnego dnia wszystko poszło w zapomnienie. Spytałam, co go tak przestraszyło, ale tylko się uśmiechał.

W szkole miał asystenta przez piętnaście godzin tygodniowo. Wprawdzie w pierwszej klasie i na początku drugiej dobrze sobie radził z większością przedmiotów, ale jego nadpobudliwość była tak duża, że zaczął wiele tracić. Asystent miał przede wszystkim skłonić

go do spokojnego siedzenia na lekcjach, lecz spędzał z nim również kilka godzin poza klasą.

Olav go lubił. To był młody chłopak, miły również dla mnie. Początkowo się go bałam, ale dużo się śmiał i przynajmniej sprawiał wrażenie, że też lubi syna. Czasami przychodził z Olavem do domu. Olav był wtedy nie do poznania. Mnie co prawda jak zwykle ignorował, ale kiedy asystent wydawał mu polecenia, był posłuszny i nie protestował.

Raz ten chłopak zadzwonił do mnie późnym wieczorem. Olav już się położył, bo miał gorączkę. Chyba ledwie zaczął chodzić do piątej klasy. Asystent spytał, czy nie czuję, że wyznaczanie Olavowi granic sprawia mi trudność. Uważał, że niezbyt dobrze sobie z nim radzę, tak się wyraził. Gdybym chciała, mógłby do mnie przyjść porozmawiać przed południem, kiedy nie ma lekcji z Olavem, a ja jestem sama w domu. Przyznał się, że skontaktował się z Urzędem Ochrony Praw Dziecka, a urzędnicy rozważają możliwość zaangażowania go jako kogoś w rodzaju konsultanta rodzinnego.

Urząd Ochrony Praw Dziecka, konsultant rodzinny. To było jak nóż wbity w serce. Asystent, który przychodził do mojego domu, jadł u mnie obiad, mierzwił mojemu synkowi włosy i był miły dla mnie... rozmawiał z Urzędem Ochrony Praw Dziecka. Po prostu odłożyłam słuchawkę.

Następnego dnia ci z urzędu stanęli w drzwiach.

Przed Billym T. stała półlitrowa, pokryta rosą szklanka zwieńczona pianą układającą się w prześliczny łuk. Hanne poprzestała na bezalkoholowym munkholmie, który wyglądał na nieprzyjemnie zwietrzały, a jego wierzchniej cienkiej białej warstwy nie można było nazwać pianą.

– Mamy do czynienia z zatajeniem ważnych informacji – powiedziała cicho, żeby nikt inny jej nie słyszał.

Usiedli przy stoliku na samym końcu, na podwyższeniu w głębi pubu. Bardziej pretensjonalny właściciel nazwałby je mezzanino; ale tutaj mówiło się o nim „katedra”.

– To rzeczywiście ma, łagodnie mówiąc, decydujące znaczenie – potwierdził Billy T. i zanurkował w szklance z piwem. – Głupio, że o to nie spytałem, kiedy go przesłuchiwałem.

Hanne nie skomentowała zaniedbania.

– To oznacza – ciągnęła – że według wszelkiego prawdopodobieństwa sprawca nie przyszedł z zamiarem zabicia Agnes. Ten nóż nie dawał mi spokoju. Trochę niezgrabna broń,

niezbyt pewna, nietypowa.

– Przecież sporo zabójstw popełnia się u nas z użyciem noża – zaprotestował Billy T.

– Owszem, ale to nie są zabójstwa z premedytacją. Nóż to... bójka w centrum w sobotnią noc, pijacka rozróżba, impreza w lokalu albo mocno zakrapiana wycieczka do domku w górach, podczas której ktoś nagle zaczyna się kłócić. A poza tym na ogół nożem zadaje się całe mnóstwo ciosów. Często też mamy rannego sprawcę.

– Uważasz więc, że ten człowiek przyszedł po coś zupełnie innego, a gdy sytuacja się zaostrzyła, sięgnął po nóż w zasadzie wiedziony impulsem? W braku czegoś lepszego?

– Właśnie. Właśnie tak myślę.

Na stoliku stanęło jedzenie. Hanne zamówiła sałatkę z kurczakiem, a Arka Noego była jedynym punktem w całym mieście, gdzie kurczaka w sałatce podawano na ciepło. Billy T. rzucił się na podwójny kebab. Przez kilka minut jedli w milczeniu. W końcu Hanne ze śmiechem odłożyła sztućce. Zerknęła na kolegę z boku i spytała:

– A co tam słyhać u tej dziewczyny, którą poznałeś na Kanarach?

Billy T. nie odpowiedział. Jadł dalej z takim samym entuzjazmem.

– Opalenizna ci blaknie. Z miłością jest tak samo?

Ukłuł ją w bok widelcem i odpowiedział z pełnymi ustami:

– Nie bądź prostacka. Nie chcę o tym mówić.

– Nie wygłupiaj się! Opowiadaj!

Czekała cierpliwie, aż Billy T. zje do końca. Wreszcie wytarł wąsy rękawem, dopił piwo, skinał ręką, że chce kolejne, i położył przed sobą na stoliku dłonie zaciśnięte w pięści.

– To nie było nic poważnego.

– Właśnie, że było. Jeszcze tydzień temu promieniałeś szczęściem.

– Było, ale nie jest.

Hanne zastanowiła się przez chwilę i spoważniała.

– O co chodzi, Billy T?

Wydawał się poirytowany i poświęcił niepotrzebnie dużo energii na nawiązanie kontaktu z kelnerem, który wcześniej nie zauważył jego zamówienia.

– Z czym?

– Z tobą i z dziewczynami.

Billy T. z żadną ze swoich dziewczyn nie wytrzymał na tyle długo, by chociaż pomyśleć o wspólnym zamieszkaniu, choć dorobił się z nimi czterech synów, każdego z inną. Ale wszystkich swoich chłopców bardzo kochał.

– Ja i dziewczyny to mieszanka wybuchowa!

Wreszcie dostał piwo i zaczął rysować serduszka na oszronionym szkle.

– Nie mogę znieść marudzenia – dodał w końcu.

– Marudzenia?

– Tak.

– Jakiego marudzenia?

– Babskiego. „Dlaczego nie weźmiesz pod uwagę i mnie?” Lubię robić to, na co mam ochotę. Jeśli jakaś dziewczyna chce się przyłączyć, to świetnie. Ale na ogół szybko się nudzi i wtedy zaczyna marudzić. A ja tego nie mogę wytrzymać.

– Jakaś trauma we wczesnym dzieciństwie – uśmiechnęła się Hanne.

– Na pewno.

– No dobrze, ale dlaczego... – urwała zawstydzona, a Billy T. nigdy się nie dowiedział, o co zamierzała spytać, bo sam nagle na coś wpadł.

Zapatrzył się gdzieś przed siebie i może po to, by uniknąć dalszych kłopotliwych pytań, wrócił do ostatnich informacji uzyskanych od wdowca.

– Gdzie się mogły podziać pozostałe noże?

– Jakie... – nie dokończyła, bo zrozumiała pytanie.

– Trzy albo cztery świeżo naostrzone noże. Rzeczywiście powinny gdzieś tam leżeć.

Czy zabójca mógł je zabrać ze sobą?

– Oczywiście, że mógł. Ale po co, na miłość boską, miałby to robić?

Hanne wpatrywała się w butelkę munkholma, ale w niczym jej to nie pomogło. Odwróciła się, słysząc początek czyjejś kłótni. W drzwiach trwała ostra dyskusja – dwaj bardzo zmęczeni panowie z parku koniecznie chcieli wejść do środka, a ciemnowłosa, śniady kelner jak najtaktowniej próbował ich od tego odwieść, za co został obrzucony gradem paskudnych rasistowskich wyzwisk. Wyglądało na to, że był do tego przyzwyczajony. W końcu odprawił pijaków.

– Chyba wiem! – zawołała Hanne nagle. – Jeśli mam rację, to naprawdę będziemy mogli zawęzić krąg poszukiwań. – Rozejrzała się i znów przywołała kelnera. – Mogłabym pożyczyć na chwilę z kuchni cztery noże? Tylko na chwilę. Chodzi o... zakład.

Kelner zrobił zdziwioną minę, ale wzruszył ramionami i minutę później spełnił jej prośbę. Hanne wstała i ułożyła noże na stole przy prawej ręce Billy'ego T.

– Załóżmy, że leżały właśnie z tej strony, wszystko jedno, zasada i tak będzie ta sama. Usiądź tak, jakbyś się koncentrował nad czymś, co masz przed sobą.

Billy T. spojrział na resztki jedzenia. Hanne stanęła za nim, złapała największy nóż, zamachnęła się i w zwolnionym tempie zasymulowała zadanie ciosu w plecy kolegi. Czubek

ukłuł go w plecy.

– Au!

Odwrócił się gwałtownie, próbując sięgnąć prawą ręką do bolącego punktu. W lokalu zapadła cisza. Goście przy innych stolikach z przerażeniem obserwowali tę scenę.

– Widziałeś? – spytała ożywiona Hanne, odkładając nóż. – Zauważyłeś, co się stało, kiedy złapałam za nóż?

– Oczywiście, że tak – odparł Billy T. – Cholera, jasne. Hanne, jesteś genialna!

– Mam tego pełną świadomość – odpowiedziała pani komisarz z satysfakcją i uradowana wzięła na siebie cały rachunek, mimo że to Billy T. wypił więcej.

– Wiesz, Hanne – zauważył, nieoczekiwanie przystając, kiedy znaleźli się już na ulicy.

– Jeśli w tym przedstawieniu jest odrobina prawdy, to możemy zapomnieć i o Kochanku, i o tym Hasłem od prawa jazdy.

– Ależ, Billy T. – skarciła go Hanne. – Wprawdzie mamy naprawdę świetną teorię, ale nigdy nie wolno nam się zamykać na inne możliwości. Badamy dalej wszystkie ślady. To elementarna zasada.

– Dobrze, dobrze, Sherlocku – zaśmiał się Billy T.

Nie mógł się powstrzymać i pocałował ją w same usta.

– Fu! – Hanne demonstracyjnie się wytarła, ale uśmiechała się od ucha do ucha.

W bardzo smutnym mieszkaniu w jeszcze smutniejszej dzielnicy siedział wystraszony dealer samochodowy i pił piwo. Przed nim na stole jak bezmyślne ołowiane żołnierzyki stały butelki. Układał z nich wzory, które zmieniał co pięć minut. Akurat teraz dwanaście tworzyło krąg. Zdolność do przemieszczania ich tak, żeby żadnej nie przewrócić, mówiła mu, że wciąż jeszcze nie jest na tyle pijany, by mógł spróbować się przespać.

Pośrodku kręgu leżała książeczka czekowa. Książeczka Agnes Vestavik. Brakowało w niej zaledwie czterech blankietów. Jednego nie było już wtedy, kiedy ją ukradł. W niewiarygodnie prosty sposób zwyczajnie wyjął ją z jej torebki, kiedy Agnes poszła do toalety. Nawet się nie zawahał. Ręce zadziały same. Wiedział, że książeczka jest w torebce, bo Agnes chwilę wcześniej zapłaciła za kolację. Bez wahania przełożył ją do obszernej kieszeni własnego płaszcza. Kiedy pożałował i chciał ją wsunąć z powrotem, uśmiechnięta Agnes wyszła z toalety i oznajmiła, że mogą już iść.

Trzy pozostałe blankiety wykorzystał do wypłacenia trzech identycznych sum w trzech bankach i trzech miejscach w okolicy Oslo. Najpierw w Lillestrøm. Poszło gładko, chociaż idiotyczne sztuczne wąsy prawie się odkleiły, bo pocił się jak świnia. Skorzystał z prawa jazdy, które ktoś zostawił w samochodzie wypożyczonym na jazdę próbną. Wiek i kształt twarzy mniej więcej się zgadzały, a kobieta w okienku ledwie na niego zerknęła. Bez słowa odliczyła dziesięć banknotów tysiąckoronowych i wcisnęła numerkę wzywający kolejnego klienta. Nie miał odwagi wziąć tych pieniędzy, ale spojrzała na niego zirytowana i gwałtownie pchnęła je w jego stronę. Próbując powstrzymać drżenie, podziękował i jak najwolniej wyszedł z banku. Samochód zostawił dwa kwartały dalej, na parkingu koło dworca kolejowego, gdzie zniknął wśród innych aut.

Owszem, był dealerem samochodowym. Od czasu do czasu sprzedawał nawet jakieś używane auta. Troszkę oszukał tu, trochę naciągnął tam, czasami czuł się nawet jak przestępca, ale nigdy dotychczas nie popełnił czynu tak jawnie karalnego. Okazało się to cholernie proste. I przerażające. Z dziesięcioma szeleszczącymi banknotami w portfelu pojechał do Sandvika i zrealizował kolejny czek. Musiał to zrobić szybko, zanim Agnes zorientuje się, że zgubiła książeczkę, i zablokuje konto.

W banku numer dwa też poszło stosunkowo gładko, wytarł skórę nad wargą i staranniej przykleił wąsy. Wybrał parking w dużym centrum handlowym, ale przeszedł piechotą do banku na głównej ulicy Sandvika. Zajęło mu to pięć minut. Tam kasjerka obrzuciła go surowym spojrzeniem, ale być może dlatego, że zwlekał z okazaniem dowodu tożsamości. Z przejścia chciał jej podać własne prawo jazdy, ale zorientował się w porę i czym prędzej je schował. Wytracony z równowagi, niepewny, czy tego nie zauważyła, guzdrał się z tym drugim, co mogło się wydać podejrzanym. Ale wypłacono mu żadaną sumę. Zdecydował, że więcej tego nie zrobi.

Dwadzieścia tysięcy koron. Ile pieniędzy miała właściwie Agnes? Czy sprawdzili pokrycie, zanim wypłacili mu gotówkę? Próbował to sobie przypomnieć, ale nie mógł. Skierował się ku centrum Asker. W jednej chwili podejmował decyzję, że to już koniec, w następnej zapragnął mieć więcej. Jeszcze tylko jeden blankiet. Samochód jechał przed siebie, nie reagując na chaos uczuć kierowcy.

Kiedy wszedł do trzeciego banku, przypomniał sobie, że we wszystkich oddziałach jest monitoring. Miał tego świadomość już wcześniej, właśnie dlatego tak dobrze się złożyło, że właściciel prawa jazdy też nosił wąsy. Poza tym zaopatrzył się w starą bejsbolówkę, którą wyjął z pudła na strychu. Mimo to nagle się przestraszył. Może dlatego że okazał się jedynym klientem.

– Bardzo proszę, czym mogę służyć? – odezwał się uśmiechnięty młody człowiek, przywołując go do siebie.

Było za późno, żeby zawrócić. Podał czek kasjerowi.

– Komputery siadły, więc niestety muszę zadzwonić – powiedział kasjer i uśmiechnął się jeszcze szerzej, oglądając czek.

– Mogę wrócić później – wydusił z siebie handlarz samochodami i wyciągnął rękę po blankiet.

– Nie, nie – zaprotestował usłużnie kasjer. – To potrwa zaledwie chwilę.

Rzeczywiście, minutę później opuścił bank z kolejnymi dziesięcioma banknotami i kluciem za mostkiem.

Teraz siedział i pił. Trzynasta butelka była pusta. Ustawił z nich nowy wzór, V albo klucz gęsi lecących na południe. Albo ogromny czubek strzałki. Ostatnia butelka wskazywała prosto w niego.

– Bang – powiedział cicho. – I jesteś martwy.

Otworzył czternastą. Kiedy wreszcie którąś przewróci?

Agnes się zorientowała. Spytała, czy przypadkiem nie widział gdzieś jej książeczki czekowej. Rzuciła to ot, tak, w powietrze, bez żadnych wyraźnych podtekstów, ale to świadczyło, że go podejrzewa. Oczywiście zaprzeczył, lecz ona na pewno się zorientowała. Mówiła, że poprosiła w banku o sprawdzenie, czy jakieś чеки zrealizowano. Odpowiedź miała dostać następnego dnia.

Niech to piekło pochłonie! Był przekonany, że nikt o ich związku nie wiedział. Nigdy do niej nie pisał, całkiem po prostu dlatego że wypisywał jedynie umowy sprzedaży.

Ile czasu minie, zanim policja się o tym dowie?

Poderwał się gwałtownie, dwie butelki się przewróciły. Jedna stoczyła się na podłogę, ale się nie stłukła.

Mógł teraz próbować się przespać. Chwiejnie przeszedł do sypialni i w ubraniu zwałił się na łóżko. Mimo to i tak długo musiał czekać na sen.

Książeczka czekowa została na stole między dwunastoma stojącymi butelkami i jedną przewróconą.

9.

To był pierwszy od dawna naprawdę ładny dzień. Choć słupek rtęci nie wznosił się zbyt wysoko ponad zerem, w ostrym powietrzu wyczuwało się już ostrożną obietnicę zbliżającej się wiosny. Na wielkich trawnikach przy kąpielisku Tøyen pojawiły się plamy wolnej od śniegu ziemi, a tu i ówdzie usiłowała nawet się prostować jakaś kępka trawy. Kwiatki podbiału wciąż miały dość rozumu, by trzymać łebki spuszczone. Niebo było intensywnie błękitne i chociaż słońce ledwie wdrapało się nad horyzont, Hanne Wilhelmsen żałowała, że nie wzięła przeciwsłonecznych okularów.

Na niewielkim pagórku, między potężnym dumnym posągami z jasnego kamienia a Finnmarksgata, pod osłoną krzaków i na tyle wysoko nad poziomem ulicy, by nie rzucać się w oczy kierowcom, stało kilku kolegów z wydziału ruchu drogowego i ustawiało radar. Złośliwcy, pomyślała Hanne, uśmiechając się do siebie. Ulica miała po dwa pasy w każdym kierunku rozdzielone mocnym ogrodzeniem i przypominała małą autostradę. Każdy kierowca z jako takim doświadczeniem odruchowo zakładał, że dopuszczalna prędkość na tym odcinku jest podniesiona do co najmniej sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, jeździli więc siedemdziesiątką, nie zwracając zupełnie uwagi na brak specjalnego oznakowania. Finnmarksgata była jednym z najpewniejszych źródeł dochodów dla państwowej kasy.

Hanne postąpiła chwilę, patrząc, jak policjanci łapią dwóch pierwszych grzeszników. Pokręciła głową i poszła dalej. Dwadzieścia po siódmej przecięła Åkebergveien i pół minuty później już stała w windzie w budynku policji. Razem z szefem wydziału – wysokim, umięśnionym, a przede wszystkim ekstremalnie męskim. Ubranie miał niemodnie obcisłe, ale wyraziste rysy pod grzywą błyszczących włosów przydawały mu atrakcyjności, wzmacnianej jeszcze przez niezwykle opanowanie i zyczliwość, którymi emanował na ogół. Na ogół, bo teraz nawet na nią nie spojrzał.

– Taki z ciebie ranny ptaszek? – mruknął do swojego odbicia w lustrze.

– Owszem, dużo roboty – odpowiedziała i poprawiła włosy, przeglądając się w tym samym lustrze.

– Zajrzyj do mnie – nakazał, patrząc na zegarek.

Winda zadzwoniła i drzwi się otworzyły. Oboje wyszli na galerię otaczającą ogromny hol.

– Teraz? Zaraz?

– Tak. I przynieś kawę i dla mnie.

Hanne ogarnęło nieprzyjemne przeczucie, że nie czeka jej nic dobrego. Poszła do swojego pokoju po kubek ze znakiem zodiaku. W sekretariacie nikt jeszcze nie zdążył nastawić ekspresu, nie spiesząc się, napełniła więc zbiornik wodą i odmierzyła osiem płaskich łyżeczek kawy. Sekretarka zjawiała się akurat wtedy, gdy maszyna zaczęła bulgotać.

– Bardzo ci dziękuję, Hanne – wydyszała z tak przesadną wdzięcznością, że Hanne zaczęła ją podejrzewać o ironię. Przygotowywano tutaj codziennie tyle wiader kawy, że Hanne czasami się zastanawiała, czy nie z tego właśnie powodu stale są spóźnieni z robotą.

Nalała kawy sobie, po czym napełniła jeszcze tekturowy kubek dla szefa i zapukała do jego drzwi. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, więc zastukała jeszcze raz. Ponieważ wciąż nie było żadnej reakcji, a ona wiedziała, że szef jest w środku, pozwoliła sobie je otworzyć. Nie było to łatwe przy zajętych obu rękach i skończyło się tym, że tekturowy kubek upadł na podłogę, a kawa chlapnęła jej na dzinsy, parząc w łydki.

Szef wydziału głośno się zaśmiał.

– Sama widzisz, jak się kończy zapominanie o dobrych manierach – powiedział, odkładając słuchawkę. – Astrid! Astrid!

Sekretarka zajrzała do środka.

– Posprzątaj, dobrze? – poprosił.

– Przecież ja mogę... – zaczęła Hanne, ale jej przerwał:

– Siadaj!

Posłała przepaszające spojrzenie Astrid, która z zaciśniętymi ustami, zużywając pół rolki papierowego ręcznika, gniewnymi ruchami usunęła szkody, nim w końcu zostawiła ich samych. Żadne się w tym czasie nie odezwało. Hanne zaczęła się denerwować.

– Jak się czujesz w roli komisarza? – spytał w końcu szef, patrząc jej w oczy.

Wzruszyła lekko ramionami, niepewna, do czego zmierza.

– W porządku. Raz lepiej, raz gorzej. Nie tak na ogół bywa? – Uśmiechnęła się na próbę, ale szef nie odwzajemnił uśmiechu.

Napił się kawy z nowego kubka, który Astrid postawiła przed nim tak gwałtownie, że na podkładce do pisania zrobiło się brązowe kółko. Grubym palcem zmienił je w twarz przypominającą Myszke Miki.

– Byłaś znakomitą śledczą, Hanne. Wiemy o tym oboje, tak jak większość ludzi w komendzie.

W powietrzu zadrgało między nimi ogromne ALE.

– Ale – powiedział w końcu – musisz pamiętać, że funkcja komisarza to coś zupełnie innego. Masz kierować. Koordynować działania. I ufać swoim podwładnym. Na tym to

polega. A skoro Billy T. został wyznaczony na głównego śledczego w sprawie zabójstwa w domu dziecka, to ma nim być. Twoje zainteresowanie i udział w rozmaitych czynnościach są godne pochwały, ale uważaj, żebyś nie dezawuowała swoich ludzi.

– On się wcale nie czuje dezawuowany – zaprotestowała Hanne, doskonale wiedząc, że szef ma rację.

– Oczywiście, że nie – odparł pełnym rezygnacji i już zmęczonym głosem, mimo że godzina była jeszcze wczesna. – Przyjaźnicie się. On uwielbia z tobą pracować. Przecież gdyby nie to, za nic nie zgodziłby się na przeniesienie z Patrolu Zamętu. Ale masz pod sobą również innych śledczych, zdolnych, chociaż młodych i mało doświadczonych.

– Skarżyli się?

Miała nadzieję, że szef nie posądzi jej o urazę.

– Nie, nie skarżyli, ale czuję, że coś jest nie tak. I widzę, że za bardzo się wtrącasz. Na przykład zdarza się, że trudno cię złapać. Za dużo czasu spędzasz poza komendą. – Ziewnął przeciągle i podrapał się za uchem długopisem. – Byłem za tym, żebyś dostała to stanowisko, Hanne. A niewiele osób w twoim wieku może się pochwalić stopniem komisarza. Obyło się bez pomruków tylko dlatego, że wszyscy wiedzą, jaka jesteś świetna. Nie daj powodów, żeby te pomruki się odezwały, dobrze? Wciąż wierzę... właściwie wiem, że możesz być równie dobrym komisarzem, jak byłaś śledczą. Ale musisz dać sobie ku temu szansę. Nie bądź komisarzem w wersji light i sierżantem de luxe, dobrze?

Z sekretariatu dobiegały głośnie rozmowy i śmiech. Komenda powoli zapełniała się ludźmi. Takimi, którzy natychmiast z pocałowaniem ręki przyjęliby stanowisko Hanne Wilhelmsen, a które ona w tej chwili miała ochotę rzucić w diabły. Przybiło ją to. Ale nie fakt, że szef przywoływał ją do porządku, tylko świadomość, że ma rację. Nigdy nie powinna była się o nie ubiegać. To ten idiota Håkon Sand ją namówił.

Nagle gwałtownie za nim zatęskniła. Billy T. był wspaniałym kumplem, rozumieli się tak, że czasami nie potrzebowali słów. Natomiast Håkon Sand, młodszy prokurator policji, z którym pracowała przez wiele lat, między innymi przy kilku dramatycznych i głośnych sprawach zabójstw, nie wszystko chwytał w lot, szedł przez życie, cały czas się potykając, z reguły krok czy dwa za innymi, ale był mądry. Umiał słuchać.

Raz po raz sprawiała mu zawód, ale nigdy nie tracił pogody ducha i otwartości. Tydzień temu zadzwonił z zaproszeniem na obiad, chciał, żeby zobaczyła synka, który miał już trzy miesiące i który otrzymał nawet imię po niej, a przynajmniej prawie, bo ochrztili go Hans Wilhelm. Håkon poprosił, by została matką chrzestną. Pochlebilo jej to, ale musiała odmówić, bo nie mogła kłamać w kościele. Na chrzciny jednak poszła. Przez te cztery

tygodnie, jakie od nich upłynęły, Håkon raz po raz dzwonił, wciąż tak samo entuzjastyczny, proponując kolejne spotkania, ale jej żaden z terminów nie pasował. A teraz tak bardzo za nim zatęskniła... Zadzwoń, jeszcze dzisiaj. Ale najpierw musiała wymyślić odpowiedź dla średnio entuzjastycznie nastawionego szefa. Nie wiedziała tylko, od czego zacząć.

– Postaram się poprawić – powiedziała. – Wezmę się w garść, kiedy rozwiążemy tę sprawę.

– A jak długo to potrwa, Hanne?

Wstała, ale zobaczywszy poirytowany błysk w jego oczach, usiadła z powrotem.

– W najlepszym razie półtorej doby, w najgorszym – tydzień.

– Słucham?

Wyraźnie mu zaimponowała i humor od razu jej się poprawił.

– Jeśli rybka złapie się na haczyk, który zarzuciłam, sprawa powinna być załatwiona przed weekendem.

Szef obdarzył ją teraz prawdziwym uśmiechem.

– No tak – pokiwał głową. – Przynajmniej potwierdzasz to, co wszyscy wiedzieliśmy już wcześniej. Co jak co, ale na robocie śledczej znasz się jak mało kto. – Dał znak, że może odejść.

Oby tylko się nie okazało, że przesadziłam, pomyślała Hanne, zamykając za sobą drzwi.

Godzinę później, dokładnie o dziewiątej zero zero, na Grønlandsleiret 44 zjawił się owdowiały mąż Agnes Vestavik. Był równie nienagannie ubrany jak podczas poprzedniej wizyty, ale ostatni tydzień kosztował go kilka kilogramów. Tym razem Billy T. miał dla niego więcej współczucia, co właściwie rodziło w nim irytację, lecz mężczyzna, który przed nim siedział, wywołałby współczucie nawet u największego cynika. Trzęsły mu się ręce, oczy miał już na stałe zaczerwienione, a szara i lepka cera zdradzała wszystkie swoje niedoskonałości.

– Jak się pan miewa, panie Vestavik? – spytał Billy T. z taką życzliwością, że wdowiec spojrział na niego zdumiony. – Bardzo panu ciężko?

– Tak. Najgorzej jest w nocy. W ciągu dnia tyle trzeba zrobić... Chłopcy wrócili do domu. Starszy zwolnił się ze szkoły ludowej na dwa tygodnie, żeby pomóc przy Amandzie.

Wprawdzie teściowa to wspaniała kobieta, ale nie jest łatwo. Wie pan, teściowe...

Billy T. nigdy w życiu nie musiał układać sobie relacji z teściowymi, mimo to pokiwał głową na potwierdzenie. Z pewnością nie były lepsze od swoich córek, kiedy coś się nie układało.

– Chciałby pan, żeby wyjechała?

Vestavik przytaknął, wdzięczny za tę nieoczekiwaną wyrozumiałość.

– No cóż – powiedział Billy T. – Z przesłuchaniem szybko się uporamy.

Przechylił się w lewo i wysunął szufladę, a z niej wyjął dużą przezroczystą plastikową torebkę z nożem w środku. Położył go przed Oddem Vestavikiem, który mimowolnie cofnął się na krześle.

– Jest umyty, nie ma na nim krwi – uspokoił go Billy T.

Vestavik szczupłą dłonią sięgnął po torebkę, ale zatrzymał się w pół ruchu i pytająco spojrzał na policjanta.

– W porządku – kiwnął głową Billy T. – Proszę mu się uważnie przyjrzeć.

Wdowiec długo oglądał nóż. Przesadnie długo. Billy'ego T. przeszły ciarki. Ten nieszczęsny człowiek siedział przed nim i musiał oglądać przedmiot, który tkwił wbity głęboko w plecy jego żony. A wcześniej pewnie w przytulnej kuchni niedużej zacnej rodziny nakroił niezliczonych kromek chleba na drugie śniadanie do szkoły.

– To pański nóż?

– Nie mogę przysiąc, że tak – odparł Vestavik cicho, nie odrywając oczu od narzędzia z drewnianą rączką. – Ale mieliśmy taki sam. Identyczny, z tego, co pamiętam.

– Niech pan spróbuje znaleźć jakieś znaki szczególne – poprosił Billy T. – Na przykład na rękojeści. Jest drewniana, więc może mieć jakieś charakterystyczne znaki. Są ze dwa nacięcia. – Żeby pomóc Vestavikowi, nachylił się i palcem wskazał miejsce. – Na przykład tutaj. Jakby ktoś próbował skrobać.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę patrzył, w końcu wolno pokręcił głową.

– Nie, nie przypominam sobie tego nacięcia. – Wyglądał wręcz na zawstydzonego. – Ale też rzadko zaglądałem do kuchni. Pod tym względem byliśmy trochę... hm... staroświeccy.

– Ja też nie lubię gotować – pocieszył go Billy T. – Robię to tylko dlatego, że muszę. Ale w każdym razie mieliście taki nóż?

– Tak. Łatwiej by mi było, gdybym zobaczył pozostałe. Wtedy mógłbym mieć pewność. – Pytająco spojrzał na policjanta.

– Pozostałe noże zniknęły – powiedział Billy T. wolno.

Vestavik nawet się nie skrzywił, tylko ledwo zauważalnie unióś brwi ze zdziwienia.

– Podejrzewamy, że zabójca zabrał je ze sobą.

– Zabrał ze sobą? – Teraz zdziwienie było już wyraźniejsze. – Ale po co, na miłość boską?

– Akurat to musi pozostać tajemnicą. Przynajmniej na razie. – Billy T. schował torebkę z powrotem do szuflady i wstał. – Naprawdę mi przykro, że musiał pan tu znów przychodzić – powiedział, wyciągając do Vestavika rękę. – Mam nadzieję, że już ostatni raz pana niepokoiliśmy.

– Nie szkodzi – odparł Vestavik, również wstając.

Poruszał się sztywno i wydawał się o wiele starszy. Ze zrezygnowaną miną ujął wyciągniętą rękę policjanta.

– Rozwiążecie tę sprawę? – spytał z powątpiewaniem w głosie.

– Tak, o to może pan być spokojny. Z całą pewnością ją rozwiążemy.

Był to jeden z tych jakże przyjemnych momentów, gdy patrząc na plecy Vestavika odchodzącego korytarzem, Billy T. poczuł wielką radość z tego, że jest policjantem. Podczas następnej rozmowy z wdowcem będzie mógł mu już powiedzieć, kto zabił jego żonę. Był tego na sto procent pewien.

– A przynajmniej na dziewięćdziesiąt dziewięć – poprawił się, mrużąc pod nosem.

Hanne Wilhelmsen jeszcze nie doszła całkiem do siebie po łagodnej porannej reprymendzie, ale starała się, żeby to się nie odbiło na Tone-Marit i Eriku. Wszyscy troje stali oparci o balustradę i patrzyli w dół na hol. Przez ciężkie metalowe drzwi wchodziła właśnie ekipa telewizyjna z całym mnóstwem gratów. Jakiś mężczyzna wyklócał się z chłopakiem z dyżuru i Hanne domyśliła się, że jak zwykle chodziło o to, czy telewizja może parkować na którymś z miejsc dla inwalidów tuż przy wejściu, czy też raczej powinna poszukać wolnego miejsca nieco dalej. Policjant oczywiście wygrał, a dziennikarz, kręcąc głową, wyszedł przestawić samochód.

– Chłopakom z dyżuru wydaje się, że są właścicielami całej okolicy – mruknęła.

Tone-Marit zrobiła taką minę, jakby chciała stanąć w ich obronie, ale się powstrzymała.

– No dobrze, kochani – zaczęła Hanne z udawaną wesołością. – Mamy mnóstwo

roboty. Erik, chciałabym, żebyś jeszcze raz ściągnął wszystkich pracowników Promyka. Na kolejne przesłuchania. Najważniejszy jest ten Eirik jakiś tam, ten, który znalazł zwłoki. Chciałabym, żeby stawiał się natychmiast. Ciągłe jest na zwolnieniu, więc powinno się to dać załatwić jeszcze dzisiaj.

– Chcesz go sama przesłuchać?

Już miała potwierdzić, lecz nagle zmieniła zdanie i uśmiechnęła się do rudowłosego chłopaka.

– Nie, ty się tym zajmij. Ale wypiszę ci kilka punktów, które należy wyjaśnić. Wierzę, że to załatwisz.

Poleciała Tone-Marit wezwać pozostałych, tak aby wszystkie przesłuchania zakończyły się przed weekendem. Oznaczało to, że muszą zdążyć w półtora dnia. Dwójka młodszych funkcjonariuszy wymieniła znaczące spojrzenia, ale zanim zdążyli zaprotestować, Hanne dodała:

– Dacie radę. A jeśli się okaże, że to za dużo, możemy ściągnąć dwie osoby ze stażu. Ale jestem pewna, że sami sobie świetnie poradzicie.

Galerią nadszedł Billy T, głośno tupiąc.

– Hej, Hanne!

Odwróciła się do niego.

– Dzwoniła Maren Kalsvik. Szukała cię. Powiedziała, że jest z tobą umówiona na dwunastą, zgadza się?

– Tak.

– Twierdzi, że sytuacja w domu dziecka jest krytyczna, i poprosiła o przełożenie tej rozmowy na jutro. Może być?

Nie mogło być, choć nic dziwnego, że nowa szefowa miała coraz więcej problemów, skoro jej współpracownicy padali jak muchy.

– No dobrze, ale w takim razie ty ją przesłuchasz. Ja mam na jutro inne plany.

Billy T. pomyślał chwilę, w końcu kiwnął głową.

– Dobrze, zadzwonię i jakoś się z nią umówię.

Znalezienie Eirika Vassbunna okazało się łatwe. Był u siebie w domu i spał. Erik Henriksen musiał odczekać aż dwanaście dzwonek, nim wreszcie w słuchawce odezwał się

półprzytomny głos. Ponieważ Vassbunn był pod wpływem środków uspokajających, młody posterunkowy załatwił mu zwrot pieniędzy za taksówkę na Grønlandsleiret 44.

Teraz Erik Henriksen w duchu rozważał, czy Vassbunn w ogóle nadaje się do przesłuchania. Nie golił się od wielu dni, twarz miał nieświeżą i śmierdzącą potem. Nieprzyjemny zapach błyskawicznie wypełnił nieduże pomieszczenie, Erik Henriksen zaczął się zastanawiać, czy nie otworzyć okna.

– Wyglądam okropnie – usprawiedliwiał się Vassbunn, lekko bełkocząc. – I wiem, że cuchnę. Ale mówił pan, że to pilne. – Sięgnął po tekturowy kubek z wodą, który podał mu Erik. – Mam okropnie sucho w ustach od tych wszystkich leków – mruknął i wypił do dna.

Posterunkowy dolał mu wody.

– Dobrze się pan czuje? Może pan ze mną rozmawiać?

Mężczyzna uniósł ręce i wykonał kilka ruchów jak przy kraulu. W końcu spuścił głowę.

– Niech pan pyta. Miejmy to już za sobą.

Eirik Vassbunn pracował w Promyku Słońca od ponad roku. Miał za sobą cztery lata służby na pierwszej linii, jak się wyraził, przy czym posterunkowy nie miał pojęcia, co to może oznaczać, ale obowiązkowo wstukał tę informację dwoma niewprawnymi palcami w komputer, nie ujawniając swojej niewiedzy. Vassbunn był dyplomowanym pracownikiem socjalnym, nie był żonaty, ale miał siedmioletnią córkę z wcześniejszego związku. Nie był karany, tylko dawno temu dostał mandat za przekroczenie prędkości. Urodził się w 1966 roku i całe życie mieszkał w Oslo. Przed rozpoczęciem pracy w Promyku Słońca nie znał nikogo z zatrudnionych w ośrodku. Tylko Maren Kalsvik kojarzył z widzenia, bo oboje studiowali w tej samej szkole wyższej. On ukończył ją wcześniej, byli z różnych roczników, i nie mieli ze sobą zbyt wiele wspólnego. Potem zaczęli ostrożnie omawiać wieczór, kiedy zginęła Agnes Vestavik.

– Był pan sam na dyżurze?

– Tak, na nocnym dyżurze jest tylko jedna osoba. Nocująca. Musimy być w budynku, to oczywiste, ale możemy spać. Mamy nawet pokój, w którym możemy się położyć.

– Kiedy dzieci poszły spać?

– Najmłodsze, to znaczy bliźniacy i Kenneth, mają być w łóżkach o wpół do dziewiątej. Jeanette i Glenn kładą się o dziesiątej, natomiast Anita i Raymond w zasadzie powinni spać przed jedenastą, jeśli następnego dnia idą do szkoły, ale Raymond ma całkiem spory luz.

– A jak było tamtego wieczoru?

Vassbunn się zastanowił i wypił jeszcze szklanek wody

– Wydaje mi się, że wszystkie dzieciaki położyły się spać dość wcześnie. Były trochę zmęczone, bo mieliśmy te ćwiczenia przeciwpożarowe, więc się nabiegały. Później też miały dużo ruchu, ponieważ cały dzień był wolny od nauki. Poza tym z tego, co pamiętam, Raymond trochę źle się czuł. Przypuszczam, że przed wpół do jedenastej wszyscy już spali. Może nawet o dziesiątej.

– A kiedy się rozeszli do swoich pokojów?

– Najmłodszych trzeba odprowadzać i położyć do łóżek. Ale jeśli chodzi o starsze dzieci, to prawdę mówiąc, nie widziałem ich od... – urwał, a przez twarz przebiegł mu bolesny skurcz. – Agnes przyszła koło dziesiątej, tak mi się wydaje, a ja wtedy już od dłuższego czasu siedziałem na dyżurze. Czy Raymond już wtedy spał, tego nie wiem.

– W każdym razie twierdzi, że nie słyszał, jak przyszła Agnes – powiedział policjant. – Możliwe więc, że spał. A pan?

– Nie, ja oglądałem telewizję. Przejrzałem gazety i układałem pasjansa, to pamiętam.

– A gdzie pan siedział?

Mężczyzna lekko zdezorientowany zmarszczył brwi.

– Oczywiście w pokoju telewizyjnym.

– No tak, ale w którym miejscu?

– Na fotelu. Na fotelu!

Erik Henriksen wyjął czystą kartkę i razem z długopisem położył je przed swoim prawie imiennikiem.

– Niech pan to narysuje.

Vassbunn niezgrabnie ujął długopis, ale jakoś zdołał stworzyć niezdatny szkic pokoju telewizyjnego w Promyku Słońca, zaznaczając w miarę precyzyjnie okna i drzwi. Potem zakreskował fotele, kanapę, stół i sam telewizor, a następnie dodał dość przypadkowo kilka kółek na podłodze.

– To sacco – wyjaśnił. – A ja siedziałem tutaj. – Krzyżykiem zaznaczył fotel stojący plecami do drzwi.

– Aha. – Posterunkowy przyjrzał się rysunkowi. – Drzwi do bawialni były otwarte?

– Do pokoju dziennego – poprawił go Eirik Vassbunn, nie bardzo sobie radząc ze wszystkimi spółgłoskami. – My nazywamy to pomieszczenie pokojem dziennym. Tak, były otwarte.

– Jest pan pewien?

– W każdym razie były otwarte, kiedy przyszła Agnes, a później nie wychodziłem

stamtąd aż do obchodu. Z całą pewnością więc były otwarte.

Posterunkowy dał znać, że musi zrobić przerwę, żeby trochę napisać. Wystukanie trzech czwartych strony zajęło mu pół godziny. Kiedy skończył, zobaczył, że świadek śpi na siedząco.

Nigdy wcześniej go to nie spotkało. Trochę się zdziwił, ale miał poczucie, że obudzenie śpiącego mężczyzny byłoby wręcz nieuprzejme. Musieli jednak jakoś posuwać się naprzód. Przez dłuższą chwilę obserwował Eirika Vassbunna, nie potrafiąc podjąć decyzji. A ten naprawdę spał, z głową zwieszoną na piersi i rozchyłonymi ustami. Policjant zastanowił się, jakie leki właściwie zażywa świadek. W końcu przechylił się przez biurko i lekko dotknął jego ramienia.

– Vassbunn! Niech się pan obudzi!

Mężczyzna drgnął, podniósł głowę i wytarł strużkę śliny z zarośniętego podbródka.

– Przepraszam, to przez te leki. I w nocy tak źle sypiam.

– W porządku – uspokoił go posterunkowy i nagle coś mu wpadło do głowy. – Jakie leki pan zażywa?

– Tylko valium.

– Dlaczego?

– Doznałem szoku, to przecież oczywiste. – Po raz pierwszy Vassbunn wyglądał na poirytowanego. – Pan nie ma pojęcia, jak to wyglądało. Agnes z olbrzymim nożem w plecach i... te szeroko otwarte oczy. To było naprawdę straszne.

Erik Henriksen mógł oczywiście powiedzieć, że też widział kierowniczkę, gdy jeszcze siedziała na krześle i kiedy wkładano ją do worka z adresem Szpitala Centralnego, ale tego nie zrobił. Wyjął tylko popielniczkę i wskazał na torebkę z tytoniem Petterøes wystającą z kieszonki na piersi Vassbunna.

– Może pan sobie zapalić.

Vassbunnowi ręce trzęsły się tak, że z trudem skręcał papierosa, ale wyraźnie był za to wdzięczny.

– Czy przyjmuje pan takie leki wyłącznie w związku z tym przeżyciem?

Bingo. Vassbunnowi tytoń i bibułka wypadły z rąk, które rozdygotały się jeszcze bardziej.

– O co panu chodzi?

– Spokojnie. Oczywiście nic nikomu nie powiemy, ale chciałbym wiedzieć, czy tamtego wieczoru zażył pan valium. Czy bierze je pan przez cały czas?

Eirik Vassbunn zapanował nad sobą na tyle, że w końcu udało mu się jako tako skręcić

papierosa. Upłynęła chwila, zanim odpowiedział, bo najpierw głęboko się zaciągnął i trochę pokasłał:

– Mam pewne kłopoty z nerwami. Jestem nieco roztrzęsiony. Sam nie bardzo wiem, z czego to się bierze, ale jakoś sobie radzę. Właściwie leków zażywam mało.

Nie zabrzmiało to szczególnie przekonująco. Erik Henriksen wciąż czekał na swoją odpowiedź.

– No tak. Tamtego wieczoru chyba wziąłem jedną albo dwie tabletki. Pokłóciłem się z moją byłą kobietą, matką mojej córki. Miałem ją zabrać na ferie zimowe, ale...

– Jedną czy dwie? – przerwał mu policjant. – Zażył pan jedną tabletkę czy dwie?

– Dwie – mruknął Vassbunn.

– Więc mógł pan zasnąć w tym fotelu?

– Wcale nie byłem śpiący, do diabła! Musiałem nawet układać pasjansa, żeby w ogóle myśleć o spaniu!

– Ale czy przypadkiem nie dlatego, że spał pan wcześniej? Że po prostu ot, tak się pan zdrzemnął i w ogóle pan tego nie pamięta?

Vassbunn nie odpowiedział. Nie miał nic do powiedzenia. Milczeli więc, a posterunkowy znów zaczął maltretować klawiaturę. Tym razem świadek nie zasnął.

– Aha – odezwał się Erik Henriksen tak nagle, że Vassbunn aż drgnął. – I co się wydarzyło po tym, jak znalazł pan Agnes?

Mężczyzna miał szklany wzrok, jakby zaglądał w głąb siebie.

– Zwyczajnie wpadłem w histerię – powiedział cicho. – W pełną histerię.

– Ale co pan zrobił?

– Umie pan skrócić papierosa?

Policjant uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

– W każdym razie chyba zgrabniejszego niż ten. – Wskazał na trąbkę zgniecioną w popielnicze.

– Mógłby pan...? – Erik pchnął paczkę z tytoniem w stronę policjanta, który w imponująco krótkim czasie wykonał całkiem przyzwoitego skręta. – Naprawdę nie wiedziałem, co robić. Już wcześniej się zdenerwowałem zniknięciem Olava i teraz jeszcze Agnes martwa jak kam... Martwa. W tamtej chwili miałem wrażenie, że to wszystko moja wina, i śmiertelnie się przeraziłem. Zadzwoiłem więc do Maren.

– Do Maren? – Erik Henriksen, zdumiony, przerzucał dokumenty, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Wstrzymał świadka, który chciał mówić dalej, i najpierw przeczytał. W końcu zamknął teczkę i dał znak, by Vassbunn kontynuował.

– Tak. Ona mieszka tuż obok i jest bardziej... bardziej opanowana niż ja. Wiedziałem, że mi pomoże. Przyszła po kilku minutach. Była trochę zła, że nie zadzwoniłem na policję, i sama to zrobiła.

– Aha. I co było potem?

– Nic szczególnego się nie wydarzyło. Siedziałem na dole, nie mając siły, żeby choć zbliżyć się do tego pokoju, w którym była Agnes. Maren zajęła się wszystkim, dziećmi i policją, a ja pojechałem do domu. Będę mógł niedługo iść? – dodał. – Jestem okropnie zmęczony.

– Rozumiem. Ale musimy jeszcze chwilę porozmawiać o tym, co się działo wcześniej. Wytrzyma pan? Chce się pan napić kawy?

Vassbunn pokręcił głową.

– To może jeszcze wody? Mogę też przynieść colę. Życzy pan sobie?

– Poproszę wodę.

Znów wypił wszystko od razu, potem ze zrezygnowaną miną i zamkniętymi oczami czekał na kolejne pytanie.

– O której przyszedł pan do pracy?

– O dziewiątej. Po kolacji. Najmłodszy już leżeli w łóżkach.

– A był pan w domu dziecka w ciągu dnia?

– Tak. – Otworzył oczy, zdziwiony, że to może mieć jakieś znaczenie. – Mieliśmy zebranie. Z tego, co pamiętam, była na nim większość pracowników. Nagle Agnes oświadczyła, że chce z każdym porozmawiać na osobności. Przeprowadzić coś w rodzaju rozmów pracowniczych. Nie wiedziałem, o co chodzi. I wcale nie zrobiłem się mądrzejszy, kiedy przyszła moja kolej. Pierwszy był Terje i ta rozmowa zajęła cholernie dużo czasu. Potem właściwie powinna być Maren, ale musiała wyjść, bo miała umówioną wizytę u dentysty. Wydaje mi się, że później weszła Cathrine, a po niej ja. Sama rozmowa była krótka.

– A o czym mówiliście?

– O wszystkim i o niczym. Jak oceniam sytuację w Promyku, jak sobie radzę z Olavem, czy spotykam się z córką. Moja była kobieta i ja pokłóciliśmy się o...

– Czy pamięta pan dokładnie, jak długo trwała ta rozmowa?

– Nie wiem, może pół godziny. Pewnie nawet mniej. W każdym razie spędziłem u kierowniczkę znacznie mniej czasu niż Terje i Cathrine.

Posterunkowy znów zaczął walić w klawiaturę. Świadek już się nauczył, że to oznacza przerwę.

– Nie zauważył pan gdzieś w pokoju noży? – spytał Henriksen po głośnym uderzeniu

w kropkę, po którym klawisz utknął między przecinkiem a znakiem zapytania.

– Noży? Nie, nie było tam żadnych noży.

– Czy gabinet kiedykolwiek bywa zamykany na klucz? – drążył policjant, jednocześnie walcząc z opornym klawiszem. Próbował użyć długopisu, żeby go uwolnić.

– Opieramy się na zaufaniu. Nikomu nie wolno wchodzić do gabinetu bez zezwolenia Agnes. Na gwoździu nad drzwiami wisi klucz, ale z tego, co wiem, nikt z niego nie korzystał.

Na monitorze przed Henriksenem pojawiały się kolejne rzędy kropek. Przybywało ich w zastraszającym tempie i młody policjant zaczął się pocić.

– Niech pan wyłączy komputer – zaproponował Vassbunn, a Henriksen uznał to za dobry pomysł.

W końcu udało mu się oswobodzić klawisz i znów włączył maszynę. Zapomniał jednak o zapisaniu ostatniej części przesłuchania i teraz z żalem uderzył się w czoło. Naprawienie głupiego błędu zajęło trochę czasu.

– Ale to znaczy, że do gabinetu można wejść w bardzo prosty sposób – stwierdził w końcu. – W dodatku niepostrzeżenie.

– W domu, gdzie jest ośmioro dzieci i w sumie czternastu pracowników? O nie, zapewniam pana, że to nie jest łatwe. Nigdy nie można mieć pewności, czy ktoś się nie pojawi. Chyba, że nocą, jeśli samemu ma się dyżur. Wtedy można się czuć dość bezpiecznym. Chociaż dzieci i tak stale się budzą.

– Czy wszyscy mają nocne dyżury?

– Nie, tylko my troje. I od czasu do czasu Christian. Moim zdaniem jest zbyt młody i nieodpowiedzialny, ale zdarza się, że ktoś zachoruje, i wtedy nie ma wyjścia.

– Czy Terje Welby miał kiedykolwiek nocny dyżur?

– Nie. W każdym razie nie za moich czasów.

– Jaki on właściwie był?

– Jaki był? Terje?

– Tak.

– Co ja mam powiedzieć? Miał świetne wykształcenie. Był dyplomowanym nauczycielem. Nieźle sobie radził z najmłodszymi. Ale z nastolatkami często się kłócił.

– A Maren?

– Maren jest z nas wszystkich najlepsza. Ona żyje tym domem. Ma świetne podejście do dzieci. Aż trudno uwierzyć. Agnes ogromnie ją ceniła. Wszyscy ją cenimy. Jest w pewnym sensie trochę staroświecka. Traktuje tę pracę jak... jak powołanie. – Smakował w ustach rzadko używane słowo.

– Zna ją pan prywatnie?

– Nie, właściwie nie. Wiedziałem, kim jest, zanim przyszedłem do Promyka, ale prywatnie się nie widywaliśmy. A tak przy okazji, to wiecie coś więcej... – Skrzywił się i potarł kark. – Strasznie mnie rozboleła głowa. Wiecie coś więcej o Olavie?

– Hm... Wiemy, że przebywał w pewnym domu na Grefsen, a potem znów zniknął. Widać, że chłopak umie się o siebie zatroszczyć. Ale oczywiście boimy się, że mogło mu się coś stać, i cały czas go szukamy.

– On jest szalony. W ciągu tych lat miałem do czynienia z wieloma zranionymi dziećmi, ale żadne nie było podobne do niego.

– No cóż. Jego sprawą zajmują się inni. Chyba możemy uznać, że skończyliśmy, panie Vassbunn.

Ostatnia część przesłuchania została zapisana bez kropek. Wyglądało to trochę dziwnie, ale musiało ująć. Eirik Vassbunn był tak wyraźnie zmęczony, że młody policjant miał ochotę osobiście odwieźć go do domu. Nie pozwalał mu jednak na to brak czasu.

– Niech pan weźmie taksówkę na nasz rachunek – zaproponował, kiedy Vassbunn, niemal zataczając się, podszedł do drzwi. – A rachunek niech pan przyśle do mnie. Życzę zdrowia.

Erik Henriksen był pewien, że Hanne będzie bardzo zadowolona z tego przesłuchania. Mimo brakujących kropek.

Siedzenie w domu było śmiertelnie nudne, szczególnie przed południem, kiedy w telewizji nie nadawano nic ciekawego. Nie wychodził z mieszkania od blisko tygodnia. Trochę nawet tęsknił za szkołą. Tam przynajmniej było coś do roboty. W domu nic się nie działo. Matka stała się jeszcze cichsza niż zwykle, choć właściwie zawsze była taka cholernie cicha.

Przed tym spotkaniem w komisji okręgowej, na którym zdecydowali, że nie może dłużej mieszkać w domu, rozmawiał z jakąś panią, która wyjaśniła mu, że jest kimś w rodzaju sędziego. Mogła powiedzieć wprost, kim jest. Wiedział, że to się nazywa przewodnicząca komisji okręgowej, bo matka wytłumaczyła mu wszystko, co wiązało się ze sprawą. Byli nawet u adwokata, a poza tym czytał mnóstwo dokumentów, które go dotyczyły.

Rozmowa trwała bardzo długo. Nie odbywała się w gabinecie przewodniczącej, tylko

w wielkiej sali z ławami. Gdy stwierdził, że sala jest podobna do sądowej, kobieta wydawała się zaskoczona. Nie wyglądała na Norweżkę, bardziej na Indiankę. Miała ciemną cerę i całkiem czarne włosy, ale przynajmniej mówiła normalnie i miała norweskie nazwisko.

Spytała go, gdzie by chciał mieszkać, gdyby mógł całkiem swobodnie wybierać. Oczywiście powiedział, że w domu, ale wtedy chciała wiedzieć dlaczego. Wyjaśnienie, dlaczego chce się mieszkać w domu, nie było zbyt łatwe. Powiedział więc tylko, że tak jest normalnie i że nie chce się przeprowadzać. Okropnie marudziła. Zadawała mu te same pytania po kilka razy. Jaki sens miała ta rozmowa, skoro i tak postanowili, że ma się przeprowadzić? W końcu spytała go, czy kocha matkę.

To dopiero pytanie! Odparł, że wszyscy przecież kochają swoje matki i on także, to przecież jasne. Powiedział to bez żadnych oporów. To była prawda. Poza tym wiedział, że matka bardzo kocha jego. Często powtarzała, że są ze sobą związani. Ale kiedy byli razem, aż tak się tego nie czuło. Ona się wszystkiego bała. Sąsiadów, babci, jego nauczycieli. I tego cholernego Urzędu Ochrony Praw Dziecka. O tym urzędzie mówiła, odkąd pamiętał, zwłaszcza gdy ktoś się na niego skarżył.

Chciał wyjść. Musiał wyjść.

– Idę się przejść – oświadczył nagle, wstając z kanapy.

Matka powoli opuściła gazetę.

– Nie możesz, Olav. Przecież wiesz. Będziesz musiał wrócić do domu dziecka.

– Ale ja już nie mogę wysiedzieć w tym zamknięciu – poskarżył się.

– Wiem. Najpierw jednak musimy wymyślić jakiś plan.

Ujął się pod boki i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Wyglądał komicznie, ale ona się nie śmiała.

– Ty wymyślisz jakiś plan? Kiedy? Cały tydzień tylko o nim mówisz!

Matka w odpowiedzi kurczowo ścisnęła zgniecioną już gazetę.

– Ty nie wymyślisz żadnego planu, mamo! Nie umiesz go wymyślić.

Nie był nawet zły. W tym jego dziwnym uśmiechu krył się jakiś smutek. Zaczął wyciągać do niej rękę, ale zatrzymał się, zanim jej dotknął.

– Wymyślę coś – szepnęła. – Na pewno. Potrzebuję jedynie trochę czasu.

– E, tam, mamo!

Nic więcej nie powiedział, tylko się odwrócił i wyszedł do przedpokoju. Matka pośpiesznie poderwała się z kanapy.

– Olav, synku, nie wolno ci wychodzić!

Uczepiła się jego ramienia. A on, mimo że miał tylko dwanaście lat, zrozumiał, że

matka się boi. Poza tym wiedział, że ma rację. Głupio robi, wychodząc. Był też pewien, że matka po jego wyjściu będzie się czuła okropnie. To prawie wystarczyło, żeby zmienić zdanie.

Akurat w tej chwili mieszkanie zrobiło się dla niego za małe. Odepchnął więc matkę, a z miseczki na komodzie w przedpokoju wziął sto koron. Zamknął uszy na jej płacz i trzasnął drzwiami.

Kiedy chłodne lutowe powietrze uderzyło go w twarz, zapomniał o matce i poczuł się prawie szczęśliwy. Na wszelki wypadek włożył wielką czapkę, mimo że było już ciemno i nikt by go nie poznał z daleka. Oprócz tej setki, którą zabrał, miał jeszcze nietknięte pięćdziesiąt koron z dwóch kieszonkowych. Matka dalej dawała mu tygodniówkę, mimo że przeniósł się do domu dziecka. Dostał pieniądze akurat tego dnia, kiedy się o nie upomniał, mimo że matka trochę dziwnie na niego spojrzała.

Miał wielką ochotę iść do centrum handlowego w pobliżu, żeby sobie kupić coś smacznego do jedzenia albo pograć na automatach. Albo jedno i drugie. Ale oczywiście nie mógł, bo tam go znali. A gdyby pojechał autobusem do innego centrum, w zupełnie innej części miasta...? Był już kilka razy w Storo. Matka miała tam znajomą fryzjerkę z dawnych czasów, która zawsze strzygła ich oboje. To ona zrobiła mu tę punkową fryzurę, która powoli zniknęła. Przestał już być z jednej strony łysy. Nawet mu się to podobało, ale matka na jego widok zrobiła smutną minę.

Postanowił, że wybierze się do Storo. Chociaż nie przypominał sobie, by były tam jakieś automaty.

Doszedł do przystanku, autobus podjechał już po kilku minutach. Olav bez słowa wręczył kierowcy banknot pięćdziesięciokoronowy, resztę schował do kieszeni. Usiadł na samym końcu niemal pustego pojazdu. Było późne popołudnie, prawie wieczór, ale wiedział, że ponieważ jest czwartek, w centrum handlowym na pewno będzie sporo ludzi. Po namyśle stwierdził, że może tak i lepiej.

Podróż nie trwała długo. Zaczął trochę ciąć scyzorykiem siedzenie z przodu, ale przerwał mu mężczyzna, który usiadł obok.

Wyskakując z autobusu, skręcił nogę i aż jęknął. Ból przypominał mu o matce i dobry humor minął.

W centrum handlowym nie było prawdziwych automatów, tylko jakaś idiotyczna maszyna loteryjna, na której, jak wiedział, nigdy nic nie wygra. I jeden jednoręki bandyta, który też ani trochę go nie bawił. Ale na parterze były dwie restauracje, a on zgłodniał. Jedna okazała się bardziej elegancką wersją garkuchni, w której serwowano obiady i piwo. Druga

raczej przypominała cukiernię i tę właśnie wybrał. W środku zauważył kilka wolnych stolików. Kupił więc colę i dwa ciastka.

Storo było bardziej staroświeckie niż centrum handlowe w pobliżu domu i chyba też znacznie mniejsze, za to bardzo przyjemne. Przy sąsiednim stoliku siedział niewiarygodnie stary człowiek, który bez przerwy coś do siebie mówił, a Olav się śmiał z tych dziwnych opowieści. Staruszek cały czas rozlewał kawę, aż kelnerka zaczęła się irytować, gdy trzeci raz musiała przyjść ze ścierką. Kiedy mężczyzna się zorientował, że Olav słucha jego przemowy, przysunął sobie krzesło do jego stolika i dalej bredził o wojnie, morzu i nieżyjącej od dawna żonie. Olav świetnie się bawił. Kupił jeszcze jedną colę dla siebie i filiżankę kawy dla staruszka, który podziękował mu z uśmiechem i wylewną wdzięcznością.

Był taki rozbawiony, że nie spostrzegł ich w porę. Nie zauważył, że do kawiarni zbliżają się dwaj umundurowani policjanci.

Znieruchomiał. Wcale nie uznał, że tak będzie rozsądniej. Po prostu śmiertelnie się wystraszył. Do tej pory nie dopuszczał do siebie możliwości natknięcia się na policję.

Kelnerka przywołała funkcjonariuszy.

– On tu siedzi już od czterech godzin. Pije tylko kawę, brudzi i przeszkadza innym gościom – poskarżyła się, wskazując na staruszka, który po raz pierwszy od przyjścia Olava zamknął usta i próbował schować się w filiżance kawy.

Przysunął się bliżej do chłopca, jakby u niego szukając schronienia. A kiedy Olav powoli się podniósł, żeby niepostrzeżenie wyjść tyłem do funkcjonariuszy, staruszek złapał go za rękę i szepnął z rozpaczą:

– Nie zostawiaj mnie, chłopcze. Nie zostawiaj mnie!

Wprawdzie wyglądał na drobnego i słabego, ale uścisk miał silny. Olav przez kurtkę poczuł palce staruszka na ramieniu i musiał z całej siły je z siebie strząsnąć. Zajął to kilka sekund, a w tym czasie policjanci zdążyli już dojść do stolika.

– Ten pan jest z tobą? – spytał jeden.

Olav wbił wzrok w podłogę i mocniej naciągnął czapkę na uszy.

– Nie, ja go wcale nie znam – odparł i ruszył do wyjścia.

Był już prawie za kwaciarnią, przy automatycznych drzwiach, już czuł na twarzy chłodny powiew wolności, gdy nagle usłyszał za sobą wołanie jednego z policjantów:

– Hej, ty! Zaczekaj!

Przystanął, ale się nie odwrócił. Czapka gryzła go w czoło, nie miał jednak odwagi jej podciągnąć. Czuł też coś w jednym bucie. Coś, co strasznie urosło, przebiło się przez podeszwę stopy, niemal paraliżując nogę. Coś też ścisnęło go w płucach tak, że nie mógł

oddychać. Popatrzył na mijających go ludzi, na mężczyzn z żonami i małymi smarkaczami w wózkach. Usta wszystkich uśmiechały się i poruszały. Ale on i tak słyszał tylko gwałtowne bicie własnego serca. Zrobiło mu się niedobrze. Okropnie niedobrze.

Puścił się biegiem. Obliczył idealnie. Drzwi były otwarte, ale właśnie zaczęły się zamykać. Wszyscy ludzie wchodzący i wychodzący z centrum zatrzymali się, zdumieni widokiem chłopca, który jak ogromna kula armatnia wypadł na parking, i zagrozdził tym samym drogę nadbiegającym policjantom. Drzwi zdążyły się całkiem zamknąć i dopiero po chwili wolno zaczęły się rozsuwać, żeby wypuścić dwóch przeklinających funkcjonariuszy. Gdy wreszcie znaleźli się na zewnątrz, chłopca nigdzie nie było już widać. Rozbiegli się w różne strony. Jeden nawet zgubił czapkę, ale mógł tylko patrzeć, jak przejeżdża po niej samochód. Popędził dalej.

Drugi miał więcej szczęścia. Kiedy zbliżał się do wielopiętrowego parkingu, zauważył postać wbiegającą po zewnętrznych schodach. Rozpoznał czapkę i puchówkę ledwie widoczne nad poręczą. Rozważył, czy nie powinien ściągnąć swojego partnera, zanim podejmie pościg, ale doszedł do wniosku, że z parkingu jest pewnie wiele dróg wyjścia, więc nie powinien tracić czasu. Pognał za chłopcem po schodach.

Kolega jednak, który biegł w stronę znajdującego się kilkaset metrów dalej Statoila, zorientował się w sytuacji i ruszył w kierunku wjazdu dla samochodów na drugim końcu parkingu, żeby odciąć chłopcu przynajmniej tamtą drogę ucieczki. Na górny poziom wpadł zaledwie kilka sekund po koledze. Uciekiniera nigdzie nie było widać. Starszy kolega gestem nakazał mu przeszukanie. Obejrzelili cały poziom. Sprawdzili wszystkie samochody. Skontrolowali każdą przestrzeń między autami z przodu i z tyłu. Nawet zajrzeli pod każdy samochód, mimo że żaden nie wierzył, by gruby dwunastolatek zmieścił się pod zwykłą osobówką. W końcu musieli spojrzeć prawdzie w oczy, bez względu na to, jak przykre to musiało być dla wytrenowanych funkcjonariuszy w sile wieku: poszukiwany chłopiec, Olav Håkonsen, przepadł jak kamień w wodę.

Bez entuzjazmu i bez nadziei kontynuowali poszukiwania jeszcze przez pół godziny i w centrum handlowym, i w jego pobliżu. W końcu z podkulonymi ogonami wrócili do radiowozu i złożyli raport, że chłopca widziano, ścigano, ale bez powodzenia. Ponieważ ostatnie pozostawione przez niego ślady znaleziono w domu jednorodzinnym na Grefsen, policja dość błędnie założyła, że przez cały czas przebywa w tej okolicy. Tym samym – wbrew doniesieniom sąsiadów przekonanych, że Olav Håkonsen wrócił do domu – odrzuciła możliwość, że chłopiec jednak ukrywa się u matki.

Ale przynajmniej żył. To była pewna pociecha.

Dwa dni po telefonie asystenta pojawili się ci z Urzędu Ochrony Praw Dziecka. Olav właśnie skończył jedenaście lat. Nie spodziewałam się ich, sądziłam, że wezwą mnie na rozmowę. Już nawet przeglądałam żółte strony w poszukiwaniu adwokata. Wiedziałam, że przysługuje mi pomoc prawnika, i to bezpłatna, ale w książce telefonicznej tak mało było informacji o ich specjalizacji, a przecież jest tyle ich rodzajów.

Stanęli w drzwiach – dwoje, kobieta i mężczyzna. Wcześniej ich nie spotkałam, ale też i minęło kilka lat, odkąd miałam z tym urzędem do czynienia ostatni raz. Chyba byli dość życzliwi; niezbyt dużo z tego pamiętam. Powiedzieli, że wszczęta została sprawa i zamierzają przeprowadzić kontrolę. Na podstawie, jak to nazwali, „doniesień zaniepokojonych obywateli”.

Doniesienia zaniepokojonych obywateli! Ja się niepokoiłam o chłopca nieprzerwanie przez ponad jedenaście lat, a oni dopiero teraz się zjawiają! Poprosili, żebym ich wpuściła, i rozglądali się w taki sam sposób jak kobieta z opieki społecznej dawno temu, kiedy Olav był jeszcze niemowlęciem. Ukradkowo, chociaż zarazem otwarcie.

To był czwartek. Właśnie sprzątnęłam całe mieszkanie. Nic mi nie mogli zarzucić. Podałam kawę i herbatniki, ale niczego nie tknęli. Myśleli, że chcę ich otruć?

Powiedzieli mi wszystko, co już wiedziałam. O odbiegającym od normy zachowaniu Olava, o jego agresji, o tym, że starsze dzieci potrafią namówić go do wszystkiego. O tym, że nauka nie najlepiej mu idzie i że psuje zabawę innym dzieciom. I że jest za gruby. Pytali, co jemy.

Wpadłam we wściekłość, to pamiętam dobrze. Zaciągnęłam kobietę do kuchni i otworzyłam lodówkę. Mleko, ser, wczorajsze klopsiki rybne. Margaryna, cebula i torba jabłek.

Zapisała coś w notesie. Zauważyłam tylko „mleko pełnotłuste”. Wtedy się poddałam. Olav nie chciał pić ani lekkiego, ani zupełnie odtuszczonego. Czy ich zdaniem lepiej, żeby w ogóle nie pił mleka?

Długo u mnie byli. Tak jak mówiłam, niewiele z tego pamiętam. Na szczęście Olav był na dworze. Ale kiedy zrobił się wieczór, a on wciąż się nie zjawiał, zaczęli patrzeć na zegarki. Powiedzieli, że zbierają informacje z różnych źródeł i że to może potrwać kilka miesięcy. Potem spytali, czy zgadzam się na sporządzenie opinii przez biegłego. Miał z nami rozmawiać psycholog albo psychiatra, tak aby „Urząd Ochrony Praw Dziecka lepiej mógł ocenić nasze

potrzeby”. Czy mam coś przeciwko temu?

Przez pięć lat starałam się nakłonić kogoś do zbadania chłopca i nigdzie nie mogłam znaleźć pomocy. Oczywiście, że nie miałam nic przeciwko temu. Przecież wiedziałam, że coś jest nie tak. Coś, co powinno zostać odkryte już wieki temu. „Lepiej późno niż wcale”, powiedziałam, a oni popatrzyli po sobie. Ale dlaczego psycholog miałby rozmawiać ze mną, tego pojąć nie mogłam. Zgoda na taką rozmowę byłaby przyznaniem, że to wszystko moja wina. Kategorycznie więc odmówiłam. Zgodziłam się jednak, żeby biegła dwa razy przyszła do naszego mieszkania. „Obserwacje współżycia”, tak to nazwała później w sporządzonym raporcie. W ogóle się w nim nie rozpoznałam. Wszystko zostało zniekształcone i odwrócone. Tłumaczyłam mojemu adwokatowi, że to nie z mojej winy Olav kładzie się tak późno. Mogłam próbować go zmuszać, ale z tego wynikały tylko awantury. A chyba lepiej było, żebyśmy w spokoju spędzali czas, niż żeby chłopiec wił się w łóżku i nie spał „Poważne problemy z wyznaczaniem granic”, tak napisała ta psycholog.

Dokładnie tak, jak się spodziewałam, stwierdzili, że Olav ma MBD. Wprawdzie napisali tylko: „Ujawniono oznaki mogące świadczyć o MBD w stopniu lekkim”, ale adwokat mnie zapewnił, że po prostu tak to określają. Wiedziałam o tym przez cały czas. Ale nikt mnie nie słuchał. I teraz, kiedy naukowo udowodniono, że chłopcu coś dolega, Urząd Ochrony Praw Dziecka postanowił, że już na pewno nie mogę się nim zajmować. Jest przecież taki trudny. Poza tym wcale nie mieli pewności, że jest chory, bo symptomy MBD równie dobrze mogły być wynikiem braku należytej opieki.

Uparli się, żeby mi wcisnąć konsultanta rodzinnego. Powiedziałam, że jestem gotowa na wszystko, co tylko mogłoby pomóc Olavowi, ale sama nie potrzebuję pomocy. To nie ja jestem chora. Nie mnie coś dolega.

W końcu sprawa trafiła do komisji okręgowej. Postanowili mi odebrać syna.

Kilka nocy nie spałam. Kiedy do nich przyszłam, wiedziałam, że cuchnę, chociaż rano wzięłam prysznic. Czułam, że ubrania są na mnie za małe, i żałowałam, że włożyłam tę niebieską bluzkę ze sztucznego tworzywa, a nie coś z bawełny. Ale adwokat powiedział, że ważny jest mój przyzwoity wygląd. Przez pierwszą godzinę myślałam tylko o tym, że śmierdę coraz bardziej, a plamy potu pod pachami stają się coraz bardziej widoczne. Kręciło mi się w głowie. Potężna, pulchna kobieta w okularach, z włosami związanymi w koński ogon dziwną mieszanką dialektów monotonna mówiła o tym, co poszło nie tak przez te wszystkie lata. Była adwokatką Urzędu Ochrony Praw Dziecka. W skład komisji wchodziło pięć osób, cztery kobiety i mężczyzna. Trzy pilnie notowały, a mężczyzna, który siedział z samego brzegu, drzemał. Jedna z kobiet, dobrze po sześćdziesiątce, przyglądała mi się tak, że robiło mi się

jeszcze bardziej słabo. W końcu musiałam poprosić o przerwę. Mój adwokat potrzebował o wiele mniej czasu niż adwokatka urzędu. Był to raczej zły znak, ale bałam się pytać, dlaczego tak jest. Poza tym urząd miał całą gromadę świadków, ja nie miałam żadnego. Adwokat twierdził, że nie potrzebuję. Nikogo zresztą nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy mnie wcześniej o to pytał.

Po dwóch dniach skończyliśmy. Przewodnicząca komisji, która przez cały czas okazywała mi życzliwość, spytała, czy poruszono wszystkie według mnie ważne kwestie i czy chciałabym coś dodać. Miałam w środku wielką bryłę słów, które nie zostały wypowiedziane. Tak bardzo chciałam, żeby zrozumieli. Chciałam, żeby cofnęli się ze mną w czasie, zobaczyli wszystko to, co było dobre, żeby zobaczyli, jak bardzo Olav i ja się kochamy. Chciałam, by zrozumieli, że zrobiłam wszystko dla mojego syna, że nigdy nie piłam alkoholu ani nie odurzałam się w inny sposób, że nigdy go nie uderzyłam i zawsze, ale to zawsze bałam się, że go stracę. Ale zamiast tego pokręciłam głową i spuściłam wzrok.

Dwanaście dni później dowiedziałam się, że odebrali mi dziecko.

Olav Håkonsen leżał w kontenerze na śmieci za parkingiem przy centrum handlowym i zastanawiał się, ile czasu minęło od momentu, gdy do niego wskoczył. Było już całkiem ciemno. Kiedy chciał sprawdzić, która godzina, zobaczył, że swatch zniknął. Nie mógł sobie przypomnieć, czy miał go na ręku wcześniej. Głowę rozsadał mu ból, a wokół ohydnie śmierdziało. Próbował się podnieść, ale zapadł się w worki ze śmieciami. Ogarnęły go mdłości. Zwymiotował ciastka i colę i poczuł się trochę lepiej.

Kontener był wypełniony do połowy, ale śmieci wrzucano do niego nierówno, a on leżał w takim miejscu, że z trudem, lecz mógł dosięgnąć metalowej krawędzi. Rękawiczki też gdzieś przepadły. Podciągnął się i znów stracił równowagę. Próbował sobie przypomnieć, co się stało.

Najwidoczniej skoczył. Jakies sześć, siedem metrów nad sobą widział pierwszy poziom parkingu. Przypominał sobie, że uznał skok za jedyne rozwiązanie. Więcej nie pamiętał.

Zakopał się głębiej między czarne cuchnące worki ze śmieciami i zapadł się w błogosławioną, pozbawioną snów ciemność.

Erik Henriksen miał za sobą długi dzień, który właściwie i tak był za krótki. Wciąż pozostawało im do załatwienia pięć przesłuchań, a przekonanie, że uporają się z nimi jutro, tak jak zażyczyła sobie tego Hanne Wilhelmsen, było iluzją. Zwłaszcza jeśli on i Tone-Marit mieli się tym zajmować sami.

Bóg jeden wiedział, gdzie Hanne i Billy T. się teraz podziewali. Absolutnie nie podejrzewał ich o wykręcanie się od roboty, ale dobrze by było mieć pojęcie o tym, co robią. Rzadko przebywali w komendzie i nawet Billy'ego T., który powinien czynnie pomóc w przesłuchaniach, nigdzie nie mogli znaleźć. Erik odnosił nawet wrażenie, że nie do końca uczestniczy w śledztwie, że nie w pełni mu ufają. Nie było to zbyt motywujące. Momentami wpadał nawet w irytację albo wręcz złość na Hanne. A ponieważ było to zupełnie nowe doznanie, nie bardzo umiał sobie z nim poradzić.

Poruszył głową z boku na bok, próbując rozluźnić mięśnie karku. Był zmęczony i zniechęcony, chciał do domu.

W drzwiach stanęła Tone-Marit. Nic nie powiedziała, tylko się uśmiechnęła.

Była bardzo zwyczajna. Właściwie całkiem ładna. Szczupła, ale twarz miała okrągłą. Lekko skośne i wąskie oczy zupełnie znikwały, kiedy się uśmiechała. Od czasu do czasu zmieniała kolor włosów. W ciągu tego roku przeszła już od blondu poprzez miedzianorudy do ciemnego brązu. Nie wiedział tylko, czy loki są prawdziwe, czy i za nie zapłaciła.

Zwykle niewiele się odzywała. Ale teraz stała tutaj przed nim, a było późne popołudnie, i radośnie się uśmiechała w drzwiach.

– Pójdziemy do kina? – spytał bez zastanowienia.

Nawet nie wyglądała na zaskoczoną.

– Możemy. A na jaki film?

– Wszystko mi jedno – odparł i od razu poczuł się mniej zmęczony.

Piechotą przeszli do centrum. Było już za późno, żeby zdążyć na seans o siódmej, a do tego o dziewiątej zostało mnóstwo czasu.

Tone-Marit wdzięcznie się poruszała. Jej chód był zdecydowany i – mimo że nie kołysała wyzywająco biodrami – bardzo kobiecy. Głowę trzymała prosto, chociaż prawie dorównywała mu wzrostem, a on miał metr osiemdziesiąt. Ubrana była w krótką skórzaną kurtkę, obcisłe dzinsy i dość szpiczaste sznurowane buty z cholewką ukrytą pod spodniami. Teraz też niewiele się odzywała, ale to w niczym nie szkodziło.

Dotarcie do kina Klingenberg zabrało im pół godziny. W tym czasie Erik dowiedział się już, gdzie Tone-Marit mieszka i że mieszka sama. A poza tym gra w piłkę nożną w pierwszej lidze, trenuje pięć razy w tygodniu i już sześć razy została powołana do kadry narodowej. Zaimponowała mu. Zdumiał się, że nie słyszał o tym wcześniej.

Kiedy okrążyli szklane witryny przy wejściu do kina, zobaczył Hanne Wilhelmsen. Serce jak dawniej podskoczyło mu w piersi na jej widok, ale pierwszy raz wiązało się to z negatywnymi, wręcz deprymującymi odczuciami. Z tą złością, której nie mógł się pozbyć. Zwolnił, potarł piegowatą twarz i błyskawicznie rozważył możliwość pójścia do innego kina, na przykład do Sagi. Ale przecież już wybrali film.

Hanne Wilhelmsen trzymała w palcach bilety i rozmawiała z trzema kobietami. Dwie miały krótko obcięte włosy i były bardzo do siebie podobne. Jedna w starym anoraku, druga w szarobrązowej bezkształtnej kurtce i wywiniętych kaloszach, jakie wylansował trener Drillo. Obie nosiły staroświeckie okulary w drucianych oprawkach. Trzecia wyglądała zupełnie inaczej. Miała półdługie jasne włosy i wzrostem niemal dorównywała Hanne. Spod rozpiętego, długiego prawie do ziemi płaszcza z jakiejś ciemnej tkaniny, wyglądającej na drogą, wystawała ciemnoczerwona sukienka zapinana z przodu. Dwa górne guziki były rozpięte, a kołnierzyk podniesiony. Właśnie odchyliła głowę, śmiejąc się z czegoś. Hanne szturchnęła ją w ramię i na jej twarzy też pojawił się uśmiech, jakiego Erik nigdy u niej nie widział. Wydawała się taka otwarta, jakby młodsza, weselsza, mniej skrepowana. I nagle go zauważyła.

Oczywiście Hanne już wcześniej przeżywała takie sytuacje, przypadkowe spotkania z kolegami na mieście, i miała gotowe strategie: lekkie skinienie głową albo uniesienie ręki i pospieszne przejście dalej ku czemuś, co sprawiało wrażenie jakiegoś ważnego celu. Ku czemuś, co wymagało pośpiechu i uniemożliwiała dalszą rozmowę. To zawsze działało. Chociaż Cecilie zwykle się złościła, a przynajmniej gniewnie kręciła głową.

Ale tu, pod kinem, w którym seans zaczynał się dopiero za dwadzieścia minut, wśród innych czekających, z biletem w ręku nie mogła tak się zachować. To byli jej podwładni. Ludzie, z którymi blisko współpracowała. Na co dzień. Musiała z nimi porozmawiać.

Uprzedzając ich, odłączyła się od swojego towarzystwa i ruszyła w ich stronę. Za późno spostrzegła, że Cecilie poszła za nią. Karen i Miriam na szczęście w porę się zorientowały i weszły do kina, znikając im z oczu. Niepojęte, dlaczego za wszelką cenę musiały już na pierwszy rzut oka wyglądać jak lesbijki. A czasami wręcz nieprzyjemne. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Oznajmiła więc po prostu:

– To jest Cecilie. – Świat zatrzymał się na trzy sekundy, zanim dodała: – Mamy

wspólne mieszkanie.

– Aha – powiedział Erik Henriksen i wyciągnął rękę do Cecilie. – A ja jestem Erik. Pracujemy razem. – Lewą dłonią wykonał okrężny ruch obejmujący jego, Hanne i Tone-Marit. – Ty też pracujesz w policji? – spytał z niedowierzaniem, uważnie przyglądając się Cecilie.

– O, nie, nie – roześmiała się. – W Szpitalu Ullevål. A więc ty jesteś Erik. Sporo o tobie słyszałam.

Hanne widziała, że Erik zмага się ze swoim nieodłącznym rumieńcem. Dziękowała wysokim mocom za to, że dzięki temu łatwiej jej było ukryć własny. Na Tone-Marit nie miała odwagi nawet spojrzeć.

– Udało wam się uporać z większością roboty? – spytała lekko i niepostrzeżenie zrobiła krok w bok, żeby nie stać zbyt blisko partnerki.

– Zostało nam jeszcze pięć przesłuchań – powiedziała Tone-Marit. – Pewnie załatwimy je jutro. A tak w ogóle to tego chłopca widziano dziś po południu.

Hanne wzięła się w garść.

– Widziano? Nasi ludzie go widzieli?

– Tak, w Storo – potwierdził Erik. – Ale udało mu się zwać. Mały twardziel. Już dwa tygodnie się ukrywa. Przeszukują całą okolicę. Ze Storo niedaleko jest do tej willi, w której spędził kilka dni. Chłopaki uważają, że mógł znaleźć sobie jakieś nowe schronienie, więc sprawdzają opuszczone domy przeznaczone do rozbiórki.

– Aha – powiedziała Hanne, która chciała mieć już za sobą to niechciane spotkanie. – Idziemy? Chcę zobaczyć reklamy.

– Ona jest naprawdę beznadziejna – uśmiechnęła się Cecilie przepraszająco. – Uwielbia reklamy!

– Ten komentarz był, do jasnej cholery, zupełnie zbędny – syknęła Hanne, kiedy znalazły się już poza zasięgiem słuchu Erika i Tone-Marit.

– Uważam, że świetnie sobie poradziłaś, Hanne – stwierdziła tylko Cecilie i wyjęła jej z ręki bilety, żeby podać kontrolerowi.

– Nie wiedziałem, że Hanne dzieli z kimś mieszkanie – mruknął Erik do Tone-Marit, kiedy znaleźli już swoje miejsca. – Zresztą śliczna dziewczyna.

Tone-Marit mocowała się ze słomką, która za nic nie chciała zmieścić się w kartoniku z sokiem.

– Mnie się wydaje, że one dzielą nie tylko mieszkanie – powiedziała spokojnie i wreszcie udało jej się zrobić dziurkę.

Ale Erik już zaglądał do torebki z czekoladkami. Nie mógł się doczekać filmu.

10.

O dziesiątej w piątek przed południem Maren Kalsvik znów zadzwoniła do Billy'ego T. Kenneth się rozchorował, płakał i nie pozwalał jej wyjść z domu. Wyjaśniła, że zazwyczaj musiał się z tym godzić, ale ostatnio tyle się przecież wydarzyło. Chłopiec był wystraszony i zagubiony, a poza tym miał trzydzieści dziewięć stopni. Wiedziała, że pewnie prosi o wiele, ale skoro pozostali pracownicy czekają w komendzie w kolejce na przesłuchanie, to może on przyszedłby porozmawiać z nią na miejscu. W domu dziecka.

Billy T. lubił Kennetha, a poza tym wiedział, jak trudne potrafią być chore dzieci. Za dwadzieścia jedenasta zaparkował więc własny samochód na drodze poniżej Promyka Słońca. Nigdzie nie mógł znaleźć Hanne i trochę go to zaniepokoiło. Miał nawet ochotę zadzwonić do niej do domu, ale zrezygnował.

Kiedy otworzył bramę, kierując się do wielkiej willi, w drzwiach stanęła chuda kobieta. Na jego widok zatrzymała się i zaczęła, aż podejdzie.

– Pan jest z policji – stwierdziła z niechęcią, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

Kiedy potwierdził, w jej oczach odbił się wyraz skupienia, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. Zaraz jednak szybko pokręciła głową, najwyraźniej rezygnując. Już bez słowa przytrzymała mu drzwi, a potem pobiegła wysypaną żwirem alejką.

Z pierwszego piętra, ciężko tupiąc, zbiegł Raymond i prawie zderzył się z Billym T., gdy ten zamierzał zajrzeć do pokoju dziennego.

– O rany, nie jesteś w szkole? – spytał.

– Zapomniałem stroju na gimnastykę! Maren jest w sali konferencyjnej! – zawołał siedemnastolatek i trzasnął wejściowymi drzwiami tak mocno, że mógłby obudzić umarłego.

Na szczęście nie zbudził Kennetha, który spał na piętrze.

– Nareszcie zasnął. W nocy prawie oka nie zmrużył – westchnęła Maren Kalsvik i wskazała Billy'emu T. krzesło.

– Pani chyba też.

Uśmiechnęła się lekko, zmrużyła oczy i wzruszyła ramionami.

– Nic mi nie będzie, ale o niego się niepokoję. Ta sprawa odbija się na dzieciach. I to na tych, które trzeba chronić przed stresem. Między innymi po to tu są. A w ciągu dwóch tygodni przeżyły tu zabójstwo i samobójstwo.

Zakryła twarz dłońmi i siedziała tak przez kilka sekund, po czym gwałtownie się podniosła i sztucznie wesołym głosem zaproponowała, żeby zaczęli.

– Ponieważ nie jesteśmy w komendzie – powiedział Billy T., ustawiając na środku stołu magnetofon – będę korzystał z tego, dobrze?

Nie odpowiedziała, więc uznał, że się zgadza. Po kilku próbach magnetofon zaczął działać, chociaż miał co najmniej piętnaście lat i cykał jak staroświecki zegarek. Był własnością Komendy Okręgowej Policji w Oslo i ktoś postanowił, że nie wolno o tym zapominać. Naklejki z napisem „KOP-O” widniały w sześciu miejscach. Obok niego Billy T. położył własny telefon komórkowy, liczący zaledwie dwa miesiące. Dostał go na Gwiazdkę od synów, co oznaczało, że ich matki musiały w jakiś sposób współpracować.

– Musi być włączony – wyjaśnił przepraszająco. – Wiem, że to idiotyczne. Ale to nie dla szpanu. Po prostu prowadzimy śledztwo i muszę być dostępny dla kolegów.

Maren Kalsvik znów się nie odezwała. Prawdopodobnie więc zgodziła się i na komórkę.

– Wróćmy do wieczoru w dniu zabójstwa – zaczął Billy T.

– Ja wracam do niego codziennie – powiedziała cicho. – Zawsze kiedy mogę wreszcie usiąść i trochę odpocząć. Wtedy wszystko odżywa na nowo. Wszystko. Ten straszny widok.

Właściwie ją podziwiał. Była taka młoda, a dźwigała tak wielką odpowiedzialność. Miała w sobie tyle miłości, że można ją było mierzyć wiadrami. Starczyłoby jej do obdzielenia całej gromady dzieci.

– Mieszka tu pani teraz?

– Tak. Ale tylko dopóki wszystko się nie ułoży.

Młockarnia nagle przestała cykać. Billy T. powalczył więc z klawiszami, które nie chciały tkwić w gniazdkach. W końcu magnetofon chyba znów zaczął działać.

– Przypomina sobie pani, o której Eirik Vassbunn do pani zadzwonił?

– To musiało być tuż przed pierwszą. W nocy oczywiście. – Uśmiechnęła się blado.

– I jak się zachowywał?

– Histerycznie.

– Histerycznie? Co pani przez to rozumie?

– Płakał, jękał się, niczego nie mógł wyjaśnić. Kompletnie się rozpadł.

Na jej twarzy pojawiła się twardość. Ściągnęła gumkę z włosów, zebrała je i na nowo związała.

– On mówi, że pani przyszła, zanim wezwano policję. – Billy T. wstał i podszedł do okna. Założył ręce na plecy i spytał, nie patrząc na Maren: – Dlaczego pani o tym nie powiedziała podczas pierwszego przesłuchania? – Odwrócił się gwałtownie i wbił w nią wzrok, ale z jej twarzy mógł wyczytać jedynie szczere zdziwienie.

– Ależ powiedziałam to wyraźnie. Jestem na sto procent pewna.

Billy T. podszedł do stołu i odszukał kopię poprzedniego przesłuchania. Miało pięć stron podpisanych i przez Maren, i przez Tone-Marit Steen.

– Proszę posłuchać – zaczął czytać: – „Świadek mówi, że Eirik Vassbunn zatelefonował do niej około godziny pierwszej. Mogło być dziesięć minut wcześniej albo później. Zdaniem świadka przybycie na miejsce zdarzenia nie zajęło jej więcej niż kwadrans. Vassbunn był bardzo wzburzony. Policja musiała zawieźć go na pogotowie, by uzyskać pomoc lekarską”. Kropka. Ani słowa o tym, że to pani dzwoniła. Ani słowa o tym, że kiedy pani tu przyszła, nie wezwano jeszcze policji.

– Ależ naprawdę mówiłam – upierała się Maren. – Dlaczego miałabym tego nie powiedzieć?

Billy T. potarł głowę. Powinien ją ogolić, bo trochę kłuła i swędziała. Wiedział, że prawdopodobnie Maren mówi prawdę. Z poprzedniego przesłuchania nie wynikało, że była na miejscu przed policją, ale nie wynikało też, że nie była. Tone-Marit to obiecująca policjantka, ale wciąż jeszcze zdarzały jej się wpadki.

Zadzwoił telefon. Oboje drgnęli.

– Słucham, Billy T. – warknął do słuchawki zły, że im przerwano. A złość jeszcze się wzmogła, kiedy usłyszał, że dzwoni właśnie Tone-Marit.

– Przepraszam, Billy – powiedziała – ale...

– Billy T. Mówiłem, że Billy T. Sto razy.

Lekko odwrócił się od stołu, Maren Kalsvik uniosła brwi i wskazała na drzwi. Kiwnął jej głową, trochę zakłopotany, ale dziewczyna wydawała się ucieszona z tak nieoczekiwanej szybkiej przerwy. Cicho zamknęła za sobą drzwi i Billy T. został sam.

– Co jest?

– Już wiemy, kto dokonał tego oszustwa z czekami.

Nic nie powiedział. Zaszumiała woda w rurach, przypuszczalnie Maren Kalsvik była w kuchni za ścianą i przygotowywała kawę. Albo może z jego uszami coś było nie tak.

– Halo? Halo?

– Jestem, jestem – powiedział. – I kto to był?

– Kochanek. Nagrania monitoringu pokazują to wyraźnie, mimo że przyprawił sobie beznadziejne sztuczne wąsy.

Wysnuta w pubie teoria Hanne rozpadła się w pył. Trudno, świat się od tego nie zawali.

– I jeszcze jedno – dodała, a jej głos niemal zanikł wśród szumów i trzasków. – Halo,

jesteś tam?

– Tak! – zawołał. – Halo!

– Kochanek zniknął. Od kilku dni nie było go w pracy, ale nie zgłosił choroby ani jakichś nagłych spraw. Tego kolegi, z którym miał spędzić wieczór w Drøbak w dniu zabójstwa, też nie możemy znaleźć.

Szum narastał. Teraz Billy T. już naprawdę nie wiedział, co było jego źródłem.

– Halo?

– Jestem! – krzyknął zirytowany. – Dowiedzcie się, gdzie ten facet się podziewa. Nie róbcie nic innego, zrozumiałaś? Nic. Po prostu dowiedzcie się, gdzie on jest. Będę w komendzie za dwadzieścia minut.

Zamknął klapkę telefonu, narzucił kurtkę i ledwie rzucił „do widzenia” Maren Kalsvik, która obserwowała go zdumiona, z dzbankiem kawy w jednej ręce i dwiema filiżankami w drugiej.

Oczywiście magnetofonu zapomniał.

Hanne nie przypominała sobie, kiedy ostatnio tak dobrze spała, mimo to była nieprzytomna. Upłynęło kilka sekund, zanim uświadomiła sobie, jaki to dzień. Nie miała ochoty się z nim spotykać. Na wszelki wypadek sprawdziła, czy nie boli ją gardło. Albo brzuch. Po dłuższym zastanowieniu stwierdziła, że czuje lekkie mrowienie w krzyżu, ale ono oznaczało jedynie, że wkrótce będzie miała okres. Wysunęła się spod kołdry i siarczyście zakłęła, widząc, że jest już po wpół do jedenastej.

Cecilie oczywiście już wyszła. W kuchni stół był nakryty do śniadania dla Hanne. Nóż, widelec, serwetka i talerz z najlepszego serwisu. Na talerzyku czułe pozdrowienia. Dzień stał się przynajmniej odrobinę lepszy.

Diakonacka Wyższa Szkoła Pracy Socjalnej mieściła się, nie bez logiki, przy Diakonveien, która zaczynała się od ronda na Volvat i kończyła na dużym parkingu. Budynki szkoły były ładnie usytuowane, na niewielkim pagórku, ale stanowiły mieszaninę stylów. Wejście było wciśnięte w róg między jednopiętrowym gmachem z cegły i wielkim żółtym klockiem o nieokreślonym wieku.

– Tak samo nieprzyjazna jak komenda – mruknęła Hanne do siebie i ruszyła przez parking do szkoły.

Tablica ogłoszeniowa z prawej strony zapraszała na wieczór melodii ludowych. Hanne przeszły ciarki. Po niewysokich betonowych stopniach schodziły trzy studentki, a może wykładowczynie. Hanne już miała spytać je o drogę do gabinetu rektora, ale w tej samej chwili dostrzegła następną tablicę, informującą, że powinna wejść po schodach, skręcić w lewo i przejść przez atrium. Po drodze dwie kolejne tablice zapraszały na poranne nabożeństwo, a poza tym proponowały modlitwę w intencji życzącej sobie tego osoby. Może to by nie było takie głupie, pomyślała. Ale z tego, co wiedziała, oferta nie dotyczyła takich jak ona.

Okazało się, że czeka ją rozmowa z Ellen Marie Sørensen. Kobieta najwyraźniej znała się na rzeczy. Surowa twarz świadczyła o skuteczności, słowa brzmiały życzliwie, ale mówiła tonem ostrym i wymagającym. Ubierała się niedrogo i niezbyt gustownie, lecz na pewno stosownie. I ten styl pasował do niej. Szara plisowana spódnica i bluzka z marszczeniami pod ciemniejszym, również szarym żakietem sprawiały, że wyglądała na starszą, niż była. Włosy przycięte w skromną, ale bardzo kobiecą fryzurę, z lekkimi śladami odległego w czasie farbowania. Ellen Marie Sørensen należała do kobiet, przy których Hanne zawsze czuła się niepewnie. Żałowała, że nie ubrała się bardziej oficjalnie. Włożyła sztruksy i wełniany sweter w ludowy wzór, a powinna być raczej w mundurze.

Pani Sørensen potwierdziła, że niedawno rozmawiała z Agnes Vestavik. Nie potrafiła dokładnie umiejscowić tej rozmowy w czasie, ale nie mogło to być dawniej niż trzy tygodnie temu. Zapamiętała ją dobrze, bo wstrząsnęło nią pytanie. W pierwszej chwili odmówiła nawet odpowiedzi.

– Nigdy przecież nic nie wiadomo – powiedziała, ściągając usta. – Każdy może zadzwonić i podać się za kogokolwiek.

Ale ponieważ niedługo później rektor poprosił, by jednak udzieliła odpowiedzi Agnes Vestavik, jego starej znajomej, oddzwoniła do niej.

– I co to było za pytanie? – zapytała Hanne, składając ręce jak do modlitwy.

Może uczyniła to za sprawą miejsca, bo przecież na chrześcijańskiej uczelni Bóg powinien być bardziej obecny niż gdzie indziej, a może po prostu dlatego że gotowa była zrobić wszystko, żeby dowiedzieć się, dlaczego Agnes Vestavik dzwoniła do Diakonackiej Wyższej Szkoły Pracy Socjalnej w tygodniu, w którym została zamordowana. Dobry Boże, pomyślała, wpatrując się we własne zbiegające się kciuki. Niech odpowiedź będzie taka, jak myślę.

Wysłuchał jej. Nawet nie podziękowała. Za bardzo jej się spieszyło.

Był jasny dzień. A on czuł się prawie martwy. Przynajmniej tak wyobrażał sobie stan bliski śmierci. Ręce i nogi miał zupełnie bez czucia. Głowa zmieniła się w kulę ognia, ale poza tym był zlodowaciały. Może to dlatego prawie nie mógł się ruszać. Dookoła nieustannie rozlegał się warkot samochodów. Często dochodziły też głosy. Musiał stąd odejść.

Kiedy odsunął worki ze śmieciami, zrobiło się jeszcze zimniej, ale ruchy stały się możliwe. Na brzegu kontenera przysiadły dwie mewy. Gapiły się na niego. Po chwili przekrzywiły łebki i zaczęły skrzekliwie się skarżyć. Może tu mieszkały, może zajął ich dom. Spłoszył je, odleciały na parking, gdzie przysiadły i dalej na niego patrzyły, skrzecząc.

W końcu zdołał wydostać się z kontenera. Musiał położyć się na krawędzi na brzuchu i prawie stoczyć. Uderzył się, upadając, ale to już nie miało tak wielkiego znaczenia. Powolnymi ruchami strzepywał z siebie najgorszy brud, gdy nagle z pierwszego poziomu parkingu wychylił się mężczyzna i spytał, czy w czymś mu nie pomóc. Pokręcił głową i ruszył przed siebie.

Nie wiedział, ile godzin spędził w kontenerze. Głównie spał, a przynajmniej drzemał. Krótkie chwile przytomności wykorzystywał na podjęcie decyzji.

Ktoś musiał mu pomóc. Czuł, że sam już nie da rady. Ale niewiele było osób, które rzeczywiście mu pomogły. Może kiedyś trochę wspierał go ten asystent, potem jednak sprzymierzył się z Urzędem Ochrony Praw Dziecka i działał za ich plecami. No i mama, oczywiście.

Zakłuło go, kiedy pomyślał o matce. I ból stał się dotkliwszy. Skóra cierpła, a w głowie jeszcze mocniej pulsowało. Ale przynajmniej nie był głodny.

Najbardziej chciał, żeby to mama mu pomogła. Tak byłoby najsluszniej, bo nie mijała się z prawdą, kiedy powtarzała, że są ze sobą związani.

Ale jej nigdy nic się nie udawało. A w tej sprawie na pewno nie umiałaby nic zaradzić. Nie bardzo wiedział, jak należy postąpić, ale ktoś musiał coś zrobić. I to raczej nie mogła być mama.

Pozostawała tylko jedna osoba. Maren. Ona mu naprawdę pomogła. I przecież powiedziała wyraźnie: gdyby kiedykolwiek miał jakieś problemy, to powinien zwrócić się z nimi do niej.

Zamroczone i wycieńczone zaczął myśleć o tym, jak się dostać do Maren.

Prawie na siebie wpadli przed wejściem dla personelu. Oboje porzucili samochody w bardzo nieprzepisowych miejscach, zakłócając ruch przy dystrybutorach dla samochodów komendy.

– Gdzie ty, do cholery, byłaś? – spytał Billy T., ale Hanne zorientowała się, że jest bardziej uradowany niż wkurzony.

– Już wiem, o kogo nam chodzi – oświadczyła.

– Ja też – odparł Billy T.

Zatrzymali się.

– Dlaczego mam wrażenie, że nie myślimy o tej samej osobie? – spytała Hanne cicho.

– Bo prawdopodobnie właśnie tak jest – odpowiedział Billy T. także szeptem.

Nie odezwali się do siebie więcej, dopóki nie znaleźli się w pokoju Hanne.

– Ty pierwszy.

Wypiła łyk dawno otwartej zwietrzalej coli. Skrzywiła się i odstawiła butelkę.

– To Kochanek – oznajmił Billy T. i sięgnął po colę.

– Ostrzegam cię, nie pij tego, jest prastara. Dlaczego uważasz, że Kochanek ją zabił?

Kiedy otrzymała wyjaśnienie, odebrało jej mowę. Zapaliła papierosa. Przemyślenie tego, co usłyszała, zajęło jej siedem minut. Billy T. jej nie przeszkadzał.

– Zwińcie go jak najszybciej – powiedziała w końcu. – Natychmiast.

– *Yes!* – Billy T. triumfalnie uderzył pięścią w stół.

– Ale poproście o nakaz zatrzymania. Za oszustwo. I za sfalszowanie czeków. I za kradzież.

– Nie za zabójstwo?

Ledwie zauważalnie pokręciła głową.

– Do diabła, Hanne, dlaczego nie za zabójstwo?

– Ponieważ on tego nie zrobił.

Wstała i sięgnęła po grubą księgę ze zbiorem wszystkich ustaw. Przerzucała szybko stronicę, aż dotarła do kodeksu karnego. Nie bardzo pamiętała, jaka jest kwalifikacja prawna kradzieży książeczki czekowej – czy to przestępstwo o charakterze ciężkim, czy nie.

– Wobec tego kto, do pioruna, zabił? – Billy T. już prawie ryczał, wymachując rękami.

– Kto zdaniem jej wysokości Hanne Wilhelmsen jest sprawcą? To tajemnica, którą królowa pragnie zachować dla siebie?

– Maren Kalsvik – powiedziała spokojnie. – Zrobiła to Maren Kalsvik.

Zanim zdążyła uzasadnić swoje twierdzenie, rozległo się pukanie do drzwi. Billy T. przypadł do nich i otworzył szarpnięciem.

– Co znowu? – zniecierpliwił się na widok Tone-Marit.

– Kolejne nowości. Ten dokument. – Nachyliła się i przeszedłszy pod jego ręką, zbliżyła się do przełożonej. – Spójrz, Hanne. – Podała jej kartkę.

Była to kopia małżeńskiej umowy majątkowej podpisana przez Agnes i Odda Vestavików.

– Odd Vestavik nie powiedział wujowi Torvaldowi całej prawdy – oświadczyła. – Ten dokument złożono u notariusza dwa dni przed zabójstwem. Po prostu nie został jeszcze zarejestrowany.

– Co to oznacza? – zniecierpliwiony Billy T. próbował dosięgnąć kartki, której Hanne jeszcze nie doczytała do końca, dlatego nie pozwalała jej sobie wyrwać.

– To, że Vestavik nie musi przeprowadzać postępowania spadkowego i w praktyce może zatrzymać cały majątek, a nawet zrobić z nim, co zechce. Wszystko należy do niego.

– Wielkie nieba! – Hanne odwróciła się do Tone-Marit. – Jak wyście zdołali to wszystko załatwić? Falszowanie czeków, jakieś umowy małżeńskie i Bóg wie co jeszcze. Przez dwa tygodnie kręcimy się w kółko, szukając motywów i sposobności, a wy to wszystko znajdujecie w jeden dzień.

– Po prostu dobrze gospodarujemy czasem – oświadczyła Tone-Marit, patrząc Hanne w oczy. – Bo niestety dowódca nie ma ochoty należycie pokierować swoimi oddziałami. Staramy się więc, jak możemy. Oboje. I Erik, i ja.

Jej spojrzenie nie było wcale wrogie ani nawet wyzywające, ale mocne. Nie spuściła wzroku bodaj na cal.

Billy T. zdrętwiał. Bał się poruszyć, tylko brwi mu drgnęły. Wydawało mu się, że nawet sekundnik ściennego zegara znieruchomiał przerażony.

– Trafiony, zatopiony. – Hanne uśmiechnęła się słabo. – Strzał w dziesiątkę, muszę przyznać.

Billy T. głośno wypuścił powietrze z płuc i zaczął się śmiać.

– Dzisiejsza młodzież, Hanne, nie ma za grosz szacunku!

– Przynajmniej ty się zamknij! – Stuknęła go palcem w pierś. – Od tej pory będę wami kierować. Sprowadźcie tu Erika. Natychmiast!

Wystawienie nakazu zatrzymania Kochanka nie zajęło dużo czasu. Wprawdzie do sprawy przydzielono mniej doświadczonego i dość powolnego prawnika, którego zainteresowanie zabójstwem Agnes Vestavik było do tej pory raczej niewielkie, ale wzruszył tylko ramionami i pouczył dwójkę młodych posterunkowych, odbywających staż, o niezbędnych formalnościach. Dopiero potem Hanne Wilhelmsen ściszym głosem mogła im udzielić bardziej praktycznych instrukcji, jakich naprawdę potrzebowali, i kazać działać. Wcześniej ustalili, że zniknięcie Kochanka nie było niepokojące. Po prostu siedział w domu i pił.

Hanne wróciła do swojego pokoju, gdzie Billy T. zdążył już zadbać o świeższą colę dla całej czwórki. Usiadła na swoim miejscu i wypila pół butelki na raz. Spojrzała na Tone-Marit i Erika i z powrotem przeniosła wzrok na młodą policjantkę.

– Miałaś całkowitą rację. Nie sprawdziłam się, przepraszam.

Billy T. i Erik, trochę zażenowani, próbowali zbagatelizować sprawę. Ale Tone-Marit w milczeniu patrzyła na Hanne.

– Naprawdę przepraszam.

Dziewczyna nadal nie spuszczała z niej wzroku, ale jej wąskie oczy już się uśmiechały. Hanne odpowiedziała uśmiechem i dodała:

– A teraz spróbujemy się zorientować w tym gąszczu zabójców, w który się wplątaliśmy. I zabójczyń.

Porozkładała dokumenty z zielonej teczki na cztery pliki i na jednym położyła szczupłą dłoń. Obrączka na palcu błysnęła, zwracając uwagę całej trójki siedzącej naprzeciwko, i Hanne, wiedzona starym odruchem, już miała ją schować, ale coś ją powstrzymało.

– To jest Maren Kalsvik – powiedziała i lekko klepnęła pierwszą kupkę. – A to jest Kochanek, który okradł swoją najdroższą przed jej śmiercią. Tutaj – dotknęła trzeciego stosu – mamy męża, który okłamuje policję, zatajając korzyści, jakie odniesie ze śmierci żony.

Czwarty plik, wciąż w zielonej okładce, został przesunięty na sam brzeg biurka.

– A to jest cała reszta. Olav Håkonsen, jego matka, Terje Welby i...

– Dlaczego właściwie skreśliłaś Terjego? – przerwała jej Tone-Marit. – Przecież on mimo wszystko jest najbardziej podejrzany, czy nie?

– To jest za proste, Tone-Marit. Zbyt ewidentne. I nie podoba mi się brak listu

pożegnalnego. Technicy nie mają już wątpliwości, że to było samobójstwo, jeśli kiedykolwiek je mieli. Welby zginął od własnego noża do tapet. Prawdopodobnie zabił się z powodu żalu i depresji. A także nie potrafiąc znieść myśli, że okazał się łotrem i bandytą okradającym pracodawcę. Ale nie znaleźliśmy nic innego, co by potwierdzało, że zabił Agnes. Całe nasze doświadczenie aż krzyczy, że powinniśmy znaleźć przy nim list, w którym albo zapewniałby o swojej niewinności, jeśli chodzi o zabójstwo, i prosił o wybaczenie za wszystko inne, co zrobił, albo też do wszystkiego się przyznawał. To było samobójstwo popełnione w najgłębszej rozpacz, będące zarówno ucieczką, jak i pokutą. A pokuta by się nie dopełniła, gdyby nie przekazał komuś informacji o tym, co naprawdę zrobił.

– Ale nie napisał takiego listu – wtrącił Billy T., bekając.

– A ja uważam, że napisał. Właściwie jestem pewna, że zostawił list. Tylko że ktoś go zabrał.

Erik oblał sobie koszulę colą, Tone-Marit opadła szczęką, a Billy T. gwizdnął.

– Maren Kalsvik – powiedział głównie do siebie.

– List mógł zabrać każdy – zaprotestował Erik. – Dlaczego właśnie ona?

– Ponieważ chciała, abyśmy uznali, że morderca nie żyje. Ponieważ jej świat się zawali, jeżeli straci pracę. Pracę, dla której żyje i oddycha, a którą zdobyła, fałszując dokumenty i kłamiąc.

Teraz to Tone-Marit gwizdnęła, cicho, ale przeciągle.

– Maren Kalsvik studiowała w Diakonackiej Wyższej Szkole Pracy Socjalnej – ciągnęła Hanne z rękami założonymi za głowę. – To jest prawda. Ale oblała ostatni egzamin. Wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. To nic takiego, do egzaminu można podejść drugi raz, jesienią. Problem jednak polega na tym, że później też nie zdała. I właśnie wówczas dokonała najgłupszego wyboru w życiu. Zamiast powtórzyć cały ostatni rok, a tym samym zdobyć dwie nowe szanse, zdecydowała się na kolejną powtórkę. I znów oblała.

– Czy ona jest jakaś głupia? – mruknął Billy T. – Przecież wydaje się, że tak świetnie sobie radzi.

– Praktyka i teoria to dwie różne sprawy. Mogło jej się nie powieść z tysiąca powodów. Dramatyczne jest to, że po trzeciej powtórcie nie ma już możliwości kolejnej próby. Nigdy. Na listach osób z dyplomem Diakonackiej Wyższej Szkoły Pracy Socjalnej nie ma żadnej Maren Kalsvik. Ani w roku dziewięćdziesiątym ani dziewięćdziesiątym pierwszym. Ani w żadnym innym, jeśli chodzi o ścisłość. A ubiegając się o tę pracę, musiała przedłożyć dyplom. I on po prostu jest fałszywy.

– Cholera, fatalnie! – westchnął Billy T.

– Chyba tak właśnie się musiała czuć, kiedy nie zdała.

– Czy Agnes na pewno powiedziała Maren, że to odkryła? – spytała Tone-Marit.

– Nie wiemy. – Hanne pokręciła głową. – Ale jeśli powiedziała, to Maren miała świadomość, że jej życie legło w gruzach, a to było sto razy gorsze niż odsiadka za kradzież trzydziestu tysięcy koron. Gorsze niż utrata domu i pieniędzy. A poza tym mam coś jeszcze...

Pół godziny później cała cola zniknęła, a temperatura w pokoju pani komisarz zaczęła niebezpiecznie zbliżać się do trzydziestu stopni. Erik był podniecony i spocony, Billy T. uśmiechał się szeroko, a Tone-Marit kolejny raz w duchu stwierdziła, że Hanne Wilhelmsen jest najlepszą śledczą, jaką kiedykolwiek spotkała.

Żadne nie miało już wątpliwości. Kochanek okazał się łotrem, który dostanie wyrok za przestępstwo przeciwko mieniu. Nieszczęsny mąż głupkiem, który bał się powiedzieć prawdę, chociaż nie była dla niego ani trochę groźna. Ale to Maren Kalsvik była zabójczynią.

Bez względu jednak na to, jak to obracali i rozgrzebywali, nie byli w stanie tego udowodnić.

Cathrine Ruge zatrzymała się przy stoisku z warzywami i próbowała sobie przypomnieć, czy ma w domu marchewkę, czy jednak powinna kupić jeszcze jedną paczkę. Ale w środku zimy marchew nie wyglądała zbyt kusząco. Może więc raczej powinna wziąć kalarepę? Zastanawiała się, wążąc w rękę szarozółtą spłaszczoną bulwę, kiedy z hałasem wpadła do sklepu gromada młodych ludzi w czerwonych puchówkach z naszytymi filcowymi kotami, emblematami szkoły.

O Boże, maturzyści z roku na rok zaczynają się bawić coraz wcześniej, pomyślała. Za jej czasów ostre wkuwanie trwało niemal aż do 17 Maja, co najwyżej z wyjątkiem wyjścia do knajpy w jedną czy drugą sobotę. A jeśli chodzi o charakterystyczny strój, to Cathrine miała jedynie czapkę, a i tę włożyła tylko w Święto Konstytucji.

Młodzi ludzie opróżnili lodówkę z napojów i zaczęli brać ze stojaka ogromne ilości słodyczy. Bez żadnych hamulców ładowali czekoladki na wagę, a jeden z nich, chuderlawy chłopak, głośniejszy niż wszyscy pozostali razem wzięci, chciał do tego stopnia zaimponować dwóm koleżankom, że przewrócił całą półkę. Czekoladki, cukierki i żelki posypały się na podłogę. Nagle zapadła kompletna cisza, ale sekundę później gruchnął śmiech. Dziewczyna w kasie wyglądała na zrozpaczoną. Była prawdopodobnie od nich młodsza, a poza tym pewnie

nawet jej się nie śniło o maturze i bała się choćby zwrócić im uwagę. Zamknęła więc tylko kasę i poszła po szczotkę i szufelkę. Zanim wróciła, młodzi ludzie nabrali tyle napojów i słodczy, ile mogli unieść, i zniknęli.

Cathrine przez chwilę chciała ich zatrzymać, ale tak jak kasjerka wystraszyła się tej hałaśliwej gromady, która wysypała się ze sklepu niczym wielogłowy troll. Pozostałe w środku cztery dorosłe osoby stały zawstydzone i starały się na siebie nie patrzeć. Tylko Cathrine postanowiła jednak przynajmniej pomóc kasjerce posprzątać. Po chwili wahania przykucnęła i zaczęła zbierać ubrudzone zimowym błotem cukierki, które nadawały się tylko do wyrzucenia. Dziewczyna z wdzięcznością podsunęła jej duży worek na śmieci i szepnęła:

– Oni tu często przychodzą. Strasznie hałasują, ale zwykle nie kradną.

– Powinna pani bezwzględnie zawiadomić policję – poradziła jej Cathrine.

– Szef się tym zajmie. Niedługo przyjdzie – wyjaśniła sprzedawczyni, ale Cathrine miała wrażenie, że dziewczyna jeszcze bardziej bała się szefa niż tamtych.

Zaofiarowała się więc, że zaczeka i pomoże jej wyjaśnić, co się stało.

– Nie, nie, nie trzeba – zaprotestowała tamta. – Tak będzie jeszcze gorzej.

Sprzątanie zajęło dziesięć minut. Ćwierć dużego worka na śmieci wypełniło się zniszczonymi słodczymi.

– Jeśli dacie znać o tym w szkole, będą mieć kłopoty – powiedziała, podejmując nieudaną próbę pocieszenia młodej kasjerki, która wróciła już na swoje stanowisko. – Te naszywki z kotami oznaczały, że chodzą do Liceum Katedralnego. Mogłabym...

– Nie, nie – przerwała jej dziewczyna. – Bardzo panią proszę...

Cathrine pokręciła głową, zapłaciła za swoje zakupy i wyszła. Kupiła jednak kalarepę, mimo że wyglądała na miękka i zwiędnięta. Była prawie pewna, że marchew ma w lodówce.

I nagle sobie przypomniała. To, co wydało jej się takie ważne, kiedy Christian mówił, że to Maren mogła zabić Agnes. Wielkie schłodzone krople deszczu padały jej na twarz, kiedy przystanęła, żeby się zastanowić, czy powinna zawiadomić o tym policję. Odstawiła plastikową torbę na chodnik i potarła zmarznięte mokre policzki.

To z pewnością nie ma znaczenia, bo przecież zabójcą Agnes musiał być Terje. Ale znów wezwali wszystkich na przesłuchanie, co było trochę dezorientujące. Głupio, że nie przypomniała sobie o tym wczoraj, gdy składała zeznania w komendzie. Mogłaby o tym napomknąć mimochodem, a policja sama by oceniła, czy to ważne. Jeśli teraz zadzwoni tylko po to, by o tym powiedzieć, to zada Maren cios w plecy. Bo w pewnym sensie zdradzi się ze swoimi podejrzeniami, a przecież niczego nie podejrzewała. Żadną miarą. Może właśnie dlatego całkiem wyleciało jej to z głowy.

Podniosła torbę i zaczęła iść. Przy co drugim kroku kalarepa uderzała ją w nogę.
Musi się nad tym zastanowić.

Nie czuł już zimna. Dziwne, bo skórę miał w dotyku taką jak wtedy, kiedy marzył. Szorstką, zdrętwiałą i dziwną. Jeszcze dziwniejsze było to, że nie był głodny. Nie jadł od wczoraj, a ciastka zwymiotował przecież już dawno temu. Zamiast zwykłego ssania w żołądka czuł lekkie mdłości, ale nie tak mocne jak w nocy.

Najbardziej dokuczała mu głowa. Nieustanne pulsowanie i walenie. Jak gdyby ktoś wbił mu śrubokręt w skroń. Czasami łapał się za ucho, bo ból był tak silny, jakby miał tam wielką dziurę.

Poza tym chciało mu się pić. Strasznie. Za każdym razem, gdy mijał kiosk albo stację benzynową, zastanawiał się, czy nie kupić oranżady. Ale na pewno ściagał go już cały świat. Wszędzie były radiowozy. Nigdy w życiu nie widział tylu samochodów policyjnych co dzisiaj. Bardzo opóźniały jego wędrówkę. Męczyło go to, że stale musiał się chować. Jeździły z wyłączonymi syrenami, więc cały czas zachowywał czujność. Niektóre poruszały się strasznie wolno. Szukały go. W pewnym momencie jakiś radiowóz zatrzymał się zaledwie sto metrów od niego. Policjant wysiadł i osłaniając dłonią oczy, patrzył w jego stronę. Znow więc zaczął biec, ale na szczęście zobaczył otwarte drzwi do piwnicy, chyba w warsztacie samochodowym. Zanim z – jak się okazało – kanału wyrzucił go rozzłoszczony siwy staruszek, policja na szczęście odjechała.

Musi dojść na miejsce przed wieczorem. Kiedy już będzie bliżej domu dziecka, ostatni kawałek drogi może pokona autobusem. Może. Zobaczy. Na razie jeszcze nie podjął decyzji.

– Mnóstwo radiowozów go szuka. Dwa razy go widziano. Tutaj... – Erik Henriksen nieprawdopodobnie obgryzionym paznokciem wskazał punkt na planie Oslo rozłożonym na biurku Hanne Wilhelmsen – ...i tutaj.

Hanne obracała w palcach pustą paczkę po papierosach. W końcu ze sreberka zrobiła bociana. Kiedy skończyła, nachyliła się nad planem i zaczęła małym palcem kreślić na nim

kółka, zanim w końcu znalazła to, czego szukała. Spróbowała postawić tam bociana.

– Dom dziecka – powiedziała.

Bocian się przewrócił.

– On idzie do domu dziecka.

Używając złamanego ołówka jako wskaźnika, zaznaczyła trasę ze Storo do Promyka Słońca. Punkty wskazane przez Erika znajdowały się mniej więcej na linii między tymi dwoma miejscami, bliżej jednak Storo niż celu Olava.

– Po co on tam, do diabła, wraca? – spytał Erik, próbując z powrotem ustawić bociana.

– Przecież stamtąd uciekł.

– On musi stać zupełnie na płaskim – poinstruowała Hanne. – Zrób mu trochę większe stopy.

– Jak myślisz, dlaczego tam wraca? – powtórzył Erik. Wreszcie udało mu się ustawić papierowego ptaszka.

Hanne nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia. Ale bardzo jej się to nie podobało. Ogarnął ją jakiś niepokój, lekki skurcz umiejscowiony gdzieś między pępkiem a przeponą, który z każdą chwilą przybierał na sile. Znała go. Pojawiał się zawsze, gdy działo się coś, czego nie rozumiała, lecz co miało znaczenie. Coś, czego nie była w stanie przewidzieć i do czego nie mogła dopasować żadnej teorii. Bardzo tego nie lubiła.

– Mam szczerą nadzieję, że go złapią, zanim tam dotrze.

– Na pewno – uspokoił ją Erik. – Pięć wozów go szuka. Chyba nie może być tak trudno dogonić dwunastolatka!

Było już dobrze po drugiej po południu i czas zaczął im się kończyć. Przynajmniej jeśli chcieli dotrzymać złożonej w przyływie optymizmu obietnicy, że sprawa zostanie rozwiązana do weekendu. Hanne już się bała, że będzie musiała zadzwonić do Cecilie i powiedzieć, że się spóźni. Zaprosiły gości i Hanne przysięgała, że wróci do domu na czas.

– *Oh, shit!* – zakląła nagle, przypominając sobie, że obiecała w drodze do domu kupić świeże szparagi i bakłażany w warzywniaku na Vaterland.

Szef wydziału pytająco uniósł brwi.

– Nic, nic – powiedziała szybko. – Nic ważnego.

Odwróciła się do prokuratora policji, który pół siedział, pół leżał na krześle, akurat w

tej chwili nadzwyczaj zajęty czymś, co miał w uchu. Najpierw próbował wyjąć to palcem, ale gdy te działania nie przyniosły skutku, sięgnął po spinacz, rozprostował go i prawie wbił sobie w głowę.

Hanne wiedziała, że powinna go ostrzec, ale jej się nie chciało.

– Jesteś pewien, że to nie wystarczy na zatrzymanie? – spytała po raz trzeci.

– Tak. – Prokurator wyciągnął spinacz, do którego przyczepiła się żółtobrazowa grudka.

Hanne odwróciła się ze wstrętem, ale prawnik był zachwycony.

– Masz jedynie całą górę niezłych teorii. Nic konkretnego. Ona ma motyw, ale akurat motywów w tej sprawie nie brakuje. To znaczy ludzi z motywami. Poza tym nie wiesz, czy Agnes rzeczywiście wspomniała w rozmowie z Maren o tym fałszywym dyplomie. Jeśli znajdziesz na to potwierdzenie, rozważę sprawę jeszcze raz. Bo wtedy przynajmniej zbliżymy się do czegoś na kształt uzasadnienia zatrzymania. Potrzebuję czegoś więcej, Hanne. Znacznie więcej.

– Ale wiemy, że sfalszowała dyplom. Nie możemy jej zatrzymać choćby za to?

Prokurator uśmiechnął się z wyższością i znów sięgnął po spinacz. Teraz zagłębił go w drugim uchu.

– Z pewnością w końcu i tak ją przyciśniemy – powiedział, przekrzywiając głowę. – Ale to się stanie po cichu, bez dramatyzmu. Au! – Wyciągnął spinacz z ucha i spojrzał na niego ze złością. Oczyszczył końcówkę palcami, po czym wytarł ją w spodnie i wstał. – Radzę wam, żebyście namówili ją na jeszcze jedno spotkanie. Wykorzystajcie to, co macie, i trzymajcie kciuki, żeby przyznała się do winy. Musi już być na wykończeniu. – Uśmiechnął się i wyszedł.

– Obrzydliwiec! – rzuciła Hanne półgłosem, zamykając za nim drzwi z nadzieją, że ją usłyszał.

Szef wydziału wcale się nie uśmiechał, ale też wyszedł.

– On ma przecież rację – zauważył cierpko Billy T., kiedy drzwi zamknęły się po raz drugi.

– Nienawidzę, kiedy tacy ludzie mają rację.

– Ty nienawidzisz każdego, kto może mieć rację, gdy ty jej nie masz.

– Przesadzasz! – Klepnęła go w głowę. – No ale co robimy?

– Moglibyśmy poprosić, żeby przyszła tutaj, tłumacząc się, że to dzisiejsze przesłuchanie zostało przerwane – zaproponował Billy T. bez widocznego entuzjazmu.

– A ona znów poprosi, żeby spotkać się tam – stwierdziła Hanne ze znużeniem. –

Będzie się dziwiła, że nie możemy poczekać do poniedziałku, a my będziemy jeszcze surowsi i każemy jej stawić się natychmiast, no i zaryzykujemy, że zrozumie, o co nam chodzi. Będzie miała mnóstwo czasu na wyeliminowanie wszystkich ewentualnych dowodów w tej... przeklętej sprawie! – krzyknęła na koniec Hanne.

Plan Oslo z biurka, całkiem nowy i w pełni zdalny do użytku, w ciągu kilku sekund zmienił się w papierową kulkę. Hanne cisnęła nim o ścianę, ale za chwilę podniosła go zawstydzona i powoli zaczęła sprawdzać, czy da się go jeszcze uratować.

Na korytarzu rozległy się nagle radosne okrzyki.

Popatrzyli na siebie, urządzając błyskawiczny konkurs na to, kto jest najmniej ciekawy. Ominęło ich rozstrzygnięcie, bo nagle drzwi się otworzyły i starsza posterunkowa Synnøve Lunde dosłownie wpadła do pokoju.

– Mamy go! Mamy podwójnego zabójcę ze Smestad! Zatrzymali go na promie do Danii! – oznajmiła i z powrotem wyskoczyła na korytarz.

Hanne Wilhelmsen i Billy T. wymienili ponure spojrzenia.

– Jedziemy po Maren Kalsvik – zdecydowała Hanne.

W Promyku Słońca sytuacja była daleka od zadowalającej. Wszelkie listy dyżurów się zaważyły i Maren miała pełne ręce roboty, organizując zastępstwa. Dzieci umiały wykorzystać tę sytuację. Bardziej hałasowały, więcej się kłóciły i naginały wszelkie granice. Raymond w zasadzie był sobie panem, co jednak nie stanowiło takiego kłopotu jak to, że Glenna przyłapano tego dnia na kradzieży w sklepie. Obrażona na cały świat Anita nie chciała z nikim rozmawiać. Maren podejrzewała, że chłopak z nią zerwał. Bliźniaki postanowiły doprowadzić Jeanette do szaleństwa i prawie im się to udało poprzedniego wieczoru, gdy nasikały jej do łóżka, a ona się nie zorientowała, dopóki się nie położyła. Kenneth zaś był bardziej lękliwy niż zwykle. Wmówił sobie, że w piwnicy mieszka pirat.

– Proszę o spokój! – wrzasnęła.

Brak opanowania był u Maren Kalsvik taką rzadkością, że natychmiast dostała to, czego chciała. W jednej chwili. Ale po kilku minutach znów się zaczęło.

Dochodziła trzecia. Zaledwie godzinę temu pierwsze dzieci wróciły ze szkoły, a ją rozboleła głowa dwie minuty po przyjsciu Kennetha. Później było tylko gorzej.

Uciekła do pokoju telewizyjnego i zamknęła za sobą drzwi. Niech Christian sam z

nimi walczy przez jakiś czas. Radził sobie z dziećmi całkiem nieźle, chociaż od czasu do czasu pozwalał im na więcej, niż powinien.

Powietrza! Potrzebowała powietrza. Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Dobrze jej to zrobiło. Zaczęła głęboko oddychać. Nozdrza poruszały jej się w rytm oddechów, wdech, wydech, wdech, wydech. Zamknęła oczy.

Z pewnych względów zapragnęła nigdy więcej nie musieć już ich otwierać.

– Tam! To znowu on! – Student szkoły policyjnej tkwił przyklejony do bocznej szyby, próbując wskazywać właściwy kierunek, ale wychodziło mu z tego raczej nieokreślone klepanie w szkło. – Jest tam! W tamtym ogrodzie!

– Wezwij najbliższy patrol i poproś, żeby odcięli mu drogę z drugiej strony osiedla. Tylko niech, do jasnej cholery, wyłączą syreny!

Kilka sekund po tym, jak student wykonał polecenie zwierzchnika, syrena umilkła.

– Jeśli nie złapiemy tego chłopaka teraz, to oddaję odznakę! – oświadczył starszy ze złością i niepotrzebnie, ale efektownie zahamował z piskiem opon, żeby zawrócić.

Udało mu się. Gdyby nie zmęczenie, byłby z siebie dumny. Ale Maren będzie dumna. Dwukrotnie odważył się spytać o drogę. Kilka razy rozpoznał też znajome budynki. Wreszcie dotarł na miejsce. Ale tu wprost się roilo od policjantów. I stale ich przybywało. W końcu musiał się przedzierać przez krzaki i ogrody, żeby być jak najmniej widocznym z drogi.

Udało mu się. Ale w jaki sposób zdoła zawołać Maren tak, żeby nikt inny go nie widział?

Bezradny schował się pod zwieszonymi nagimi gałęziami drzew. Wciąż było tak jasno, że dałoby się go zauważyć z daleka, przycisnął się więc jak najmocniej do pnia. Od wejścia do Promyka Słońca dzieliły go tylko jedna droga, jedna brama i jedna alejka.

Mniej więcej pięćdziesiąt metrów.

Maren Kalsvik wreszcie otworzyła oczy. Powoli i z wahaniem. Dłońmi dotknęła twarzy. Skórę miała chłodną, ale nie było jej zimno. Przysunęła się do parapetu. Wecisnął się w biodra, ale ból był w pewnym sensie przyjemny. Przypominał jej, że wciąż istniała. Głowę miała zarazem pustą i pełną chaotycznych myśli. Nagle zawirowało jej przed oczami i zorientowała się, że zbyt długo wstrzymywała oddech. Ze szlochaniem wciągnęła powietrze.

Ledwie zaczęło się ściemniać. Cienie straciły ostrość i zaczęły się zlewać z ciemną ziemią. Ktoś zostawił furtkę otwartą, a przecież powinna być stale zamknięta.

Coś poruszyło się pod drzewami po drugiej stronie drogi. Akurat zaczęła wyodrębniać zarys postaci, kiedy pojawił się samochód dostawczy z logo firmy stolarskiej i na moment zasłonił jej widok. Gdy przejechał, musiała zmrużyć oczy, by się upewnić, czy naprawdę dobrze zobaczyła.

Mimo że ta postać – bo zdecydowanie był to człowiek – jeszcze bardziej wtuliła się w pień, rysowała się wyraźnie. Nie była zbyt wysoka, lecz potężna i szeroka.

– Boże, to przecież Olav! – powiedziała głośno.

Wybiegła z pokoju. Zeskakując ze schodów, poślizgnęła się na kilku klockach lego. Zdołała jednak utrzymać równowagę i nie wkładając butów, wypadła na żwir.

– Olav! – wołała, wyciągając ręce. – Olav!

W momencie gdy Olav zaczął się wyłaniać z cienia, zauważyła samochód. Nie od razu rozpoznała radiowóz. Widziała jedynie, że auto nadjeżdża z dużą prędkością.

Chłopiec przeciął już chodnik i zrobił pierwszy krok na jezdnię. Ona sama była dopiero w połowie alejki.

– Stop! – krzyknęła, zatrzymując się z nadzieją, że chłopiec też tak zareaguje.

Ale on szedł do przodu.

Widziała teraz jego twarz w odległości zaledwie piętnastu metrów. Uśmiechał się, ale zupełnie inaczej niż kiedyś. Wydawał się szczęśliwy. Kiedy znalazł się na drugim metrze jezdni, zachwiał się lekko i zaczął unosić ręce, prawdopodobnie w geście pozdrowienia.

Samochód jechał za szybko. Za szybko, zważywszy na ograniczenie do trzydziestu kilometrów, i za szybko, by mieć możliwość zahamowania przed dwunastolatkiem, który nagle wtargnął na ulicę.

Zapisały hamulce. Maren Kalsvik krzyknęła. Mieszkająca cztery domy dalej starsza pani, która właśnie wyszła na spacer ze swoim pudlem, zaczęła krzyczeć jak opętana.

Przód auta uderzył chłopca na wysokości kolan, natychmiast łamiąc mu nogi. Olav wpadł na maskę, a jego ciężkie ciało zdążyło stłuc przednią szybę, zanim wsunęło się na dach. Policjant, który prowadził, stracił panowanie nad kierownicą. Samochód bokiem przesunął się dziesięć metrów po nierównym asfalcie, aż w końcu staranował metrowej wysokości metalowe ogrodzenie i zatrzymał się na pniu ściętego drzewa. Drzwiczki z obu stron były wbite do środka, a policjanci w środku oszołomieni szarpali za klamki.

Olav leżał na ulicy.

Maren Kalsvik dotarła do chłopca akurat w momencie, gdy otworzył oczy.

– Nie ruszaj się, Olav! Musisz leżeć zupełnie nieruchomo.

Znów się uśmiechnął, tym swoim nowym, szczerym uśmiechem. Usiadła przy nim na ziemi. Chciała go podnieść i objąć, ale mógł mieć złamany kręgosłup, dlatego tylko nisko się nad nim nachyliła i leciutko musnęła palcami policzków.

– Wszystko będzie dobrze, Olav. Nie ruszaj się, a wszystko będzie dobrze.

Ślinił się, opuściła więc rękaw swetra i delikatnie wytarła mu brodę.

– Widziałem cię, Maren – szepnął prawie samym oddechem. – Biegłaś. W ogrodzie.

– Nie słyszałaś...

Skrzywił się, więc go uciszyła.

– Nie słyszałaś, że ja... – jęknął jednak. – Ty...

Maren Kalsvik przeszły chłód, niespodziewany i niemający nic wspólnego z tym, że siedziała w samych skarpetkach, bez kurtki na zabłoconej ulicy w Oslo w lutowe popołudnie. Ten chłód płynął ze środka, z jakiejś komory, którą zamknęła, zapieczętowała, a klucz do niej wyrzuciła. Teraz te drzwi otworzyły się na oścież. Szczękała zębami, mimo to starała się uspokoić chłopca.

– Leż spokojnie, Olav! Musisz leżeć całkiem nieruchomo. – Z rozpaczą uniosła głowę i krzyknęła: – Karetka! Czy nikt nie zadzwonił po karetkę?

Starsza pani usiadła na chodniku, płacząc tak głośno, że pudel zaczął krążyć wokół niej, popiskując i szczekając. Policjanci jeszcze nie zdążyli się wydostać z wraku. Zza zakrętu wyłonił się kolejny samochód. Zahamował gwałtownie, kiedy tylko kierowca zorientował się w sytuacji.

– Dzwon po karetkę! – krzyknęła znów Maren, tym razem do Christiana, który stał jak słup soli na schodach, ściskając w ręku klamkę, szarpaną przez pięcioro dzieci od środka.

– Płakałaś – szepnął Olav tak lekko, że musiała przyłożyć ucho do jego ust. – Ty... widziałem, jak biegłaś, Maren. – Znów się uśmiechnął i dokończył coś szeptem niewyraźnie do jej ucha.

Gdy Hanne Wilhelmsen i Billy T. biegiem pokonywali piętnaście metrów dzielące ich od samochodu tarasującego teraz drogę, Olav Håkonsen jeszcze leciutko westchnął i umarł.

Trwające półtorej godziny przesłuchanie Maren Kalsvik w komendzie nie dało Hanne niczego oprócz rozzłoszczenia Cecilie. Opanowanie sytuacji w domu dziecka zabrało sporo czasu. Hanne wpatrywała się w niemal czarną powierzchnię szyby i z rezygnacją myślała o tym, że goście na pewno zjedli już przystawkę, jeśli oczywiście Cecilie udało się kupić coś zamiast szparagów, które nie dotarły do domu.

Oby tylko Billy T. wkrótce przyjechał. W ten weekend to on zajmował się chłopcami i przyrzekł, że wróci zaraz po położeniu ich spać. Siostra mu obiecała, że z nimi posiedzi. Hanne zmierzwiła sobie włosy i rozmasowała głowę. Sama już nie dawała sobie rady.

Maren Kalsvik nie chciała skorzystać z pomocy adwokata. Hanne uprzedziła ją, że zostanie jej postawiony zarzut sfalszowania dyplomu, ale o zabójstwo Agnes Vestavik jest dopiero podejrzewana. Dzięki temu, jak zauważył Billy T., nie przysługiwały jej wszystkie prawa. A prawo do pomocy adwokata i tak miała.

W kwestii dyplomu przyznała się do wszystkiego natychmiast, obojętnym głosem, bez jednego skrzywienia. W ogóle podczas całego przesłuchania siedziała sztywno jak drewniana kukła i kiedy tylko się dało, odpowiadała monosylabami. Gdy Hanne bardziej w przyпіływie ludzkiego zainteresowania niż ze względu na znaczenie, jakie to mogło mieć dla sprawy, spytała, dlaczego Maren tyle razy oblała egzamin, dziewczyna jeszcze bardziej skamieniała. Nie chciała odpowiadać.

Dwóm rzeczom natomiast zaprzeczała stanowczo za każdym razem, kiedy Hanne wydawało się, że przyparła ją do muru: twierdziła, że Agnes nie powiedziała jej o odkryciu oszustwa i że nie ma nic wspólnego z zabójstwem kierowniczkii.

– Nie miałam pojęcia, że ona to odkryła – mówiła. – Nie miałam absolutnie żadnych powodów, by zabijać Agnes.

Hanne zapaliła papierosa i położyła nogi na stole. Zapatrzyła się przed siebie i przymknęła oczy. Obraz ciężkiego martwego ciała Olava wrył się pod powieki, czym prędzej więc je uniosła. Uważnie przyjrzała się Maren.

– Właściwie trochę lubiałś tego chłopca – stwierdziła cicho.

Maren Kalsvik wzruszyła ramionami, ale wyrazu twarzy nie zmieniła.

– Widziałam to po tobie. Lubiłaś go, prawda?

Maren nie płakała. Przyciskała chłopca do siebie, ale kiedy wreszcie zdołali jej wytłumaczyć, że Olav już nie żyje, puściła go, wstała i właśnie wtedy jej twarz zastygła w tym wyrazie, którego nie zmieniła do teraz. Hanne czuła, że zaczyna jej to działać na nerwy.

– No dobrze – odezwała się po dwóch minutach, jakie Maren Kalsvik dostała na odpowiedź, ale oczywiście ich nie wykorzystała. – Do niczego w ten sposób nie dojdziemy. Robi się późno. Wobec tego powiem ci, co ja myślę, tak żebyś mogła zastanowić się nad tym w nocy, którą spędzisz w celi. Rozważ, czy nie lepiej będzie potwierdzić to, co już wiemy.

Cela była przesadą, ale groźba zadziałała. W kąciu ust Maren Kalsvik pojawiło się leciutkie drzenie i utrzymało się na dłuższy czas.

Hanne wstała i obeszła biurko. Usiadła na blacie, skrzyżowawszy nogi. Maren siedziała dwa metry dalej ze wzrokiem utkwionym mniej więcej w brzuchu Hanne.

– Tamtego dnia miałaś umówioną wizytę u dentysty. Rozmowa Agnes z Terjem przeciągała się, więc powiedziałaś, że musisz wyjść. Wyobrażam sobie, że Agnes niezbyt się to spodobało. W ogóle tego dnia musiała być w złym humorze. Rozumiem to aż za dobrze. Jeden niewierny sługa za drugim.

Maren wciąż wpatrywała się w jakiś punkt na jej swetrze, ale Hanne widziała, że przynajmniej to drzenie w kąciu ust nie mija.

– Może Agnes nie chciała robić hałasu, może miała jakieś plany na resztę dnia. Nie wiem. Ale wydaje mi się, że poprosiła, żebyś przyszła wieczorem. Późnym wieczorem. Chciała najpierw położyć spać własne dziecko. Tak przypuszczam. A ty pewnie się domyśliłaś, że czekają cię nieprzyjemności. Prawdopodobnie musiałaś się domyślać, bo Agnes nalegała na to spotkanie. W każdym razie... – Hanne wstała ze stołu i wróciła na krzesło. Wyjęła z szuflady czystą kartkę i zaczęła z niej robić samolocik. – W każdym razie wróciłaś. Pewnie koło wpół do jedenastej. Poruszałaś się cicho, bo dobrze wiesz, że niektóre dzieci mniej więcej właśnie w tym czasie zasypiają. Może zjrzałaś do Eirika Vassbunna, ale zobaczywszy, że śpi, zostawiłaś go w spokoju. Możliwe, że z uwagi na niego. Ale oczywiście mogło to mieć i inne przyczyny. Tak czy owak Eirik nie zauważył, że przyszłaś.

Hanne pracowicie składała papier. Samolot był prawie gotowy. Wzięła jeszcze jedną kartkę i starannie zrobiła z niej ogon.

– W końcu dowiedziałaś się, o co chodziło. Albo jakie dowody Agnes ma w ręku. Albo że cię wyrzuca. W każdym razie wiadomość była wstrząsająca.

Hanne przeniosła wzrok z papierowego samolotu na Maren. Twarz wychowawczyni wciąż pozostawała bez wyrazu, ale Hanne już to nie irytowało. To był dobry znak. Cholernie

dobry znak.

– Z całą pewnością rozmawialiście bardzo cicho. Na piętrze przecież spały dzieci. Ale szczerze mówiąc...

Hanne urwała i ślicznym łukiem posłała samolot pod sufit. Kiedy osiągnął maksymalną wysokość, prawie znieruchomiał w powietrzu, po czym wykonał błyskawiczną pętlę i podszedł do lądowania na parapecie. Maren Kalsvik nie zareagowała, nawet nie spojrzała na samolot.

– Usiłowałam postawić się w twojej sytuacji – ciągnęła Hanne życzliwie. – Próbowałam sobie wyobrazić, jakie to uczucie zostać zdemaskowanym. Co by było, gdyby mój szef zorientował się, że mimo wszystko nie ukończyłam szkoły policyjnej. I wszyscy by się o tym dowiedzieli. No i wyrzucono by mnie z policji. Musiałabym iść na bezrobocie.

Zalała resztką kawy przepelnioną popielniczkę, po czym wszystko to wyrzuciła do kosza na śmieci. Wyjętymi z szuflady chusteczkami higienicznymi wytarta popielniczkę i zapaliła kolejnego papierosa.

– Po prostu bym się załamała. Po tylu latach, po tym, jak pokazałam, że naprawdę nadaję się do tej pracy, taki nic nieznaczący świstek papieru miałby przewrócić całe moje życie do góry nogami. – Pokręciła głową i lekko cmoknęła. – Ja nie przesadzam, Maren. Naprawdę bym się załamała. I chociaż dla mnie praca ma ogromne znaczenie, wydaje mi się, że dla ciebie jest jeszcze ważniejsza. Widać to po sposobie, w jaki odnosisz się do dzieci.

Łańcuszek kółek z dymu wzniósł się pod sufit. Przez chwilę obie milczały. Słychać było jedynie kroki na korytarzu. Komenda pustoszała na weekend.

– Daj mi znać, jeśli się mylę – zachęciła ją nagle Hanne i wreszcie udało jej się pochwycić spojrzenie Maren, która zmieniła pozycję i kręcąc głową, mruknęła coś niezrozumiale i znów wróciła do roli sfinksa. – Może poprosiłaś o litość. Ja na pewno bym tak zrobiła – ciągnęła Hanne niezrażona. – Ale Agnes... Wiesz zresztą, co znaczy imię Agnes? „Czysta” albo „dziewicza”. Święta Agnieszka była cnotliwa, ale uparta. Zapłaciła za to życiem. Czy nasza Agnes była równie uparta?

Maren oczywiście milczała, ale jej twarz była teraz niemal przezroczyście biała.

– Prawdopodobnie tak – odpowiedziała sobie Hanne. – A teraz chciałabym poznać kilka szczegółów. Spójrz na mnie.

Obiema dłońmi uderzyła w stół i Maren drgnęła przestraszona. Przez chwilę patrzyły na siebie, aż w końcu Maren odwróciła wzrok. Hanne pokręciła głową.

– Tam leżało kilka noży. Świeżo naostrzonych noży Agnes. Prawdopodobnie na biurku albo może na półce z książkami. Miejsce nie jest takie ważne. W każdym razie

zrobiłaś kilka kroków i stanęłaś za Agnes, kiedy nagle coś w tobie pękło. Takie rzeczy dzieją się ekstremalnie szybko. Zanim człowiek zdąży się zorientować, zaczyna działać. Sięgnęłaś po nóż i wbiłaś go jej w plecy. Byłaś wściekła, zrozpaczona, kompletnie wytrącona z równowagi. Twój obrońca zdoła naprawdę wiele z tego wyciągnąć, Maren. Naprawdę. Może ktoś nawet dojdzie do wniosku, że w momencie popełniania czynu miałaś ograniczoną poczytalność. Adwokat ci pomoże.

Hanne podjechała z krzesłem pod okno, żeby je otworzyć. W pokoju było siwo od dymu. Teraz zrobiło się zimno.

– Mam zadzwonić po adwokata?

– Nie.

Maren siedziała nieruchoma i milcząca tak długo, że struny głosowe niemal jej sparaliżowało, więc odpowiedź była bardziej chrząknięciem niż słowem. Hanne w duchu przeklinała Billy’ego T, który jeszcze nie dał znaku życia.

– Pewna jesteś?

– Tak.

– Aha. Wobec tego kontynuuję. Prawdopodobnie nie mogłaś pojąć, co zrobiłaś. Bo widzisz, zabójstwa niemal zawsze dokonuje się w afekcie. Nic takiego nie planowałaś. To znów materiał dla obrońcy! – Hanne wyciągnęła książkę telefoniczną Oslo i otworzyła ją na adwokatach. Rozłożoną podsunęła Maren. – Naprawdę polecam ci wybranie kogoś.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale lekko pokręciła głową.

– No dobrze, więcej nie będę tego powtarzać. – Hanne z rezygnacją zamknęła książkę z hukiem. – Możliwe, że w pewnym momencie rozważałaś, czy się do nas nie zgłosić, ale prędko wpadłaś na inny pomysł. Wiedziałaś, gdzie leży klucz do biurka. Otworzyłaś szufladę, żeby poszukać kompromitujących cię materiałów. Nie mam pojęcia, czy coś znalazłaś, ale prawdopodobnie zobaczyłaś coś na temat Terjega. Zostawiłaś to. W nadziei że znajdzie to policja. – Hanne zaśmiała się krótko. – Wiedziałaś, że Terje musiał być tam po tobie. Nic dziwnego! Powinnam była bardziej wziąć sobie do serca twoje zdumienie brakiem klucza pod doniczką, kiedy rozmawialiśmy dzień po zabójstwie. Bo przecież ty go odłożyłaś. A skoro Terje nie został zatrzymany, rozumiałaś, że niczego nie znaleźliśmy. Ergo... – Znacząco postukała się palcem w skroń.

Maren Kalsvik wciąż siedziała jak zombi, nieruchoma, ze wzrokiem wbitym w coś, o czym Hanne Wilhelmsen nie miała pojęcia. Prawdopodobnie było to coś nie z tego świata. Jej oczy przybrały barwę jasnej stali, wydawały się prawie nieludzkie, bardziej jak psie albo wilcze. Hanne dobrze pamiętała, że wcześniej były wyraźnie niebieskie. Ale w końcu cały

pokój spowijała szarość. Kroki i głosy z korytarza, które wcześniej z rzadka przerywały jej monolog, całkiem już ucichły. Większość pracowników wydziału wyszła świętować przy piwie rozwiązanie sprawy podwójnego zabójstwa. W domu Cecilie prawdopodobnie już podawała kawę i nie potrafiła znaleźć kolejnych wymówek na nieobecność Hanne. Gdzie się podział Billy T, pozostawało zagadką. Erika i Tone-Marit sama zwolniła około siódmej, kiedy Kochanek z płaczem przyznał się do oszustwa z czekami. Odnaleziony wreszcie kolega potwierdził ich wspólne picie kawy do późnego wieczoru, co z wahaniem, lecz mimo wszystko z dostateczną pewnością poświadczył z kolei personel kawiarni. Puścili go. I tak na pewno czuł się okropnie.

Hanne Wilhelmsen zresztą też nie czuła się wyśmienicie. Ale Maren Kalsvik czuła się o wiele, wiele gorzej. Siedziała nieruchomo, nic nie mówiąc, na nic nie patrząc, nie reagując na słowa. Jedynie w ten sposób mogła się trzymać życia i rzeczywistości.

Coś w niej pękało. Miała wrażenie, że jej wnętrzności zamieniają się na miejsca. Czuła gwałtowne pulsowanie w podbrzuszu, jakby serce tam się obsunęło. Oddychać mogła jedynie górną częścią płuc wciśniętych do gardła, w którym się nie mieściły. W głowie nie było ani jednej myśli. Uczucia krążyły po żołądku i za wszelką cenę chciały się z niego wydostać. Ręce i nogi nie istniały, były martwe, bez czucia.

Potrafiła skupić się jedynie na przekonaniu, że musi przeżyć. A jedynym sposobem na to było siedzenie nieruchomo z nadzieją, że to wszystko minie. Nikt na całym świecie nie mógł jej pomóc. Nikt oprócz niej samej. Musiała milczeć. Nie wolno się poddać. Nie wolno wierzyć, że Bóg odwrócił się do niej plecami. Skoncentrowała się na tym jednym punkcie w brzuchu, przytrzymała go, zdecydowana, że nie puści.

Pożegnalny list Terjego przyszedł pocztą dwa dni po jego śmierci. Otworzyła go i z nerwów wylała na niego kawę. To był list do niej. „Nie zabiłem Agnes”, pisał. Błagał, żeby w to uwierzyła. Ale było w nim coś jeszcze. „Bądź ostrożna, Maren. Agnes wiedziała o Twoim sfalszowanym dyplomie, ja też o nim wiedziałem. Bądź ostrożna. Zrobiłem tyle złych rzeczy. Ale Ty też”. Spaliła ten list. Nie był zaadresowany do policji, tylko do niej. Panie Boże – przebiła się jedna myśl. – Wybacz mi. Dopomóż.

Komisarz Hanne Wilhelmsen pozwoliła podejrzonej na chwilę oddechu. Właściwie nie wiedziała, na co czeka. Zapadała się w coś w rodzaju obojętności, broniąc się przed nieznośnym faktem, że oto siedzi przed zabójczynią, a nie ma pojęcia, jak się wywiązać ze swojej roboty. Jak doprowadzić do tego, by ta kobieta poniosła zasłużoną karę. Jak udowodnić, że to ona zabiła. Przegoniła to uczucie, ale wiedziała, że jeśli nic się wkrótce nie wydarzy, ono wróci.

– Nie musiałaś się bać o odciski palców. Oprócz tych na nożu. Ale ich usunięcie poszło szybko. Wystarczyło lekko potrzeć. Obecność wszystkich innych śladów bez trudu dawała się wytłumaczyć, przecież bywałaś w tym pokoju setki razy. Właśnie dzięki temu zrozumieliśmy, dlaczego zabrałaś pozostałe noże.

Maren Kalsvik poruszyła się pierwszy raz od początku przesłuchania. Sztywno nachyliła się do filiżanki, ale kawa w niej była zimna, gęsta i mocna jak piekło. Kilka razy gwałtownie zamrugła, jakby wpadły jej do oczu jakieś paprochy. Na rzęsach w lewym oku zawisła łza. Zakołysała się i wolno stoczyła po policzku. Była tak maleńka, że nie dotarła do ust. Maren znów znieruchomiała jak kukła.

– A teraz – powiedziała Hanne, wstając – pokażę ci, co myślę. Pokażę ci, w jaki sposób dość wcześnie zrozumieliśmy, że zabójca musiał na co dzień przebywać w domu dziecka i nie obawiał się, że w pokoju będą jego odciski palców.

Otworzyła drzwi. Na pograżonym w półmroku korytarzu było pusto.

– Zrobię teraz to, co ty. Właśnie zabiłam człowieka. Jestem poruszona, zrozpaczona, ale najważniejsze: nie chcę, żeby mnie złapano. Bardzo mi się spieszy do wyjścia. Nagle jednak przypomina mi się, co się stało, kiedy sięgnęłam po nóż, którym zabiłam Agnes.

Maren Kalsvik nie poruszyła się, żeby na nią spojrzeć. Dalej siedziała nieruchomo, profilem zwrócona w stronę drzwi. Hanne westchnęła, podeszła do niej i ujęła ją pod brodę. Twarz była lodowata, ale Maren nie protestowała, więc Hanne bez problemu obróciła jej głowę w swoją stronę.

– Kiedy się bierze nóż, który leży wśród innych noży, trzeba się ogromnie starać, żeby tych innych nie dotknąć. To w zasadzie niemożliwe, chyba że poświęci się na to dużo czasu i będzie bardzo uważało na ruchy. Spójrz!

Z szuflady jedną ręką wyciągnęła cztery podłużne przedmioty. Nożyk do listów, wąski skórzany piórnik, flamaster i telefon komórkowy. Ułożyła je wszystkie koło siebie.

– Jeśli spróbuję wziąć którąś z tych rzeczy, nie bardzo wiedząc którą, to zobacz, co się dzieje.

Gdy sięgnęła po nożyk do listów, sprawa stała się jasna. Przy okazji dotknęła wszystkich pozostałych przedmiotów. To właśnie pokazała Billy’emu T. w pubie na Grünerløkka.

– Ty nie miałaś czasu na ostrożne ruchy. Działałaś przecież w afekcie. To był moment wściekłości i rozpacz. Nie wytłumaczyłabyś się ze swoich odcisków na pozostałych nożach. Mogłaś je wytrzeć, ale to by zajęło sporo czasu. – Puściła głowę Maren i podeszła do okna. – Oczywiście każdy by się bał odcisków palców na nożach, ale widzisz... – Dotknęła dłońmi

zimnej szyby i podjęła dopiero po chwili: – Gdyby to zrobił ktoś z zewnątrz, musiałyby się obawiać, że jego odciski znajdują się też w innych miejscach. Dla obcej osoby mamy dwie teorie. Albo ten ktoś przyszedł tam, zaplanowawszy to przestępstwo, a wtedy nosiłby rękawiczki i nie miałby powodu zabierać noży. Albo też zabił bez planu, w afekcie. Wówczas noże byłyby najmniejszym problemem, bo musiałyby oczyścić mnóstwo innych miejsc: klamkę, blat biurka, podłokietniki, nie wiem. Kiedy się gdzieś wchodzi, zawsze się czegoś dotyka. Właśnie dzięki temu zrozumiałam, kto to musiał być.

Maren Kalsvik wciąż się nie ruszała. Wydawało się, że nawet nie oddycha.

– W całym tym pokoju niczego nie wycierano. Wszędzie były ślady i kurz, mnóstwo paprochów. Nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek poświęcił czas na sprzątanie, rozumiesz? Osoba, która zabiła Agnes i zabrała noże, nie musiała się martwić o nic oprócz nich. To była osoba z domu dziecka. – Hanne znów podeszła do drzwi i na nowo wcieliła się w rolę osoby podejrzewanej o zabójstwo. – Być może słyszę, że ktoś nadchodzi. A może po prostu strasznie się boję. W każdym razie spieszy mi się do wyjścia. Najprościej jest zabrać noże ze sobą i ty właśnie to zrobiłaś. Postanowiłaś skorzystać z drabinki przeciwpożarowej i zniknąć. Na szczęście... – Hanne się roześmiała – byłaś na tyle przytomna, żeby ją podnieść, kiedy wróciłaś, zanim przyjechała policja. Łamaliśmy sobie nad tym głowy. No dobrze. – Wolno podeszła do krzesła i mijając podejrzaną, leciutko dotknęła jej pleców. – Właśnie tak – powiedziała z naciskiem i z przesadnie zadowolonym uśmiechem. – Właśnie tak się to odbyło. W każdym razie mniej więcej, prawda?

Maren Kalsvik odzyskała nieco błękitu w oczach. Uniosła rękę i wpatrywała się w nią jakby w zdumieniu, że w ogóle mogła nią poruszać. Przeczesała palcami włosy i popatrzyła Hanne Wilhelmsen prosto w oczy.

– A jak macie zamiar to wszystko udowodnić?

Gdzie, do diabła, podziewa się Billy T.? – pomyślała Hanne ze złością.

Synkowie Billy'ego T. już dawno zasnęli po długich kłótniach i trzech rozdziałach *Mio, mój Mio*. Siostra wyprawiała go z uśmiechem i sama zasiadła przed telewizorem z pizzą, piwem i pilotem. Billy T. jednak nie pojechał prosto na Grønlandsleiret 44, ale zajrzał najpierw do Promyka Słońca, bo tuż przed jego wyjściem z komendy sekretarka przekazała mu wiadomość od Cathrine Ruge, że będzie można ją zastać w domu dziecka przez całe

popołudnie. Ponieważ ośrodek nie był aż tak bardzo nie po drodze, równie dobrze mógł tam na chwilę zajechać.

W pokoju dziennym było cicho i spokojnie. Raymond, Anita i Glenn gdzieś wyszli, a Jeanette miała nocować u koleżanki z klasy. Bliźnięta oglądały telewizję, a Kenneth razem z Cathrine układał puzzle przy dużym stole. Chłopiec był bardzo niespokojny. Cathrine z trudem udawało się go przekonać, żeby siedział na miejscu.

Billy T. przez kilka minut pobawił się razem z nim, a potem musiał przez trzy kwadranse czekać, aż zaśnie. Cathrine po zejściu na parter aż jęknęła.

– Małemu jest teraz strasznie – stwierdziła. – Dzięki Bogu, że Christianowi udało się ich wszystkich zatrzymać w domu, dopóki ciało... dopóki Olava nie zabrano.

Cathrine była niewiarygodnie chuda. Jej głowa wyglądała jak trupia czaszka obciążona skórą, przez co oczy wydawały się ogromne. Mimo to Billy T. umiał dostrzec w niej odrobinę osobliwej urody.

– Naprawdę nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie – powiedziała przepraszającym tonem i z teczki, którą przyniosła z pierwszego piętra, wyjęła dwie kartki. – Ale tego dnia, kiedy Agnes zginęła...

Billy T. odwrócił kartki w swoją stronę.

– ...byłam u niej w gabinecie. Zaraz po Terjem. Maren zresztą też tam była, ale tylko przez kilka minut. Rozmawiałyśmy o sprawach związanych z pracą. To mogło trwać mniej więcej pół godziny. Trochę o Olawie, trochę o Kennecie. Mamy z nim problemy. Biedak był już w trzech rodzinach zastępczych, a jego matka...

– Wiem, wiem. – Billy T. machnął ręką. – Do rzeczy.

– Naprawdę nie chciałam być ciekawska, ale na biurku Agnes leżał dyplom. Z Diakonackiej Wyższej Szkoły Pracy Socjalnej. Oczywiście go rozpoznałam, bo sama ją kończyłam. Ale Agnes po chwili schowała go do szuflady. Tak jakby nagle sobie o nim przypomniała i nie chciała, żebym go zobaczyła. Zdażyłam zauważyć, że to dyplom Maren. Trochę mnie zdziwiło, że leżał na wierzchu, a Agnes wydawała się taka surowa. Bo on przecież nie zawiera żadnych tajemnic, nawet ocen, tylko zaliczenie. Ale więcej się nad tym nie zastanawiałam. Prawdę mówiąc, całkiem o tym zapomniałam. Coś... coś mnie jednak zdziwiło. I przypomniałam sobie o tym dopiero dzisiaj.

Cathrine wstała i stanęła za plecami Billy'ego T. Nachyliła się nad nim i wskazała na dyplomy.

– Widzi pan, że są różne?

Rzeczywiście. Na górze jednego był napis grubymi literami „Diakonacka Wyższa

Szkoła Pracy Socjalnej”, a pod spodem „Dyplom pracownika socjalnego”. Na drugim natomiast na samej górze widniał symbol, okrąg, którego górną połowę stanowiła gruba kreska, dolną zaś tworzyły litery układające się w nazwę uczelni. Na środku był krzyż przypominający trochę Krzyż Żelazny.

– Brzydki ten hitlerowski krzyż – uprzedziła Billy’ego T. Cathrine. – Jak pan widzi, zmienili napis na „Dyplom wykwalifikowanego pracownika socjalnego”. Ten pierwszy jest z roku dziewięćdziesiątego, należy do mojej przyjaciółki, drugi z dziewięćdziesiątego pierwszego, mój. – Kościstym palcem wskazała daty wypisane na dole arkuszy. – A mnie tak bardzo zdziwiło to – powiedziała, wróciwszy na swoje miejsce – że dyplom Maren miał na górze ten krzyż! A przecież ona zawsze twierdziła, że egzamin zdawała w roku dziewięćdziesiątym... Na wszelki wypadek spytałam dziś o to Eirika. On kończył rok przed nią, czyli w osiemdziesiątym dziewiątym. Nie mam pojęcia... ja... – patrzyła teraz na swoje ręce złożone na stole – nie chciałabym nikomu robić kłopotów, ale to trochę dziwne, prawda?

Billy T. nic nie powiedział, tylko lekko kiwnął głową. Nie odrywając oczu od dyplomów, spytał:

– Widziała pani Maren, kiedy wychodziła z gabinetu Agnes? Albo później?

Trupia czaszka zaczęła się zastanawiać.

– Tak, minęłyśmy się na schodach. Powiedziała, że teraz moja kolej.

– I jak wyglądała?

– Jak wyglądała... Była trochę zła. Pamiętam, pomyślałam, że pewnie znów się pokłócili z Agnes. Zasadniczo były w dobrych stosunkach, ale w niektórych sprawach się nie zgadzały. Głównie w tym, co miało związek z dziećmi. Agnes była surowsza, w pewnym sensie bardziej staroświecka. W zeszłym roku Maren chciała zabrać dzieci na południe Europy, ale...

– Cathrine! – na szczycie schodów rozległ się zrozpaczony chłopięcy głosik.

Billy T. nie dowiedział się, jak się zakończyły wakacyjne plany Maren Kalsvik, bo Cathrine Rugę już pobiegła na górę. Wróciła dopiero po kolejnych dwudziestu minutach.

A więc Agnes zdemaskowała Maren. Sfałszowany dyplom nieprzypadkowo leżał na wierzchu. Gdyby ten chodzący szkielet powiedział to na pierwszym przesłuchaniu... To było przecież dzień po zabójstwie! Dzień po! Kto wie, może dałoby się uratować Terjego, a możliwe, że również Olava. Billy T. walczył z wściekłością. W końcu kościotrup znów się pojawił.

– Kenneth strasznie się męczy. Czuje się okropnie. A teraz jeszcze wbił sobie do głowy, że w piwnicy mieszka pirat i co wieczór z niej wychodzi, żeby pożreć wszystkie

dzieci. Boże... – Głos miała przejęty, ale Billy T. nie przerwał jej wyłącznie z tego powodu, że miał świadomość, iż jest tak zły, że nie powinien się w ogóle odzywać. Cathrine ciągnęła: – Dziś wieczorem przyniósł do domu cztery ogromne noże. Anita zabrała go na plac zabaw, żeby był daleko, kiedy tu się działy te straszne rzeczy. A on znalazł je wśród kamieni i uznał, że to na pewno ten pirat je tam zostawił, żeby pokroić dzieci przed zjedzeniem. Naprawdę mu ciężko.

Billy T. aż szarpnął głową. Wściekłość natychmiast minęła.

– Noże? Kenneth znalazł noże?

– Tak, cztery okropne, wielkie noże. Od razu je wyrzuciłam.

– Gdzie?

– Gdzie?

– Gdzie pani wyrzuciła te noże?

– Oczywiście do śmieci.

Billy T. poderwał się tak gwałtownie, że krzesło się przewróciło.

– Do jakich śmieci? Tych domowych? Czy gdzieś je pani wyniosła?

Cathrine wyglądała na kompletnie zdezorientowaną.

– Nie, nie wyniosłam. Starannie je tylko owinęłam, żeby śmieciarze się nie pokaleczyli. I wyrzuciłam tam. – Kciukiem wskazała za siebie.

Billy T. pobiegł do kuchni i szarpnięciem otworzył drzwi szafki pod zlewem. Prawie na samym wierzchu wśród obierek od ziemniaków i dwóch starych kiełbas leżała podłużna paczka owinięta w gazetę. Wyjął ją delikatnie i pokazał Cathrine, która stała w drzwiach, z rękami na biodrach i gniewnym wyrazem twarzy.

– To one? – spytał.

Odpowiedziała krótkim skinieniem.

Osiemnaście minut później Billy T. był w komendzie, gdzie jego zmęczona koleżanka nie mogła już doczekać się weekendu.

Była już dziesiąta, a Hanne wiedziała, że wkrótce będzie musiała się poddać. Billy T. dostanie za swoje. Nie można na to poświęcać całego piątkowego wieczoru. Gorzej, że Cecilie będzie zła również jutro, a już najgorsze, że Hanne będzie musiała wypuścić Maren Kalsvik.

– Dziwne, wiesz – powiedziała cicho do milczącej kobiety i westchnęła. – Dziwne, że zawsze się okazuje, że w czyimś życiu było tyle turbulencji. Tak jest prawie zawsze. Wyciągnęła ręce nad głowę, ziewnęła, a w końcu wyjęła z szuflady nożyczki i z tekturki od zużytego bloku do pisania zaczęła wycinać figurki.

– Cała ja – mruknęła do siebie. – Nieustannie muszę mieć zajęte ręce. Pewnie dlatego tak trudno mi rzucić palenie.

Zawstydzona zerknęła na drugą już tego dnia paczkę papierosów.

Wycięła damę w długiej sukni. Przekrzywiając głowę, z zadowoloną miną dorysowała jej buzię, a potem różowym markerem zaczęła kolorować spódnicę. Kiedy skończyła, oparła figurkę o filiżankę po kawie. Papierowa laleczka stała krzywo, ale z szerokim niebieskim uśmiechem.

– Weźmy zwykłego człowieka, zupełnie przeciętnego. Na przykład Agnes Vestavik. – Wskazała na lalkę. – Zaczynamy grzebać w życiu pozornie nudnej, normalnej, ze wszech miar porządnej osoby i zawsze się okazuje, że rzeczywistość wygląda inaczej. Zawsze jest coś więcej. Nic nie jest takie, jakie się z początku wydawało. Wszyscy mamy swoje mroczne strony. Gdyby mnie na przykład ktoś zabił... – urwała. Było już późno, a ona czuła się śmiertelnie zmęczona. O mały włos by się zapomniała, a przecież siedziała przed nią obca osoba. – Gdyby mnie ktoś zabił, śledczy ogromnie by się zdziwili – dokończyła i zaśmiała się cicho. – Świat to jedno wielkie oszustwo, wypaczony obraz. Spójrz tylko na siebie.

Papierowa laleczka przewróciła się, ale Maren Kalsvik nawet tego nie zauważyła.

– Lubię cię, Maren. Wydaje mi się, że jesteś dobrym człowiekiem. Robisz coś ważnego, coś, co ma znaczenie. Nagle jednak dzieje się coś, nad czym nie panujesz, i nagle trafiasz tutaj. Zabiłaś człowieka. Rzeczywiście ścieżki Pana są niezbadane.

Hanne nie wiedziała, czy Maren Kalsvik w ogóle jej słucha. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Billy T.

Już chciała mu posłać śmiercionośne spojrzenie, ale na widok jego twarzy zmieniła zdanie. Miał coś. I to coś bardzo istotnego.

– Mogę zamienić z tobą dwa słowa na korytarzu, Hanne? – spytał spokojnie.

– Oczywiście, Billy T. – odpowiedziała. – Oczywiście.

Nie było ich tak długo. Pod powiekami tańczyły jej czerwono-białe kropki, a w uszach

lekkie szumiało. Oprócz tego było cicho jak w grobie. Kiedy na próbę lekko uniosła się na krześle, poczuła, że nogi całkiem jej zdrętwiały. W mięśniach zakłuło i zapiekło. Wstała z trudem.

Historia sfalszowanego dyplomu w ciągu czterech ostatnich lat odeszła w zapomnienie. To była prawdziwa katastrofa, chociaż zawsze miała wielkie problemy na egzaminach, od gimnazjum. Matura okazała się piekłem – dobre oceny końcowe, fatalne z egzaminów. I było jej coraz trudniej.

Pracę zaliczeniową napisała w domu bez najmniejszych kłopotów, natomiast sam egzamin był straszny. Zawsze coś się z nią działo, gdy tylko wchodziła na salę. Ławki oddalone od siebie, stare przygłuche ciotki pilnujące, żeby nikt nie ściągał, wszystkie te paczki z drugim śniadaniem, termosy, piórniki, szepcząca cisza, napięcie przed rozdaniem arkuszy, nerwowość zmieszana z oczekiwaniem i zmieniająca się w dziecinne podniecenie. Tak reagowali wszyscy, tylko nie ona. Maren Kalsvik paraliżował strach. Ostatni pociąg odjechał, kiedy po raz trzeci przystąpiła do egzaminu. Nie miała pieniędzy na kolejny rok nauki. Kiedy w pewien letni dzień w roku 1991 dowiedziała się, że nie ma już szansy, by zostać dyplomowanym pracownikiem socjalnym, najpierw czuła jedynie wielką szarą pustkę. Mniej więcej taką jak teraz. Sto czterdzieści tysięcy koron kredytu studenckiego i nic, czym mogłaby się pochwalić. Wszystkie drogi zamknięte. Żadnych możliwości.

Rozwiązanie było takie proste. Ukradkiem pożyczony dyplom, odrobina korektora i kopiarka. Nie odważyła się zrobić oryginału, ale bez trudu zdobyła pieczętkę z napisem: „Zaświadcza się zgodność kopii z oryginałem” – i nasmarowała nieczytelne inicjały.

To było przestępstwo. Ale też i jedyne wyjście.

Później całkiem o tym zapomniała. Od czasu do czasu nocą albo tuż przed okresem świadomość tego, że żyje i pracuje wyłącznie dzięki kłamstwu, boleśnie szarpała jej sumienie. W takich chwilach zaciskała zęby i pracowała dalej, by pokazać, jaka jest świetna. Musiała udowodnić i Bogu, i sobie, że naprawdę zasłużyła na ten dyplom. Potem znów o wszystkim zapominała. Często na kilka miesięcy. Aż do tamtego fatalnego dnia.

Zjawili się policjanci. Usłyszała ich, ale się nie odwróciła. Ten wielki mężczyzna poprosił, żeby usiadła. Na oknie powstał niewyraźny rysunek w miejscu, gdzie opierała czoło o chłodną szybę. Posłusznie opadła na krzesło i znów przyjęła sztywną pozę.

Mężczyzna, którego znała tylko z imienia, usiadł na krześle komisarz Wilhelmsen. Policjantka podeszła do okna i zaczęła rozcierać ślad pozostawiony przez jej czoło. Oboje przerażająco milczeli.

Potem zauważyła paczkę. Podłużną paczkę owiniętą w gazetę. Dość brudną i lekko

śmierdzącą... Czyżby śmieciami? Policjant położył ją na biurku i zaczął się wpatrywać w Maren. Nie potrafiła spuścić oczu. Dosłownie ją przykuwał. Nigdy nie widziała tak intensywnego spojrzenia, przerażającego, fascynującego, a zarazem całkiem innego niż przy poprzednim spotkaniu. Mniej więcej tak wyobrażała sobie oczy Boga, kiedy była dzieckiem i wierzyła, że On widzi ją wszędzie.

– Maren Kalsvik, skłamałaś – odezwał się niskim głosem, jeszcze bardziej kojarzącym się z Bogiem. – Agnes cię zdemaskowała. Mamy dowody.

Milcz, nie odzywaj się – dudniło jej w głowie, ale z rozpaczą poczuła, że się czerwieni. Kurczowo zacisnęła ręce na poręczy krzesła. W szczęce trzasnęło, ale nic nie powiedziała.

– Wiemy, że twój dyplom był w gabinecie Agnes tamtego dnia, kiedy zginęła. Później nikt go już nie widział. Punkt dla nas. Minus dla ciebie.

Nagle się zmienił. Uśmiechnął się i z oczu zaczęła bić życzliwość, normalność.

– Nie zamierzam ci zawracać głowy szczegółami. Będziemy na nie mieli mnóstwo czasu później. Na razie chcę ci tylko na to zwrócić uwagę. Wiemy, że kłamiesz. Dzięki temu mamy sobie radę. Bo kiedy ludzie kłamią w jednej kwestii, wiemy, że mogą też kłamać w innych. Takie jest życie. No i mamy dla ciebie niespodziankę. – Wielkie ręce ostrożnie zaczęły rozwijać gazetę. – Nie miałem nawet czasu na to, żeby je przełożyć do torebki na dowody, więc pozwolę ci tylko zajrzeć. Tym razem.

Szum w uszach się wzmacniał. Maren pokręciła głową, ale to nie pomogło. Rumieńca też nie zlikwidowało. Zmusiła się przynajmniej, żeby oddychać normalnie. Ale teraz znowu płuca odmówiły współpracy. Gwałtownie się rozszerzyły, a potem zapadły. Z trudem łapała powietrze, w piersi paliło.

– Cztery noże. Znalezione na placu zabaw. Przez dziecko! – Policjant śmiał się pod nosem.

Stojąca pod oknem Hanne Wilhelmsen odwróciła się i Maren spojrzała na nią. Jej najwyraźniej ta sytuacja nie bawiła ani trochę.

– Jesteś dostatecznie bystra, by wiedzieć, że nie zdążyliśmy jeszcze sprawdzić odcisków palców. Ale noże były wepchnięte głęboko między kamienie, więc musiałaś ich dotykać w wielu miejscach. Może byłaś w rękawiczkach, może nie ma na nich żadnego odcisku, ale i tak posunęliśmy się dzięki nim znacznie dalej. Na tyle daleko, że możemy sobie zrobić już wolny weekend.

– Na tyle daleko, że możemy ci przedstawić zarzuty, Maren. Wiesz, co to oznacza? – W głosie Hanne Wilhelmsen nie było nawet cienia triumfu takiego jak u mężczyzny. Po prostu była bardzo smutna.

Maren dobrze wiedziała, co oznaczają jej słowa.

– W poniedziałek sąd zdecyduje o twoim tymczasowym aresztowaniu. Do tego czasu zostaniesz tutaj.

Policjant ostrożnie pakował noże.

– Sąd na pewno przychyli się do naszego wniosku, Maren. Nie trać weekendu na wyobrażanie sobie, że stanie się inaczej.

To był koniec. Szum w uszach ucichł. Stalowa taśma spinająca płuca nagle się poluzowała. Po ciele rozlało się przyjemne, niemal odurzające ciepło. Poczuała się jednocześnie lekka i ciężka jak ołów. Ramiona opadły i nagle uświadomiła sobie, jak bardzo boli ją szczęka. Kilka razy szeroko otworzyła usta. Zatrzeszczało.

To już koniec. Była winna. Oszustwem próbowała zyskać życie, które miało sens. Olav nie żył. Miał zaledwie dwanaście lat. Dwanaście nędznych, straconych lat. Przyszedł do niej i zginął. To była jej wina.

Nie miało znaczenia, co mówili ci ludzie. Nie miało znaczenia, co się stanie z nią. Istniała tylko jedna droga. Musi zapłacić. Była gotowa zapłacić własnym życiem.

– Chciałabym się przespać – powiedziała cicho. – Czy możemy dokończyć rozmowę jutro?

Policjanci spojrzeli po sobie, potem pani komisarz zerknęła na zegarek.

– Oczywiście, że możemy. Poza tym będziesz musiała porozmawiać z adwokatem. Tym razem nalegam.

Maren Kalsvik uśmiechnęła się blado.

– Zajmiemy się tym jutro rano – dodała Hanne Wilhelmsen. – A teraz pójdziesz spać.

Załatwienie formalności z dyżurnym prokuratorem zajęło nieco czasu, poza tym Hanne nie chciała wyjść, dopóki się nie upewniła, że Maren Kalsvik obejrzy lekarz. Z gorzkiego doświadczenia wiedziała, że personelowi aresztu nie zawsze można ufać, szczególnie w piątkowy wieczór. Zresztą była już sobota.

– Odwieszysz mnie do domu, Billy T? – spytała, kiedy Maren zainstalowano już w celi znajdującego się w oficynie aresztu. – Nie mógłbyś pójść ze mną na górę, do Cecilie?

W zasadzie nie mógł, ale po szybkim telefonie do siostry objął Hanne i zaprowadził do samochodu, który stał na miejscu dla inwalidów. Nikt z dyżuru nawet słowa nie pisnął. Hanne lekko się chwiała i ciężko opadła na siedzenie. Nie zamienili ani słowa, dopóki Billy T. nie wcisnął samochodu w najwęższe z możliwych miejsce dwadzieścia metrów od bloku Hanne.

– Nad dwiema rzeczami się zastanawiam – powiedziała, jakby nie miała zamiaru

wysiadać.

– Nad czym?

– Po pierwsze: myślisz, że ona się przyzna?

– Na bank. Sąd ją aresztuje co najmniej na cztery tygodnie. Sama to po niej widziałaś. Ulgę. Nawet dostała rumieńców. Kilka rozmów i wszystko będzie jasne. Maren Kalsvik nie jest zła, przeciwnie. Poza tym wierzy w Boga. Cała jej dusza wprost się pali, żeby się przyznać. My musimy tylko sprawić, żeby jej to łatwo przyszło. Przyzna się. Na bank.

– Skażą ją, jeśli się nie przyzna?

– To akurat wątpliwe, sama dobrze wiesz. Ale ona się przyzna. A przyznanie się do winy to najlepszy dowód świata. – Zabębnił palcami w kierownicę i popatrzył na Hanne. – A ta druga rzecz, nad którą się zastanawiasz?

– Cholernie chciałabym wiedzieć – zaczęła Hanne cicho i odkaszlnęła. – Bardzo chciałabym wiedzieć, co oznacza to T. w twoim imieniu.

Odchylił głowę i zaczął się śmiać.

– Tego nie wie nikt oprócz mojej matki i mnie.

– Tak cię proszę, Billy T. Obiecuję, że nikomu nie powiem. Naprawdę nikomu.

– Nie ma mowy!

– Tak cię proszę!

Długo się wahał, ale w końcu przysunął usta do jej ucha, a ona nachyliła się w jego stronę. Wąsy ją polaskotały.

Uśmiechnęła się. Gdyby ten dzień nie był taki długi, roześmiałyby się w głos. Gdyby nie to, że na jej oczach umarło dziecko i że wiedziała, że gdzieś jest matka, która straciła syna i którą właściwie powinna odwiedzić, pękałyby ze śmiechu. Gdyby nie to, że młoda, zdolna pracownica socjalna z powodu splotu nieszczęśliwych okoliczności siedziała w okropnej celi aresztu i miała tam zostać, wyłaby ze śmiechu. A tak tylko się uśmiechnęła.

T. było skrótem od Torvald. Billy T. nazywał się Billy Torvald!

Przystali pastora. Nigdy nie miałam do czynienia z pastorem, ale od razu go rozpoznałam, chociaż nie nosił tego dziwnego kołnierzyka. Był w koszuli dżinsowej rozpiętej pod szyją, spod której wystawał gąszcz ciemnych włosów. Nie przestawałam się gapić na te włosy.

Nie był stary, mógł mieć około trzydziestu lat i wyraźnie było widać, że nie przywykł do załatwiania takich spraw. Jąkał się i krztusił, rozglądał dookoła, jakby szukał pomocy. W końcu musiałam powiedzieć, że wiem, dlaczego przyszedł. Nie było żadnego innego powodu, żeby przysłać do mnie pastora, niż śmierć Olava.

Nie chciał odejść, musiałam go niemal wyrzucić. Dziwnie na mnie patrzył, jakbym go rozczarowała albo wręcz zszokowała tym, że nie płakałam. Pytał, czy mam z kim porozmawiać. Albo czy mógłby wezwać kogoś, kto by ze mną pobyl. Nie odpowiedziałam mu, i tak mnie nie słuchał. Nikt nigdy mnie nie słuchał. W końcu udało mi się zamknąć za nim drzwi.

Pod wieloma względami wiedziałam o tym od zawsze. Może czekałam na to od pierwszego dnia na porodówce, kiedy taki nienormalnie wielki ułożył mi się na brzuchu. W zasadzie nigdy nie miał sensu. Może dlatego przez pierwsze miesiące nic do niego nie czułam. Wiedziałam, że i tak nie będę mogła go zatrzymać.

Już wczoraj po południu, kiedy zobaczyłam jego plecy, wiedziałam. Wychyliłam się przez okno z nadzieją, że mnie zauważy i zawróci. Nie mogłam krzyknąć, bo sąsiedzi by usłyszeli. Kiedy zniknął za domem numer szesnaście, czułam to. Czułam, że odszedł.

Zaczęłam sprzątać jego rzeczy. Zabawki, w większości popsute. Ubrania, takie wielkie i brzydkie, bo nigdy nie mogłam znaleźć nic ładnego, co by na niego pasowało. W różnych miejscach walały się jeszcze podręczniki, zeszyty zapisane dużymi krzywymi literami. Ćwiczenia z rachunków, w których wszystkie odpowiedzi były błędne. Teraz leżą w piwnicy.

W tornistrze miał Włóczęgę. Małego pieska z długimi uszami, którego dostał od babci, kiedy skończył rok. To jedyny prezent, jaki dała mu dokładnie w dniu urodzin. Kochał tego pieska, a jednocześnie się go wstydził. Ale zabrał go ze sobą z domu dziecka.

W środku leżały też cztery noże. W tornistrze. Nie mam pojęcia, po co mu były, ale najpewniej zabrał je z domu dziecka. Zawsze miał dziwną skłonność do noży. Te nie były pierwsze, które wyjęłam z tornistra. Może chciał mieć czym się bronić. W każdym razie należało je zwrócić. Nie były moje.

Pojechałam tam wczoraj wieczorem. Nie bardzo wiem dlaczego. Oczywiście chciałam je oddać. A może przyzwoitość lub poczucie obowiązku były jedynie wymówką, by jeszcze raz zobaczyć to miejsce. To straszne miejsce. Teraz, dobę później, po tym wszystkim, co się stało, wydaje mi się, że wiedziałam, że on właśnie tam pójdzie. Ciągnęło go tam.

Kiedy zbliżałam się do domu dziecka, coś mnie powstrzymało. Przystanąłam na placu zabaw i z daleka patrzyłam na kontur ciemnego budynku na tle nieba.

Kierowniczkę zabito nożem. Kuchennym. Ja miałam w torebce cztery noże znalezione

w tornistrze Olava. Mojego syna. Nie mogłam ich oddać. Musiałam się ich pozbyć. Policja i tak wszystkiego się dowie.

Na placu zabaw było całkiem ciemno, a od sąsiedniej działki oddzielało go stare, sięgające kolan kamienne ogrodzenie. Udało mi się je wepchnąć między kamienie. Głęboko. Ale najpierw starannie je wytarłam. Prawdopodobnie nikt nigdy ich nie znajdzie. Prawdopodobnie nie mają nic wspólnego z tym zabójstwem. Musiałam go przecież chronić. Tak jak zawsze się starałam.

Tyle razy mi go odbierano. Kawalek po kawalku. Przedszkole, szkoła, Urząd Ochrony Praw Dziecka. Nigdy nie umiałam go zatrzymać. Ale Bóg jeden wie, że próbowałam. Kochałam go nad życie.

A teraz siedzę tu, na jego łóżku, czuję zapach jego piżamy, słodki i bardzo silny, i wiem, że odszedł już na zawsze. Jest noc, ciemno, bardzo cicho. Nic mi już nie zostało. Nic.

Nie ma nawet mnie.

11.

Maren Kalsvik stała za barierką dla świadków w nowym budynku sądu w Oslo i lekko drżała z zimna. Sędzia podpisywał się na jakimś formularzu, który położył przed nim niecierpliwy adwokat w garniturze. Hanne Wilhelmsen wyglądała na zmęczoną i na próżno usiłowała ukryć ziewnięcie. Była ubrana bardziej oficjalnie, niż Maren Kalsvik widywała ją dotychczas – w czarną spódnicę i bluzkę, do tego szary żakiet i jedwabną apaszkę w delikatnych kolorach ziemi.

Pani komisarz odnosiła się do niej z szacunkiem, okazywała współczucie, ani razu nie straciła cierpliwości, mimo że przez cały weekend powtarzała swoje teorie, a Maren nawet grymasem nie chciała potwierdzić albo zaprzeczyć czemuś, co według niej wydarzyło się w ów fatalny wieczór w gabinecie Agnes Vestavik nieco ponad dwa tygodnie temu. Maren Kalsvik postanowiła milczeć. Odmówiła również rozmowy z adwokatem.

Rzeczywiście tam była. Eirik spał, co potwierdziło świtające w niej podejrzenia, że zażywał coś, czego nie powinien. Zwłaszcza gdy miał pilnować ośmiorga dzieci.

Spotkanie u Agnes było jednak krótsze, niż Wilhelmsen przypuszczała. Trwało dziesięć minut. Maren zamierzała błagać. Cała jej duma zniknęła w chwili, gdy zrozumiała, że straci pracę. I cały sens istnienia.

Agnes powiedziała jej o Terjem. O tym, że wie, że Maren wiedziała. Głos miała obcy, zniekształcony, pełen wściekłości, nad którą należało panować z uwagi na dzieci. Agnes powiedziała też, że mogłaby zrozumieć tę sprawę z dyplomem. Mogłaby. Przez moment okazała coś w rodzaju współczucia i odezwała się dawnym głosem, ale to nie trwało długo. Nie potrafiła wybaczyć prawdziwej zdrady. Tego, że Maren działała za jej plecami, żeby ukryć malwersacje. Wściekła wymachiwała papierami – sfałszowanym dyplomem w jednej ręce i zestawieniem oszustw Terjega w drugiej.

Maren chciała ją błagać. Zobaczyła jednak oczy Agnes i zrozumiała, że nic jej to nie da.

Dostała tydzień na napisanie wypowiedzenia. Nie pozostawało jej nic innego. Odwróciła się na pięcie i po cichu wyszła z gabinetu kierowniczkii.

Na podeście schodów na chwilę przystanąła, nie mogąc powstrzymać płaczu. Próbowwała zdusić szloch. A kiedy wydało jej się, że słyszy jakiś ruch w którejś z sypialni dzieci, po cichu zeszła ze schodów. Eirik spał dalej. W ogrodzie puściła się biegiem. Musiała jak najszybciej się stamtąd oddalić. Okrążyła dom dziecka, znalazła się na jego tyłach,

przeszła przez płot i jakimś cudem dotarła do siebie.

Kiedy dwie godziny później zadzwonił Eirik z wiadomością, że Agnes nie żyje, walczyła z ulgą, która ją zalała, i z falą poczucia winy. Kilka minut później sama znalazła się w gabinecie Agnes i zobaczyła dyplom. Leżał na biurku razem z innymi dokumentami. Eirik go nie zauważył. Złożyła go i schowała do kieszeni, w ogóle się nie zastanawiając.

Była przekonana, że to Terje. Aż do chwili, gdy nadszedł pożegnalny list. Wtedy zaczęła obawiać się najgorszego. Olav widział, jak biegła. Widział, jak płakała. Przed śmiercią wyznał jej prawdę. To wszystko jej wina.

– Czy chce pani złożyć wyjaśnienia? – Sędzia patrzył na nią zza okularów tkwiących tak daleko na czubku haczykowatego nosa, że w każdej chwili mogły spaść.

– Nie – powiedziała głośno.

Westchnął, szepnął coś protokółantce, zakasłał chrapliwie i pytał dalej:

– Czy przyznaje się pani do popełnienia zarzucanego pani czynu?

Maren Kalsvik znów zerknęła na Hanne Wilhelmsen. Pani komisarz wychyliła się z ławki i wpatrywała się w nią, mnąc w palcach apaszkę. Kiedy Maren przeniosła ciężar ciała z lewej nogi na prawą, szykując się do odpowiedzi, nie patrzyła na sędziego. Lekko się uśmiechnęła i spojrzała w oczy Hanne.

– Tak. Jestem winna – szepnęła. Podniosła głowę, oderwała wzrok od Hanne Wilhelmsen, chrząknęła i powtórzyła głośniej: – Jestem winna.